

81
27
Donkiszot Żydowski.

Tanie wydawnictwo dzieł
Klemensa Junoszy.



Tom X.

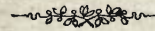
DONKISZOT ŻYDOWSKI

SZKIC

Z LITERATURY ŻARGONOWEJ ŻYDOWSKIEJ.

2/24

R/99



79364

WARSZAWA.
Nakładem rodziny.

SKŁAD GŁÓWNY
w księgarni St. J. Zaleskiego i S-ki, Szpitalna 5.

1899.

Druk Tow. Kom. St. J. Zaleski & Co., Złota 3.

Zbiory specjalne

Доводено Цензурою
Варшава 6 октября 22 дня 1898 года.



74068

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Unwersytetu w Białymstoku



FUW0106881

K-218176/74068

WSTĘP.

Praca niniejsza wymaga kilku słów objaśnienia, które właśnie mam zamiar podać, w sposób najtreściwszy.

Żydzi są w tem szczęśliwszem od wielu narodów, położeniu, że u nich każdy człowiek, biedny czy bogaty, wyrobnik, czy też krociami obracający kupiec, musi umieć czytać. Tradycya, obyczaje, obowiązki religijne wreszcie, wymagają od nich umiejętności czytania, a w sferze konserwatywnej „uczoność” i „biegłość w piśmie” uważane są za najcenniejszy przymiot człowieka.

Nieraz zastanawiałem się nad tem, co nasi, polscy żydzi czytają? co się znajduje w tym stosie ksiąg, jaki u każdego z nich

znaleźć można? Czy są to tylko księgi święte i Talmud? czyli też i dzieła innej, świeckiej treści? Dziś mam już na to pytanie odpowiedź.

Żydzi posiadają dwie literatury i dwa odrębne, zupełnie niepodobne do siebie, języki. Pierwsza literatura to hebrajska—druga żargonowa. Myli się ten, kto język hebrajski do umarłych zalicza, żyje on i rozwija się ciągle. Pięcioksiąg Mojżesza, księgi Starego Testamentu wogóle, Talmud, prace uczonych żydów średniowiecznych, olbrzymia literatura rabiniczna, wreszcie przekłady znakomitych dzieł społecznych z dziedziny nauk ścisłych — oraz poezya—świadczą, że język ten, od czasów przedmojżeszowych jeszcze aż do dni naszych, ciągle jest na usługach myśli i ducha ludzkiego. Hebrajska jednak literatura, jest literaturą wyższą, dostępną tylko dla ludzi więcej wykształconych, władających „mową świętą” jak ją Żydzi zowią, językiem pięcioksięgu i proroków.

Massa hebrajskiego języka nie zna, i dla niej też istnieje inne piśmiennictwo, to jest literatura żargonu. Jestto w ścisłym znaczeniu tego wyrazu literatura ludowa.

Do niezbyt dawnych jeszcze czasów, książki żargonowe miały charakter wyłącz-
nie religijny. Drukowano w nich modlitwy dla kobiet, przekłady częściej w praktyce stosowanych przepisów Talmudu i wogóle to tylko, co z wyznaniem, formami i obrzędami religijnymi miało jakiś związek. Dopiero przed laty czterdziestoma mniej więcej, światlejsi Żydzi, pragnąc wprowadzić pierwiastki cywilizacyjne do życia zacofanych swych braci—zaczęli pisać w żargonie i stworzyli literaturę dość już obszerną, literaturę, w której można znaleźć prace istotnie godne uwagi. Postanowiłem już oddawna zapoznać się z tem mianowicie piśmiennictwem, co mi się do pewnego stopnia udało — i oto właśnie przedstawiam czytelnikom pierwsze owoce pracy na tem polu.

Książki żargonowe drukowane są literami hebrajskimi, w języku, który jest za-
prawdę osobliwą lingwistyczną miksturą. Bez ustalonych form, bez gramatyki i składni prawidłowej, z tysiącami najrozmaitszych naleciałości, jest on tak dalece dowolnym, że każdy autor prawie inaczej go używa.

Zkąd się wziął ten „język” osobliwszy, nie tu miejsce rozbiierać szczegółowo. Ży-

dzi, przywędrowawszy do nas przed ośmioma wiekami z Niemiec, przynieśli z sobą i mowę niemiecką, która już była widać domowym ich językiem. Samo ich życie, skrupowane, ograniczone na każdym niemal kroku różnymi przepisami religijnymi, dorzuciło do niemieczyzny wiele wyrazów hebrajskich i wogóle oryentalnych, w które obfituje Talmud, a nareszcie, stosunki z rdzenną ludnością krajową, stały się powodem, że do żargonu weszły wyrazy czysto słowiańskiego pochodzenia.

Można sobie wyobrazić zatem, jaki dziwoląg językowy wytworzyć się musiał w takich okolicznościach!

Pewna partya żydów postępowych walczy przeciwko żargonowi, usiłuje go wytępić i skłonić żydów do używania mowy krajowej, inna zaś chce właśnie, przez rozpowszechnianie książek w żargonie — cywilizować masę. Wytępić żargon, myśl piękna; lecz łatwiej ją wypowiedzieć aniżeli wykonać, gdyż bądź co bądź, żargon jest językiem żyjącym i używanym przez setki tysięcy ludzi, i wiele zapewne wody upłynie zanim go żydzi porzucą.

Literatura żargonowa, o tyle o ile krzewi dobre zasady i uczciwe myśli, ma racye

bytu — i prędzej osiągnie cel zamierzony, aniżeli najpiękniejsze książki i broszury polskie, których żyd-konserwatysta nie bierze do ręki. Wychodząc z tego stanowiska nie godzi się potępiać autorów piszących w żargonie, gdyż kierują nimi dobre pobudki.

Autorowie żargonowi rekrutują się przeważnie z pośród żydów litewskich, książki zaś drukowane w tym idyomie wychodzą głównie w Wilnie, Petersburgu Bercyowie, Odessie, w niektórych miastach galicyjskich i potrosze w Warszawie. Na ilość jest ich wiele, co do jakości zaś, to jest wartości ich wewnętrznej, dużo można powiedzieć. Niektóre z nich pisane są przez ludzi obdarzonych rzeczywistym talentem, obserwatorów doskonałych, znających życie żydowskie gruntownie i myślących głęboko. Odznaczają się one satyrą ostrą, zjadliwą, gryzącą, satyrą czysto-żydowską.

Nie chcąc przeciążać zbytecznie tego i tak już przydługiego wstępu, objaśnić muszę jeszcze powód, który mnie skłonił do zaznajomienia się z tą literaturą.

Przedewszystkiem, szło mi o bliższe poznanie żydów, ich życia religijnego, domowego, sposobu wychowania i kształcenia

dzieci — ich przesądów i zabobonów. Mieszając na jednej ziemi, powinniśmy znać się bliżej koniecznie — a czyż się znamy? Bynajmniej. Społeczeństwo nasze zna faktora, kupca, rzemieślnika, lichwiarza—ale żyda nie zna. Nie zna go takim, jakim on jest w domu, w szkole, w towarzystwie swych współbraci, w bóżnicy. Żyd z chrześcijaninem spotyka się na targu, w kramie swoim, i tam tylko wogóle, gdzie idzie o jakiś interes. Interes się kończy i żyd znika w swoim domowym zaciszu, które od chrześcijańskiego społeczeństwa oddziela mur chiński, wznoszony przez wieki. Religia, język, przesady oddzieliły od siebie te dwie warstwy ludności, a oddzieliły w ten sposób, że z poza owego muru żyd doskonale widzi chrześcijanina, zna na wskróś jego życie domowe, jego słabości i wady, a sam zupełnie jest przez swego sąsiada nieznanym.

Otóż znajomość literatury żydowskiej, która w wielu razach, z fotograficzną dokładnością maluje domowe życie izraelitów, ich zalety i wady, występki i cnoty, uchylić może do pewnego stopnia zasłonę—i dać poznać nie kupca, nie handlarza, nie faktora, lecz... żyda. Wiadoma to rzecz, że po-

między chrześcijańską a żydowską ludnością kraju nie ma wielkiej sympatii, że jak z jednej, tak i z drugiej strony są nieporozumienia, są wzajemne pretensye i niechęci—poznajmy się więc bliżej, a może łatwiej przyjdziemy do ładu i harmonii, tak pożądanej dla dobra ogólnego.

Książki żydowskie drukowane są u nas, czytane przez ludzi, z którymi łączą nas ciągłe i nieustanne stosunki— a jednak my tych książek zupełnie nie znamy... Nasza sfera inteligentna więcej ma wyobrażenia o literaturze hiszpańskiej, a nawet i chińskiej, aniżeli o tem co czytają żydzi, obok nas, na jednej ziemi, mieszkający. Ztąd też i piśmiennictwo ich wolne jest od wszelkiej krytyki i nie liczy się zupełnie z opinią chrześcijańskiej ludności. To był drugi wzgląd, który mnie skłonił do studyowania żargonu.

Zdaje mi się, że w tych kilku słowach wyjaśniłem dostatecznie cel niniejszej pracy. Z dalszego jej ciągu przekona się czytelnik, że literatura żydowska wprowadza nas w świat nowy, zupełnie nam nieznanym (pomimo tak blizkiego sąsiedztwa), że ona ukaże nam żydów i życie ich domowe w ca-

leż prawdzie, że wiele mylnych mniemań obali, a natomiast, odsłoni wiele stron dotychczas dla nas niepochwytanych.

.....

I.

Utwór, który w streszczeniu zamierzam szanownym czytelnikom przedstawić, wyszedł z pod pióra p. Abramowicza, najzdolniejszego i najpopularniejszego autora żargonowego. W oryginale nosi on tytuł: „*Kicur massoejs beniamin haszliszi, dos hajst di nsyjo oder a rajzebeszrajbung fun benjamin dem driten: vos er is ejf zajne nsyejs fargangen het, wajt, asz unter di hori hejszech, un hot sich genug onge sehen un ongehert hiduszim szejne zachen, vos zej zajnin arojs gegeben geworin in ale sziweim loszejnes un hajnt ajch in unser loszejn, fun „Mendeli mejcher sforim”*”.

Znaczy to po polsku; „Krótki opis podróży Beniamina III-go czyli opisanie podróży Beniamina III, który w wędrówkach swoich zaszedł het! daleko, aż po pod „góry

ry ciemności” i dosyć się tam napatrzył i nasłuchał cudownie pięknych rzeczy, co było już wydane (opisane) we wszystkich siedmdziesięciu językach, a obecnie w naszym języku, przez „Mendla sprzedającego książki” (pseudonim Abramowicza).

Teraz kilka słów o autorze książki. Urodził się on na Litwie. Obdarzony wysokimi zdolnościami, robił nadzwyczajne postępy w języku hebrajskim i, mając zaledwie lat szesnaście, używał opinii człowieka bardzo biegłego w naukach judaistycznych. Materyalne jego położenie nie było godnem zazdrości; niedostatek i bieda silnie dawały mu się we znaki. Miał on przytem krewną „agunę”, to jest opuszczoną przez męża i pozostawioną z małym dzieckiem bez żadnych środków do życia.

W tym czasie zaszła okoliczność, która wywarła na dalsze losy Abramowicza wpływ stanowczy.

Do miasteczka przybył ze stron dalekich, z Podola czy Ukrainy, żyd obcy, rudy, o przebiegłych oczach. Przyjechał wasągiem, opatrzonym w budę płócienną, jedną lichą szkapiną i zaczął się rozglądać po miasteczku. W krótkim czasie poznał wybornie tamtejsze stosunki i wnet pomiarko-

wał, że na „uczonym bachorze” i na owej biednej „agunie” może zrobić dobry interes... przyszła mu bowiem do głowy nader oryginalna kombinacya.

Zabrał biedną kobietę z dzieckiem na swój wasąg i przyrzekł wozić ją dotąd, dopóki zbiegłego jej męża nie odnajdzie, lub też nie dostanie dowodu jego śmierci, coby pozwoliło jej wstąpić w powtórne związki małżeńskie; młodemu Abramowiczowi zaś przyrzekał świetną przyszłość. Zgodzono się na propozycyę sprytnego „bałaguly” i ciężki wasąg włókł się powoli... po błotach i piaskach, od miasteczka, do miasteczka, od wioski do wioski. Była to bardzo trudna podróż. Kobieta z dzieckiem siedziała na furze, młody zaś człowiek z furmanem szedł pieszo i gdzie było większe błoto, lub piasek głęboki, pomagał kulawej szkapie ciągnąć wóz.

Bałagula tymczasem wyzyskiwał swych pasażerów, a spekulacya jaką na nich urządził była dość oryginalna. Gdy przybyli do jakiego miasteczka, natychmiast udawał się do rabina i, przedstawivszy mu rozpaczliwe położenie nieszczęśliwej kobiety, otrzymywał od niego pozwolenie zbierania na jej rzecz składek. Żydzi powiadają o sobie

że są „rachmonisbni rachmonis”, to jest „miłosierni synowie miłosiernych”, składali więc groszaki na rzecz nieszczęsnej „aguny” a te, ma się rozumieć, tonęły w kieszeni bałaguly. Na Abramowicza sprytny żydek miał inne widoki. Wiedząc, jak „uczoność” płaca u żydów, wiedząc, że najbogatszy obywatel i kupiec odda chętnie swą córkę za biednego, lecz biegłego w Talmudzie młodzieńca, „bałagula” postanowił Abramowicza ożenić, przyczem sam, występując w roli „szadchona” (swata) mógłby coś zarobić. Przybywszy więc do miasteczka, prowadził młodego człowieka do „bejshamidrassu” (dom modlitwy), gdzie Abramowicz wzbudzał podziw znajomością hebrajszczyzny i Talmudu. Partye trafiały się: niejeden właściciel domu, albo kupiec chciał się poszczycić „uczonym zięciem” i gotów był dać nawet duży posag, byle tylko tak obiecującego człowieka mieć w swojej rodzinie. Pokusy te jednak nie odnosiły pożądanego skutku; Abramowicz toczył zwycięzkie spory w bóżnicy, rozwiązywał trudne zagadnienia, wzbudzał podziw, ale... żenić się nie chciał.

Cała elokwencya „szadchona” była nadaremna i mąż ów, wyczerpawszy dobro-

czynność miasteczka na rzecz nieszczęśliwej „aguny”, zaprzęgał kulawą szkapę do wasagu, zabierał swoje ofiary, i włókł się z niemi po błotach i piaskach, na południe, pocieszając się nadzieją, że może, w dalszej wędrówce uda mu się „uczonego bachura” ożenić*).

Długo trwała ta ciężka i utrudniająca wędrówka, aż wreszcie znudziła ona młodego człowieka, który zerwał też stosunki z przebiegłym „bałagulą” i osiadł, jak się zdaje, w Berdyczowie. Zabrawszy znajomość z pewnym nauczycielem, za jego pośrednictwem i pomocą, Abramowicz zapoznał się z literaturą i naukami nieżydowskimi, co przy pracy i wrodzonych zdolnościach, poszło mu dość łatwo. Abramowicz pisał wiele w języku hebrajskim, którym, jak nadmieniliśmy, włada świetnie, od cza-

*) W roku zeszłym Abramowicz obchodził dwudziestopięcioletni jubileusz swej autorskiej działalności. Z tej okazji „Woschod”, miesięcznik żydowski wychodzący w Peterburgu, zamieścił obszerny jego życiorys i wyczerpujący opis całkowitej jego działalności piśmienniczej. Biografia ta ukazała się w grudniowym zeszytcie „Woschodu” z roku 1884.

su do czasu zaś, puszczał w świat książki żargonowe, w których złożył dowody niezaprzeczonego talentu i głębokiej obserwacji.

Można śmiało powiedzieć, że gdyby ten człowiek pisał w jakimkolwiek, chociaż trochę znanym i dostępnym języku, używałby wielkiego rozgłosu, ale hebrajszczyznę zna mało kto — żargon zaś tylko zamknięta w sobie klasa żydów... ztąd też o Abramowiczu, poza sferą dla której on pisze — nikt nie wie. W pracach swoich, Abramowicz biczem zjadliwej satyry chłoszcze bogatych żydów, gospodarzy gmin, którzy przy rozkładzie specjalnych podatków i ciężarów popełniają krzyżące nadużycia*), natomiast staje zawsze po stronie biednych i uciśnionych. Abramowicz odzywa się żartobliwie o mądrości cadyków i fanatyzmie hassydów, drwi z zabobonów i przesądów, lecz nigdy nie powstaje przeciw religii. Poglądy jego są jasne, trzeźwe; obrazowanie zaś niekiedy aż nazbyt realistyczne, ale prawdziwe. Czasem puszcza wodze

*) W t. zw. guberniach północno i południowo-zachodnich, rząd pobiera specjalne podatki od żydów.

fantazyi i, pod alegoryami, przedstawia różne kwestye i zagadnienia społeczne, jak np. w powieści „Di klacze” (szkapa), w której maluje całą kwestyę żydowską.

Obecnie, o ile mi wiadomo, Abramowicz, człowiek jeszcze w sile wieku będący, zamieszkuje w Odessie. Z Berdyczowa, gdzie przebywał poprzednio, wykurzyła go potęga możnych żydowskiego świata, którzy nie mogli mu darować, że wszystkie ich podłości i ucisk, jaki wywierają na swych ubogich współbraci, opisał malowniczo w dziełku p. t. „Di takse oder Sztot baaltowos” („Taksa, czyli dobroczyńcy miasta”). Berdyczowskim macherom i krezusom nie na rękę był taki prawdomówny człowiek, wygryźli go też z miasta bardzo prostym, ale skutecznym sposobem, gdyż podobno zapomocą fałszywej denuncyacji.

Tak niesie przynajmniej fama, bardzo do prawdy podobna.

Ale idźmyż nareszcie do naszego „Donkiszota” i zamknijmy już wstępy przeciągające się może zbyt długo. Objaśnienia, które złożyłem na początku, były jednak koniecznemi, mając albowiem do czynienia z przedmiotem nowym zupełnie, bez komentarzy nie sposób dojść do ładu.

„Podróż Beniamina” są bardzo podobne do przygód walecznego rycerza z Manszy i jego wiernego giermka Sanszo Pansy, i można przypuszczać, że autor skreślił je po przeczytaniu arcydzieła Cerwantesa. Naturalnie, Beniamin nie może mieć do Donkiszota najmniejszego podobieństwa w szczegółach, lecz tło ogólne obu tych utworów jest prawie jednakie.

Rycerz z Manszy, pod wpływem romansów, które nieustannie pochłaniał, przywdziewa zbroję łataną, dosiada Rossynanta i idzie poświęcać życie w obronie nieszczęśliwych i pokrzywdzonych, których nikt wszelako nie krzywdzi; — natrafia na urojone przeszkody, walczy z niewidzialnymi wrogami, wszędzie widzi zaczarowane księżniczki, potężnych rycerzy i olbrzymów.

Powód, który skłonił Beniamina III-go do przedsięwzięcia wielkiej podróży, jest również czysto idealny. Pod wpływem nieustannego czytania różnych książek, podających najfałszywsze informacye geograficzne, a zarazem niewyczerpaną kopalnię legend, Beniamina ogarnia dziwna i nieprzeparta chęć powędrowania daleko... daleko... dotarcia do grobu patryarchów, do ruin świątyni Salomona, do ziemi Świętej

gdzie rosną „tajteł i boksen” (daktyle i chleb świętojański). Ale ziemia święta nie jest jeszcze ostatecznym kresem podróży Beniamina... o, nie! On chce iść dalej... dalej! przez pustynię, do rzeki Sambaty, tej straszliwej rzeki, przez którą przejść nie sposób, gdyż przez sześć dni w tygodniu wyrzuca ona z siebie gorejące kamienie, burzy się, gotuje i kipi, a odpoczywa zaś tylko w szabas, w którym to dniu, żyd prawowitny podróżować nie może. Beniamin chce dotrzeć aż do „gór ciemności”, gór, przez które nawet tak często w żydowskich książkach wspomniany bohater „Aleksander mugden” (Aleksander macedoński) nie mógł na orle przefrunąć... Beniamin jednak tam dotrze; dotrze, nie zważając na niebezpieczeństwa i trudy, na pustynie, wśród których ryczą straszne bestye „Pipernoter”, „Lindenworim”... na pustynie, gdzie na życie podróżnego czyha zaczajony „gazlen” (rozbójnik), lub też „tejger” (turek) gotów zawsze porządnego człowieka zabrać do niedoli i sprzedać go jakiej pogańskiej księżniczce, która w usposobieniu romantycznym przewyższa może Putyfarową Zulęjkę...



Straszne są niebezpieczeństwa podróży, lecz cel jej jakże idealny! jaki ponętny. Poza „górami ciemności” są Żydzi z dziesięciu pokoleń zaginionych w wędrówkach i tułactwie. Oni tam żyją, handlują i dobrze im się powodzi, a oprócz nich, są tam jeszcze najpiękniejsi Żydzi „a rojte judelach, bni Mejszele abejne” (czerwone Żydki, synowie proroka naszego Mojżesza). Wprawdzie piśmienne z owych czasów zabytki nie wspominają wcale, że Mojżesz miał dzieci — ale to nie dowód... dzieci są, i, dla odróżnienia od innych pokoleń, mają kolor ciała czerwony. Beniamin zwycięży przeszkody i dotrze aż do nich, zobaczy czerwonych Żydów i potomków dziesięciu zaginionych pokoleń.

Jakaż to będzie uciecha, jaka radość, gdy on, biedny polski Żydek, stanie przed nimi...

— Gwałt! gwałt! zawołają wszyscy, podziwiamy i patrzmy! Przyszedł do nas Beniamin, Beniamin III-ci aż... z Tuniejadówki! Witajmy go, witajmy, ugościmy jak brata, pytajmy co słyhać w Tuniejadówce, jak idą interesa? Beniamin powróci później do rodzinnego miasteczka, powróci jako wielki podróżnik i opowiadać będzie o cu-

dach, jakie widział tam daleko, u gór ciemności — o czerwonych Żydkach, o wszystkim co księgi opisują...

Donkiszot dla swojej idei rzuca tylko marne szlacheckie gospodarstwo, starą gospodynię i siostrzenicę, Beniamin zaś porzuca żonę i dzieci, pozostawia je na pastwę losu, a sam pójdzie, gdyż czuje w sobie powołanie do spełnienia czynów bohaterkich. Dla Donkiszota wzorem są średnio-wieczni rycerze, słynni z poświęceń, cnót i męstwa — Beniaminowi zaś świeci jak gwiazda przewodnia „Aleksander mugden” i jego nieustraszone męstwo.

Pierwsza wyprawa rycerza z Manszy spelzła, jak wiadomo, na niczem... i Beniamina też, z pierwszej niefortunnej wyprawy, zmęczonego, słabego, wystraszonego okropnie, przywiózł do miasteczka chłop, na wozie skrzypiącym, ciągnionym przez dwa woły... Znalazł bohatera zemdlonego w lesie, ułożył na workach kartofli i dostawił na łono rodziny w stanie pożałowania godnym...

Donkiszot przyszedł do wniosku, że przyzwoity i szanujący się rycerz nie może się obejść bez wiernego giermka, — podobnie też pomyślał Beniamin. Postanowił

koniecznie wyszukać sobie towarzysza podróży, któryby dzielił z nim dobre i złe losy, pomagał znosić klęski uczestniczył we wspólnych radościach. Rycerz z Manszy znalazł perłę giermków w opasłym, ale sprytnym Sanszo Pansie; nasz zaś znakomity podróżnik odkrył nie [perłę, lecz czystej wody brylant w osobie niepozornego żydka, zwanego w miasteczku „Senderi di judene” (Sender—żydówka).

Ten typ męża „kobiety w jarmulce”, czyli po naszymu mówiąc „małżonka pod pantoflem”, jest niesłychanie komiczny.

Senderi nienapróżno nosi przydomek „di judene” (żydówka); musi on albowiem skrobać kartofle, myć garnki, siekać cebulę i rybki na szabas, pilnować dzieci, jednem słowem, robić to wszystko, co wchodzi w zakres atrybucyj kobiecych. Żona jest w domu samowładną panią i wydaje rozkazy, potulny zaś małżonek słucha, gdyż w razie opozycji—traci natychmiast część rzadkiej bródki, lub też dostaje siniaków pod oczami.

Być bardzo może, iż dzięki takiej sytuacji, szanowny Senderi wyrobił w sobie bardzo cenne przymioty, to jest: zabiegliwość i praktyczność. Zresztą, posiada on

charakter zadziwiająco zgodny i z zasady nikomu nie przeczy. — „Chcesz tak, odpowiada zwykle, niech będzie tak, mam się też o co kłopotać”?! Dzięki tej zgodności usposobienia, Senderi przystał odrazu na propozycję wędrowki nad brzegi Sambaty. — „Chcesz abym szedł do Sambaty, niech będzie do Sambaty — mam się też o co kłopotać”?!

Jeżeli Szanso Panso był perłą giermków, to Senderi, jako „szamesz” (sługa) rebe Beniamina, był czystej wody brylantem. Beniamin bujał myślą w obłokach, marzył o celu podróży, o czerwonych żydkach — Senderi natomiast, całą swoją inteligencją wysiłał na to wyłącznie, ażeby torba podróżna zawsze była pełną. Dzięki tej zabiegliwości, wędrowcy nie cierpieli głodu i mogli urzeczywistniać potrosze swe wielkie zamiary-

Cervantes w swoim Donkiszocie cytuje częstokroć wyjątki z fikcyjnego rękopismu, który autor arabski Cyd Hamid Bennengeli miał pozostawić po sobie; Abramowicz trzyma się także podobnej metody, powołując się na rzekomy pamiętniki Beniamina.

Wogóle, rycerz z Manszy i wielki podróżnik Beniamin mają wiele rysów pokre-

wnych. Obadwaj śmieszni, lecz i sympatyczni zarazem, poświęcają się idei, która im, niby ówiek ostry, w głowach utkwiała. Niema dla nich przeszkód, nie ma niebezpieczeństw — jest tylko cel, który im świeci jak gwiazda przewodnia. Dążą też do niego jak ómy do światła — opalają sobie skrzydła i padają w błoto, z którego ich zwykle dłón praktycznego giermka wydobywa.

II.

Przedmowa do „Podróży Beniamina” jest charakterystyczną. Paroduje ona napuszone wstępy do dzieł niektórych pisarzy żydowskich — i zawiera w sobie znaczną dżę satyry.

Posłuchajmy jej:

„Rzeczę wam Mendeli mejcher sforim, rzeczę Mendel sprzedający książki: niech uwielbionym będzie Stwórca, który ustanowił bieg planet na niebie wysoko i chód stworzeń na ziemi nisko! Nawet najmarniejsza trawka nie wyrośnie, dopóki nie przyjdzie anioł, nie uderzy jej i nie rzeknie: — Rośnij! wychodź z ziemi! Cóż dopiero, gdy na świat ma przyjść człowiek a tem

więcej, fajny człowiek (fajne menszele) piękny żydek! Wówczas zbiega się sto partyj aniołów, które uderzają go i mówią naprzykład tak: Chajkiele tajere nszome! (Chajkiele! duszo najdroższa) wychodź, pożycz pieniędzy ile tylko możesz—idź, idź, nabierz u Niemców towaru wiele chcesz... Podnoś się, rośnij Chajkiele! wyłaź z błota... Idź, idź, duszo, w cichości i usuń wszystkie towary z twego kramu... a wierzytelom...; albo: Wychodź, wychodź, Icuniu! idź do twego puryca (obywatela) donoś mu trochę na tego, trochę na owego, na kogo chcesz—i myśl o sobie... Albo też aniołowie powiadają: „Rośnijcie; mnożcie się, kapcany, (biedni) w miasteczku, jak trawa, jak pokrzywa! idźcie, idźcie, dzieci żydowskie i włóczycie się (szlept sich) po domach... Idźcie, gospodarze, właściciele domów (baali-batim) idźcie do łaźni, wszak nie macie nic do roboty... lecz nie o tem zamierzałem mówić.

Przed rokiem, wszystkie gazety angielskie i niemieckie były pełne opisów cudownej podróży, jaką Beniamin, polski żydek, odbył w stronach wschodu. No! no! mówili ludzie zdumieni, jakto? żyd? polski żyd, bez broni i maszyn, tylko z torbą na

plecach, z tałesem i tefilim *) pod pachą, dotarł do takich miejsc, do których sławni podróżnicy dojść nie mogli!

Rzecz to wyższa nad wszelkie pojęcie! W każdym razie, fakt się stał i świat zawdzięcza Beniaminowi cudowne odkrycia, które zmieniły zupełnie fizyognomię kart geograficznych. Beniamin zasłużył w zupełności na medal, jaki udzieliło mu Towarzystwo geograficzne londyńskie. Żydowskie gazety pochwyliły ten fakt obydwojma rękami i miały o czem pisać przez całe lato. Wyliczyły one przy tej sposobności wszystkich uczonych, od pierwszego człowieka aż do naszych czasów, ażeby dowieść tym sposobem, jakim rozumnym narodem są żydzi! Ułożono też spis podróżników wszystkich epok, od Beniamina I-go, który żył 700 lat temu, i, ażeby wywyżżyć zasługi naszego teraźniejszego Beniamina, jak to

*) „Tałes”, ubranie, płachta biała z czarnymi szlakami, używana przez Izraelitów w czasie modlitwy. „Tefilim” skrzyneczka drewniana w której mieszczą się na pergaminie wyjątki z pisma. Skrzyneczkę żyd, modląc się, przymocowywa na czole, rzemieniami zaś opasuje rękę.

jest we zwyczaju u żydów, zmieszano z błotem wszystkich innych podróźnych. Wszyscy oni, mówiono, są to po prostu włóczęgi (a proste szleper), nie mają o niczem pojęcia, włóczyli się oni tylko od domu do domu, jak żebracy, i wyglądają jak małpy (zi hoben a ponim wi di małpes), wobec teraźniejszego Beniamina, wobec Beniamina III-go, istotnego i prawdziwego podróźnika. O nim i książkach, traktujących o jego podróźach, mówiono zazwyczaj, że jeszcze żydzi nie mieli tak wonnego kadzidła!... Uwielbiony i dyamentami obsypany powinien być ten, kto podróże Beniamina, opisane już we wszystkich obcych językach, przełoży na „mowę świętą“. Słuszna jest bowiem, aby i żydzi zakosztowali patoki, płynącej z żydowskiego ula i ażeby uczuli jasność w oczach swoich.

Otóż ja, Mendeli, dla użytku żydów, podejmuję pracę wedle mojej możności—i, zanim autorowie żydowscy, których najmniejszy palec większy jest od przepasania bioder moich, przebudzą się i wydadzą książki o podróźach Beniamina w „mowie świętej“, ja tymczasem spróbuję dać chociaż króciutki ich opis w języku żydowskim (oif prost judisz). Opasałem biodra moje

jak bohater i, chociaż jestem stary i słaby, chcę jednak ukazać te skarby dzieciom Izraela. Uczułem albowiem, jakoby uderzenie i głos: „obudź się, Mendeli! rusz się, Mendeli, wynijdź z pod pieca! nabierz wonnej myrry ze skarbów Beniamina i zrób z niej dla swych braci potrawę (potrawes) według ich upodobania! Z pomocą Bożą, jam tę potrawę sporządził i stawiam ją przed wami. Esst rabejsim! (jedźcie, panowie) i niech wam idzie na pożytek...“

Z przedmowy powyższej, którą właśnie w streszczeniu podałem, już się czytelnik przekonać może, iż Abramowicz nie schlebia wcale żydom i nie chce maskować ich wad. Jest on przedewszystkiem satyrykiem, a świetnie włada ostrą bronią sarkazmu i ironii.

Zaraz w pierwszym rozdziale, poczerpiętym jakoby z pamiętników samego Beniamina, jest opis miasteczka Tuniejadówki, ojczystego grodu wielkiego podróźnika.

Opis ten, to prawie fotografia wszystkich żydowskich miasteczek w prowincjonalnych zakątkach.

Tuniejadówka, w której Beniamin ujrzał światło dzienne, w której wzrósł, wychował się, w której pojął za małżonkę pię-

kną Zeldę, leży w zapadłym kącie kraju, zdaleka od pocztowego traktu, odcięta prawie zupełnie od świata.

Jeżeli zdarzy się, że przyjedzie do owej wieściny jakiś człowiek obcy, wtenczas otwierają się wszystkie drzwi i okna a cała ludność ogląda przybysza ciekawemi oczami... Przez otwarte okna jeden drngiemu zadaje wiele więcej niż „cztery pytania“ (fier kaszejs) *).

— Zkąd on się tu wziął? Co on myśli? Przecież nie przyjechałby tak sobie? Coś w tem musi być?!

Wyrastają różne hipotezy. Wnet też znajdują się jacyś dowcipnisie (baali hamcoejjs) i na ten temat tworzą koncepta, czasem niebardzo piękne. Mężczyźni, śmiejąc się nieznacznie, gładzą brody; stare kobiety

*) Jest u żydów zwyczaj, że podczas świąt wielkanocnych syn ojcu zadaje cztery pytania. Pytanie te zawsze jednakowe i jednakowe na nie odpowiedzi należą do tradycyjalnych pamiątek. Abramowicz mówiąc, że zdumieni przybyciem obcego człowieka żydzi, zadają sobie nawzajem więcej niż „cztery pytania”, miał zapewne na myśli stereotypowość tych pytań.

łają żartownisiów ze złością i ze śmiechem zarazem, a młode mężatki rzucają wejrzenia z pod spuszczonej powiek i maskują uśmiech, który im się wymyka na usta...

Bardzo obrazowo porównywa Abramowicz te rozmowy do bryły śniegowej, która toczy się od domu do domu, nabiera na siebie coraz nowe warstwy, grubieje, rośnie, aż nareszcie, doszedłszy do maksymalnych rozmiarów, wtacza się do „bejshamidraszu“... pod piec.

Proszę nie sądzić jednak, że ów piec, jest zwyczajnym piecem, służącym do ogrzewania temperatury w domu modlitwy. Nie, ten piec to wielce szanowny mebel. Pod nim stoi ława, na której zasiadają bardzo poważni i bogobojni obywatele. Jest to miejsce, do którego zataczają się wszelkie rozmowy i plotki, sprawy domowe mieszkańców miasteczka, polityka dotycząca „Stambułu“, „tejger“ (turka), „kiren“ (Cyrysa). Tu roztrząsane są także finanse: jest mowa o Rotszyldzie, bogatych „purycach“ (obywatelach ziemskich) i o innych bogaczach. Tu pantoflowa poczta przynosi wieści o nowych prawach przeciw żydom; tu mówi się szeroko o „czerwonych żydkach“ Na ławie, pod piecem, zasiada specjalny komitet, złożony z „pięknych, leciwych

żydków“ (fun szejne betogte juden), którzy przesiadują tu cały dzień aż do późnej nocy, wyrzekłszy się ognisk domowych, żon i dzieci.

Mężowie ci zajmują się sprawami powszechnymi darmo, tak sobie, gdyż za pracę swą nie biorą nawet „złamanego halera“ *) (cubrochene heler)... Decyzje tego komitetu (wraz z jego członkami) przychodzą do wyższej instancji, do... łaźni, na najwyższą ławkę, i tam częstokroć ulegają zmianie lub kasacyi. Tam zbiera się całkowity komplet (a pełne sobranie), złożony z właścicieli domów i innych szanownych notablów. W owym zgromadzeniu zapada decyzja ostateczna, tak, że gdyby nawet przyszli wszyscy królowie dawnego wschodu i zachodu i stanęli głowami na ziemi, a nogami do góry, nie mogliby już zmienić decyzji...

Raz, na takim posiedzeniu, „turek“ o mało że nie został ciężko pokrzywdzony,

*) Halers, moneta polska, oddawna nieużywana, a skutkiem tego i nazwa jej dziś mało komu jest znaną. W żargonie przechowała się ona jednak, jak lingwistyczny ...numizmat.

tam, na najwyższej ławce, w łaźni żydowskiej, i Bóg wie co by się z nim stało, gdyby nie wpływ kilku solidnych obywateli, którzy podtrzymali jego silnie zachwiane interesa. Raz Rotszyld stracił tam na jakiejś operacji dziesięć czy piętnaście milionów—ale w parę tygodni później, Pan Bóg dopomógł... członkowie komitetu byli w dobrym humorze, na najwyższej ławce łaźniowej było przyjemnie, ciepło—więc też Rotszyld zarobił tego dnia więcej niż „sto pięćdziesiąt milionów rubli“!!

Mieszkańcy pięknego miasta Tuniejadówki są to wielcy biedacy (sztarke dałfonim), jednak należy im oddać tę sprawiedliwość, że biedacy weseli (lustige kapconim) i dziwnie ufni w miłosierdzie Boże.

Gdyby nagle zapytano mieszkańca Tuniejadówki, z kąd czerpie środki do życia? osłupiałby zrazu i odrzekł dopiero po długim namyśle:

— Jakto? z czego ja żyję? z czego żyję? Czyż nie ma Boga, który nie opuszcza żadnego ze swych stworzeń? Daje on nam teraz, będzie dawał i dalej...

— Ale cóż ty robisz? czy masz w rękę jakie rzemiosło, lub w ogóle sposób do życia?

— Chwalić Boga, mam... bardzo ładny głos, śpiewam trochę przy nabożeństwie... Jestem także „a mejheł“ (umiejący wykonać obrzędowy akt przymierza, któremu żydzi poddają nowonarodzonych synów)... przytem jestem wyborny „maceredler“ *), jedyny w świecie! Czasem skojarzę małżeństwo, to także coś znaczy... mam swoje własne miejsce w bóżnicy... Prócz tego, ale niech to między nami zostanie, trzymam maleńki szynk, który daje się trochę doić... Kozę też mam, ta (byle jej tylko nie urzekli) doi się bardzo dobrze... mam też niedaleko ztąd bogatego krewnego... to, na ciężkie czasy, można i jego trochę doić; no... a oprócz tego wszystkiego, „ist Got a tate“ jest Bóg-ojciec i ludzie miłosierni...! Nie trzeba więc grzeszyć... nie trzeba żądać za dużo...

Należy też, na pochwałę mieszkańców Tuniejadówki, powiedzieć, że nie są rozrzu-

*) „Maceredler“ jest to człowiek, który za pomocą kołka z kolcami wygniata różne desenie na macach, czyli na „przaśnikach“. Niewielka sztuka być takim artystą.

tni w wydatkach na garderobę i niewybredni w jedzeniu.

Jeżeli naprzykład, „szabasowa kapota“ jest rozerwana w kilku miejscach, podarta, zabłocona u dołu i niezupełnie czysta, to nic dla nich nie znaczy; byle tylko była atlasowa i świeciła się! Że przez nią, jak przez wielkie rzeszoto, widać miejscami gołe ciało, to cóż wielkiego? kto się będzie temu przyglądał? Przecież każdy mieszkaniec Tuniejadówki ma dziurawe pięty w ponczochach, a czy kto dziwi się temu, czy przygląda się piętom?! Z jakiej więc zasady, pięty mają mieć lepsze prawa aniżeli inne części ciała? Czyż nie są one także mięsem ludzkim??

Kawałek chleba ze szczypiorem (byle go tylko mieć) stanowi już bardzo dobry obiad!... Cóż dopiero mówić o bułce i o mięsie gotowanym (a rosółflajsz) w piątek! Kogo stać na to, ten ma „królewskie jedzenie!“ Lepszego nie ma nic na świecie! Oprócz sosu z ryby, gotują tu również „cymes“ z marchwi, lub z pasternaku. Spytaj się jednak o coś więcej, o coś jeszcze lepszego, to wyśmieją cię, wezmą poprostu za waryata... i powiedzą, że ich waryatami chcesz robić. Jeżeli chcesz powiedzieć mie-

szkańcowi Tyniejadówki, że jest na świecie lepsze jedzenie nad „rosolflajsz” albo nad „cymes z pasternaku”, to powiedz mu lepiej, że krowa latała po powietrzu, siadła na dachu i zniosła jajko... Prędeż ci uwierzy.

Czyż może być wierniejszy obraz życia małomiasteczkowych żydów? Nie kupców, nie handlarzy, ale tej całej falangi biedaków, nie mającej żadnego prawie ze światem chrześcijańskim stosunku. Tylko ten, kto zna bliżej małe miasteczka, kto przypatrywał się im bacznie i śledził, ile tam ubóstwa, ile nędzy się mieści, może ocenić trafność obserwacji Abramowicza. Autor ten pisze z przedziwnym, spokojnym humorem, w obrazach jego uderzają świetnie zestawione kontrasty niedostatku i nędzy żydowskiej z przeświadczeniem nędzarzy o ich urojonej świetności. Taki żydzina, który chodzi w obszarpanej, podartej, zabłoconej, lecz atlasowej kapocie; który żyje rzodkwią i cebulą, czuje się jednak wielką osobą w swoim światku; a jeżeli przytem ma jakiegoś pradziadka-cadyka na cmentarzu, jeśli, o tyle o ile przynajmniej, zgłębił Talmud i może prowadzić religijne dysputy, to już jest taki „mcjuches” (arystokrata), tak ceni godność swego rodu i godność własną,

że w porównaniu z nim niczem lord angielski, mogący się wylegitymować z dwudziestu czterech pokoleń...

Abramowicz, jako pisarz, jest malarzem rodzajowym, o realistycznym, ale szlachetnie pojętym, kierunku. Z poza tych łatanych kapot, brudnych domów, z poza rzodkwi, cebuli i pasternakowych cymesów, przebija się rzewne uczucie poety, któryby rad tę wyśmiewaną przez się sferę nędzarzy uszlachetnić, podnieść, przycisnąć do piersi. On śmieje się, ale cierpi; gryzie, lecz „gryzie sercem”. Wyższy pojęciami nad cały ów tłum, nad owych dyplomatów, krytykujących politykę Cyrusa i Aleksandra macedońskiego, nad uczonych, traktujących o „rzece Sambaty” i „Pipernoterze”, zwierzu nieistniejącym, usiłuje zniżyć się do tłumu, przemówić językiem zrozumiałym i dostępnym, i tą drogą wywrzeć na masę wpływ dodatni. Czemuż takich ludzi jest niewiele?...

Wracamy do przedmiotu:

Strączek świętojańskiego chleba w styczniu, to owoc, który ożywia duszę żydowską. Jedząc go, człowiek mniema, że jest w ziemi świętej, (in erce isroil) w ziemi Izraela. Niejeden żyd, spożywając ten płód

wschodu, podnosi oczy do nieba, powtarzając z westchnieniem słowa modlitwy: „Do ziemi ojców naszych, doprowadź nas, Panie“, do prawdziwej ziemi naszych ojców, gdzie nawet kozy jedzą „di bokseren“!! (strączki świętojańskiego chleba).

Przypadkiem przyniósł ktoś do Tuniejadówki daktyl. Zrobiło się natychmiast wielkie zbiegowisko, każdy cisnął się, aby obaczyć dziwo. Jeden z uczonych krzyknął: — przynieście „humesz“ (biblię) a pokażę wam że „daktyl“ stoi w „humesz“! Oto macie, jest najwyraźniej wyraz „tomor“ a to znaczy daktyl. Widzicie więc, co to jest daktyl!? on stoi w „humesz“!! a wiecie, gdzie daktyl rośnie? Oto w ziemi Izraela.

Niejeden westchnął. Przypomnieli sobie groby patryarchów, ruiny świątyni... Jordan...

— I ja też wzdychałem wraz z innymi, mówi w swoich pamiętnikach wielki podróżnik Benjamin, i już od tej pory nie miałem spokoju.

Tego dnia, cała Tuniejadówka, jak długa i szeroka, udała się, naturalnie myśląc, do Palestyny. W „bejšamidraszu“ pod piecem, szły ożywione dysputy z dziedziny polityki i spraw ogólnomiejskich. Do Tu-

niejadówki niedawno przybył nowy „prystaw“ i zaraz kilku żydkom kazał zdjąć jarмуłki, jednemu oberznął pejsy, dwóch ujął w nocy bez paszportów, innemu znowuż zagroził procesem za to, że koza popsuła i obgryzła dach słomiany na nowym budynku miejskim... Tedy specjalny komitet pod piecem miał dużo do roboty — a załatwiwszy to, co było na porządku dziennym, przeszedł do wyższej polityki i zdecydował stanowczo, że turcy muszą kiedyś ustąpić z widowni świata... Później, rozmowa przeszła do zaginionych dziesięciu pokoleń, do czerwonych żydków, którzy szczęśliwie i spokojnie żyją sobie w owych odległych stronach, w chwale, wielkości, w zaszczytach! Słuchając tych rozmów, Benjamin powziął nieodwołalną myśl odbycia wielkiej podróży do szczęśliwych krain.

I patrzcie, pierwszą przyczyną powzięcia tak genialnej myśli był... zwyczajny daktyl!

Dotychczas Benjamin siedział w swej Tuniejadówce, jak kurczę w jajku, lub jak robak w chrzanie — i myślał, że po za miasteczkiem świat się kończy. Słodszego i lepszego życia nie wyobrażał sobie.

— Mniemałem, powiada w swej księ-

dze, że najbogatszym człowiekiem na świecie jest nasz arendarz, arendarz z Tuniejadówki... ach! bo miał on też skarby! skarby!... Dom z zabudowaniami, cztery pary mosiężnych lichtarzy! świecznik sześcioramienny z orłem, dwa miedziane garnki, pięć pokrywek, pułkę cynowych talerzy, prawie cały tuzin tombakowych łyżek, dwie srebrne czarki i lampki „chanukowe“, zegarek, cebulę w dwóch kopertach, dwie krowy, dwie szabasowe kapoty i wiele, wiele tym podobnych kosztowności!!!

— Mniemałem również, twierdzi dalej Beniamin, że najuczciwszym człowiekiem na świecie jest Rebe Ajzyk Dowid, reb Aron Jejselis Sore Zlates (Ajzyk Dawid, syn rebe Arona, zwanego Jejselis, od imienia jego żony, córki Sory-Złoty). Czyż to bagatela! skoro powiadają o tym mędrцу, że podobno niegdyś, w młodości jeszcze, miał jakieś ideje o „tiszbejres“ (ułamkach). Ten człowiek mógłby być zostać ministrem, gdyby mu szczęście sprzyjało!

— Któż, myślałem sobie, może mieć tak przyjemną i wzbudzającą szacunek fizyognomię i tak słodką wymowę, jak nasz Chajkieł Zajlike (jakała). A któż może być takim „mumcho“ (majster swego fachu),

takim wielkim lekarzem, mogącym niemal umarłych wskrzeszać, jak nasz cyrulik, który się nauczył doktorstwa od cygana, nauczonego znów przez mędrców egipskich.

Słowem, życie w miasteczku wydawało się Beniaminowi bardzo pięknem i bardzo dobrem; wprawdzie on sam żył nędznie, dzieci jego chodziły obdarte—lecz i pierwsi rodzice w raję nie mieli świetnej garderoby—a jednak, nie wstydziła się swego nęgliżu...

Cudowne opowieści o czerwonych żydkach wywarły na Beniaminie wpływ ogromny—wpływ taki, że mu miasteczko stało się ciasnem. Do tych stron odległych wyciągał on ręce, jak dziecko do księżycy.

I pomyśleć tylko, że taką rewolucyę w owej wielkiej duszy wywołały: daktyl, prystaw, jarmułka, para pięknych pejsów, koza i dach słomiany!! że im głównie zawdzięczać należy to, iż świat uszczęśliwiony został przez tak znakomite podróże?!

Nieraz widzimy, jak z drobnych na początek przyczyn; tworzą się wielkie skutki, z małych rzeczy. wielkie rzeczy. Oto, na przykład, takie głupstwo: chłop rzuca w ziemię ziarno żyta, lub pszenicy... z tego się rodzi więcej, młynarz to zmiele, gorzelnia

przerobi. Bagatelka! jak również bagatelką jest, że niegdyś przed tysiącami lat, fenicyanin, bawiąc się piaskiem, odkrył sposób robienia szkła i zbudował pierwszy kielszek... Drobne ziarna i piasek! jakież liche przyczyny! stworzyły one jednak olbrzymi skutek... propinację, przy której wyrosli i wznieśli się wielcy ludzie kahału (kohołe lajt) i znakomici „fajneberjes“ (piękne osoby)...

Bardzo być może, iż w ciele Beniamina obrał sobie siedlisko dusza jakiego wielkiego podróżnika, jakaś iskra, która za najłżejszym podmuchem wiatru miała wydać z siebie wielką jasność. Gdyby nie okoliczności, które pchnęły Beniamina w wielką podróż, kto wie, może ten mąż byłby tylko zwyczajnym woziwodą, lub co najwyżej, „bałagumą“...

Od owego czasu wszakże, Beniamin utonął w księgach. Wczytywał się on w znakomite dzieła o wielkich podróżach Rab Barbarchona, dokonanych na oceanie i w pustyniach; później czytał księgę „Elhod Hadoni“, księgę podróży Beniamina, który przed siedmioma wiekami, jeździł na koniec świata, księgę „O przymiotach Jerozolimy“ i księgę „Ceł ejlom“ (cień świata), w której,

na siedmiu drobnych kartkach, znaleźć można wszystkie siedm mądrości, oraz opisanie całej ziemi i dziwnych stworzeń na niej żyjących.

Te znakomite dzieła otworzyły mu oczy i uczyniły z niego zupełnie innego człowieka. Cudowne, zachwycające opowieści, zawarte w owych pismach, twierdzi Beniamin w jednej z ksiąg swoich, utkwily mi głęboko w głowie i w sercu. O! gdybym chociaż setną część owych cudów mógł oglądać własnymi oczami! Ciągnie mnie coś do nich, wzywa, woła!

W Tuniejadówce już mu zaczęło być ciasno, wielka bowiem dusza potrzebowała wielkich przestrzeni i chciała się koniecznie wyrwać, za jakąbądź cenę, na świat szerszy!

Tak kurczę, które zaczyna czuć swoją siłę, uderzy dziobem w otaczającą je skorupę i — forsownie wydobywa się na świat jasny...

III.

Nareszcie rozpoczyna się wielka podróż; Benjamin staje się męczennikiem (a kodejsz), a jego małżonka, piękna pani Zelda, „aguną” (kobietą opuszczoną przez męża).

Nie każde arcydzieło ludzkie, nie każdy owoc genialnej myśli i wielkiego ducha dojrzewa odrazu; najwięksi wynalazcy doznawali niepowodzeń, najbystrzejszym filozofom i uczonym wymykały się niekiedy głupstwa. Powiadam to w obronie wielkiego Beniamina, którego pierwsza wyprawa nie została uwieńczoną zasłużonym powodzeniem. Zwykła to rzecz, że geniusz zdziera buty na cierniach, zanim dojdzie do szczytu marzeń i chwały. Geniusz Benia-

mina dlatego tylko nie zdarł butów, że chodził w pantoflach... lecz w wielkiem swem przedsięwzięciu odrazu natrafił na przeszkodę straszliwą.

Według relacyi Abramowicza, wielki Benjamin z natury nie był obdarzony duchem bohaterstwa; przeciwnie, był nawet cokolwieczek podszyty tchórzem. Skoro zmrok zapadł, bał się wyjść na ulicę; za nic na świecie nie chciałby sam jeden spać w stancyi, chyba żeby go ktoś pilnował. Wyjść kilkanaście kroków za miasto, znać było według niego ryzykować życie. Kto wie, broń Boże, paskudny wypadek jaki może się człowiekowi przytrafić.

Świat jest... pełen zasadzek.

Pewnego razu, mówi w pamiętnikach swoich Benjamin, pewnego razu, pamiętam to jak dziś, w miesiącu Tamuz (w Czerwcu) dzień był strasznie gorący. Nasz Rabin, z jednym ze swoich ludzi, szedł do rzeczki, aby się w niej ochłodzić i wykapać. Wówczas ja, z kilkoma młodzieńcami, towarzyszami moimi, udałem się także ku rzece. Naturalnie, szliśmy w przyzwoitej odległości, z wielkiem uszanowaniem, ale też razem i z ufnością, że pod osłoną takiej silnej

tarczy, nie spotka nas żaden wypadek i że cało i zdrowo powrócimy do domu.

Rabin przecież to nie żartem „osoba”! Cały świat oddaje mu cześć należną, jako najgodniejszemu, a same tytuły rabina nie mieszczą się na jednym arkuszu papieru. Rabin, puklerz nasz i ochrona, kroczył powoli, z godnością, a stanąwszy wreszcie nad brzegiem rzeczułki, zaczął zdejmować z siebie szaty... My, trzymając się zawsze w przyzwoitem oddaleniu, czyniliśmy toż samo.

Tymczasem, stało się nieszczęście! nadzedł albowiem jakiś „szajgec” z psem...

Nasz „puklerz obronny i tarcza mocna”, ledwie żywy ze strachu, trzymając w prawicy dolną część garderoby, a w lewicy dużą aksamitną czapkę, zaczął uciekać ile mu sił starczyło... Ach! gdy sam Lewiatan złapał się na wędkę, cóż mieliśmy uczynić my, biedne płotki? Przepasaliśmy jako tako biodra nasze i uciekaliśmy jak jelenie, z krzykiem, z gwałtem, dobywając sił ostatnich. Gdy wpadliśmy nareszcie do miasta z wrzaskiem, zrobiło się ogromne larum.

— Pali się! rzną! zabijają! — krzyczano a nikt nie wiedział o co idzie...

Gdy Benjamin powziął postanowienie odbycia wielkiej podróży, zajął się przede wszystkim pracą nad ukrzepieniem ducha swego i wyrobieniem w sobie mężstwa i rycerskiej odwagi. Ażeby pokonać tchórzostwo, mąż ten poddawał się ciężkim eksperymentom.

Włóczył się w nocy po ulicach, sypiał sam w stancyi, a niekiedy puszczał się na kilka godzin za miasto. Próby te przyplącał zdrowiem. Nadzwyczajna jego bladeść, częste zamyślanie się, postępowanie wogóle niezwykle, oraz wycieczki za miasto, zaczęły zwracać uwagę mieszkańców. W Tuniejadówce zaczęto mówić o Beniaminie, gawędy szły z domu do domu i, zwykłym trybem, zatoczyły się wreszcie do „bejshamidraszu“ pod piec.

W komitecie zasiadającym pod piecem, zdania o Beniaminie były podzielone.

— Nic innego, mówiono, tylko to jest waryat, człowiek pozbawiony rozumu. Dotychczas był trochę głupowaty (a bisel szjete wate) i zdawało się, iż mu brakuje „klepki“, teraz widzimy, że on całkiem waryat. Jest przysłowie, że każde miasto posiada swoich uczonych i swoich waryatów; w Tuniejadówce wszakże od lat kilku już warya-

ta nie było — a to przecież miasto nie gorsze od innych; przytem obecnie panują straszne upały, a więc... Beniamin jest waryat!

Inna partya, na jej czele wielki uczony Rebe Ajzyk Dowid reb Aron Jej-selis Sore Zlates, twierdziła, że jest inaczej.

— Ot! głupstwo! i jeszcze raz głupstwo! Powiedziawszy prawdę, Beniamin jest trochę „szejtewate“, ztąd wszakże nie należy wnioskować, że jest waryatem; zachodzi albowiem pytanie, dlaczego miałby zwaryować teraz, kiedy nie zwaryował przed dwoma, lub trzema laty? Dlaczegoż nie był waryatem zeszłego lata, gdy upały były o wiele większe? a to co powiadacie, że Tuniejadówka nie jest gorszym miastem od innych i że powinna mieć swego waryata — to także nie stanowi żadnego dowodu. O naszej rzece powiadają, że corok pochłania jednego człowieka, tymczasem już od lat kilku nie mieliśmy topielca, a w dodatku, sama rzeka tak dalece wyschła, że ją w niektórych miejscach suchą nogą przejść można. Co się tyczy Beniamina i tego co się obecnie z nim wyrabia — to kwestya niezozstrzygnięta.

Kobiety, oraz ludzie nie należący do składu „komitetu podpiecowego“ twierdzili, że Beniamin musi mieć do czynienia z... nim, ma się rozumieć, ze złym duchem. Gdyby tak nie było, to nie włóczyłby się on w ciemności po ulicach, nie sypiał sam w śpiżarni i nie wymykał się z miasta, coraz, na parę godzin...

Gdy kwestya Beniamina, według praktykowanej w Tuniejadówce procedury, doszła do ostatniej instancyi, do „połnoje sobranje“, na najwyższej ławce w łaźni, zdania szanownych mężów, co do ocenienia psychicznego stanu przyszłego podróżnika były podzielone. Pomimo tego, postanowiono „wysadzić“ komisję, złożoną z kilku „pięknych żydków“ (szejne juden) i „sejfera“*), w celu obejścia wszystkich domów

*) Na futrynach od drzwi, w mieszkaniach konserwatywnych żydów, przybite są rurki blaszane spłaszczone, a w nich znajdują się kawałki pergaminu z odpowiednimi napisami. To się nazywa „mzuze“. Do pisania ich są specjaliści pisarze „sejfer“, umiejący bardzo kaligraficznie pisać po hebrajsku. Od czasu do czasu „mzuze“ powinno ulegać rewizyi, dla sprawdzenia czy par-

i zrewidowania kartek w „mzuzie“. Ponieważ zaś członkowie owego „sobranie“ postanowienie swoje uważali za pewnego rodzaju akt użyteczności publicznej, za czyn mający przynieść miastu znakomitą korzyść — i ponieważ, biorąc znowu rzecz z drugiej strony, członkowie komisji i „sejfer“ powinni byli za swą czynność otrzymać wynagrodzenie z funduszów ogólnych, przeto postanowiono nałożyć nowy podatek na mięso.

Powiadają w Tuniejadówce, że wszystkie zabiegi ludzkie kończą się śmiercią, a wszystkie rozprawy w żydowskim kahale muszą ostatecznie kończyć się ustanowieniem nowej taksy. I to jest bardzo naturalne; nawet nie może być inaczej. Od śmierci nie wywinie się żaden człowiek w ogóle — od taksy na mięso żaden żyd w szczególności. Śmierć i taksa to są dwie konieczności nieuniknione. Tak już

gamin nie został czasem uszkodzony. W wypadkach większej wagi, naprzykład chorób epidemicznych, ukazywania się strachów, nieboszczyków etc. robi się generalna rewizja „mzuzie“ w całym miasteczku.

urządzony został świat, i godzić się z tem musimy.

Zmian żądają tylko heretycy! (apikor-sim).

Abramowicz, stając zawsze w obronie ludności biednej i uciśnionej, ze szczególnem upodobaniem wyszydza postępowanie możniejszych, którzy zazwyczaj w ten sposób rządzą gminami, iż największa część ciężarów spada na barki ubogich. Jestto ulubiony jego temat i często też do niego powraca. Pod tym względem postępuje on stale jako „adwokat ludu“.

Beniamin, nie wiedząc że był powodem wielkiej sesji kahału i podrożenia mięsa w miasteczku, w samo południe powędrował do lasu, znajdującego się o trzy „miary szabasowe“ *) od miasta. Wziął też z sobą kilka ksiąg, z którymi nie rozstawał się nigdy. Usiadłszy w lesie, pod drzewem, czytał — a później oparł głowę na dłoniach i długo, długo dumał. W myśli zawędrował już daleko, do stron odległych, na ko-

*) W szabas wolno jest żydom iść — ale tylko pewną oznaczoną ilość kroków. Tę liczbę kroków nazywają „miarą szabasową“.

niec świata. Przechodził przez góry, rzeki, pustynie i wszystkie miejscowości opisane w książkach... Wędrował śladami Aleksandra macedońskiego, siedł obok „Aldod Hadori“ i tym podobnych bohaterów; widział straszliwego zwierza „Pipernotera“... okropnego robaka, który się zwie „Lindeworim“, widział olbrzymie węże, jaszczurki...

Przebudziwszy się z marzeń, spostrzegł, że jest już późno i że czas wracać do domu. Wstał więc i poszedł. Szedł godzinę, dwie, trzy, cztery godziny — i w żaden sposób nie mógł wyjść z lasu... Włosy powstały mu na głowie z przerażenia, gdyż zapadła noc ponura, czarna jak smoła — las szumiał groźnie... i otaczał biednego wędrowca drzewami, niby milionową armią olbrzymów.

Duch w Beniaminie zamierał..

Nagle zerwał się straszny wichur, otworzyły się upusty niebieskie i ulewny deszcz siekł biednego wędrowca. Błyskawice przebiegały po niebie, jak węże ogniste; co chwila uderzał piorun, a drzewa, ledwie mogąc się oprzeć naporowi wiatru, straszliwie trzeszczały...

Beniamin zatrzymał się. Stał wobec

rozszalałej burzy, przerażony, drżący... Grube krople deszczu biły go po twarzy, błyskawice oślepiały — to też trząsł się jak w febrze, dzwoniąc zębami z rozpacz i strachu.

— Oto wnet, myślał sobie, wyskoczą dzikie zwierzęta: niedźwiedź, lew, „lempert“ i wszelkie okropne potwory, opisane w księdze „Cel Ejlom“.

Prócz tego, głód trapił straszliwie wielkiego podróżnika, oprócz kawałka gryczanego placka (a reczenkicheł) przez cały dzień nie miał nic w ustach... a tu już noc tak dawno... Beniamin w smutku i przerażeniu swoim, zaczął się modlić gorąco, z całego serca i tak długo się modlił, aż Bóg zmiłował się nad nim, zatrzymał burzę i ulewę, rozproszył ciemności i kazał jutrzence, aby oświetliła drogę podróżnika...

Beniamin poszedł. Szedł, szedł, godzinę, drugą, aż nareszcie zdawało mu się, że słyszy w oddaleniu głos ludzki.

Głos ten, zamiast ucieszyć Beniamina, przeraził go tylko — zdawało mu się bowiem, że oprócz różbojników (gazien) nikt nie mógł znajdować się w tym lesie. Nie namyślając się długo, Beniamin począł uciekać z rączością jelenia, jak wówczas, gdy

za lat młodych, czynił z Rabinem pamiętny odwrót z ponad rzeczki.

Nagle wstrzymał się w biegu i rzekł sam do siebie z wyrzutem:

— Pfe! Beniaminie! to jest bardzo pfe! Jakto? chcesz iść w taką podróż! na oceany i puszcze! między dzikie zwierzęta, góry i przepaście, a drżysz na myśl, że cię „gaz-łen“ spotka?! Pfe! pfe! Beniaminie, powinienś wstydzić się takiego interesu. Czy „Aleksander Mugden“ uciekał kiedy tak jak ty? Czy tak drżał jak ty? Czy Aleksander Mugden, kiedy jechał na wielkim orle w powietrzu, trzymając na końcu miecza kawał mięsa, do którego orzeł, rwąc się, szybował coraz wyżej, czy Aleksander Mugden drżał wówczas, tak jak ty, Beniaminie? Nie — Aleksander Mugden nie drżał i nie uciekał nigdy. Przeciwnie, — więc ukrzep się, Beniaminie, wzmocnij, gdyż Bóg próbuje twych sił. Wszak idziesz do czerwonych żydków! do dzieci Mojżesza i wsławisz twą podróżą cały nasz żydowski zakątek. Idź więc prost naprzeciw głosu, który słyszysz; zwycięż strach i trwogę, a za to zyskasz wdzięczność, ściągniesz zaszczyt na całą Tuniejadówkę! Będą wówczas dwie strony najślawniejsze w świecie, to jest Ma-

cedonia i Tuniejadówka, i stanie się, że ludzie mięszać będą imiona dwóch największych bohaterów i mówić: Aleksander Tuniejadowski i Beniamin Macedoński!... („Aleksander Tuniejadowker un Beniamin Mugden“).

Tedy Beniamin, ukrzepiwszy ducha swego i uczuwszy ogarniające go nagle męstwo, poszedł wprost przed siebie i spotkał się twarz w twarz z „rozbójnikiem“.

Był to chłop, jadący na wozie z workami, ciągnionym przez dwa siwe woły.

— Dień dobri! — zawołał Beniamin, dziwnym, niezwykłym głosem. Ileż odcieni było w tym wykrzykniku! krzyk, przerażenie, prośba, rezygnacya! Okrzyk ten zdawał się mówić: — Masz mnie, rozbójniku, rób ze mną co chcesz! ale miej litość nademną! nad moją żoną i dziećmi!

Powiedziawszy, a raczej krzyknąwszy w ten sposób „Dobry dień“ — Beniamin oniemiał z przerażenia, głowa opadła mu na piersi, w oczach zrobiło mu się ciemno, nogi wypowiedziały posłuszeństwo — i wielki podróżnik zemdlony upadł na ziemię, jak kłoda...

Skoro otworzył oczy i spojrzął dokoła, zobaczył, że leży na wozie, na wielkim worku kartofli; przykryty grubą, chłopską sukmaną. Blisko głowy Beniamina leżał związany kogut, który przypatrywał się wielkiemu mężowi jednym okiem i, od czasu do czasu, drapał go po brodzie pazurami. U nóg swych widział Beniamin powiązane pęczki czosnku, cebuli i innych smakowitych owoców.

Chłop siedział też na wozie, palił spokojnie „di lulkele“ (fajkę) i co chwila pokrzykiwał na woły: „ksob! hejta! ksob!“ Koła wozu przeraźliwie skrzypiały, a każde innym głosem. Był to pewien rodzaj skrzypcowego koncertu, który widocznie drażnił koguta, gdyż ten trzepotał skrzydłami, jakby zrywając się do lotu, drapał pazurami twarz wielkiego wędrowca, a od czasu do czasu, z wielkim impetem i gniewem (mit kas, mit impet), zapał mu w same ucho: „kukuryku“!!

Przez jakiś czas Beniamin leżał na wozie prawie bez życia i nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co się z nim dzieje; strach, głód, zmęczenie i zimno zgnębiły go i złamały. Zdawało mu się, że go rozbójnicy pojмали na pustyni...

Niechby chociaż — myślał z westchnieniem, — ten zbójca, w którego mocy jestem, ten ludokupca, sprzedał mnie przynajmniej żydowi — to mógłbym żyć jak Bóg przykazał i pełnić obowiązki mej wiary; lecz jeżeli, broń Boże, dostanę się do rąk jakiego pogańskiego księcia, lub co gorzej, księżniczki, a ta zechce mnie zmuszać do takich czynów, do jakich żona Putyfarowa zniewalała czystego Józefa!.. Cóż pocznę wtenczas, nieszczęśliwy? cóż pocznę!! — jęczał Beniamin.

Chłop, widząc że się jego pasażer rusza, odezwał się:

— Nu, żydku... a szczo, troszku lepsze tebe?

Beniamin podniósł głowę weselej i przypomniał sobie, co się z nim dzieje. Znalazł się jednak w bardzo przykrem położeniu. Nie umiał prawie ani słowa po chłopsku, nie wiedział co mu odpowiedzieć, nie mógł spytać gdzie jest i dokąd go wiozą.

Beniamin próbował podnieść się i usiąść na wozie, nogi jednak wymawiały mu posłuszeństwo, ruszać się nie mógł.

— Lepsze tebe troszki? — powtórzył zapytanie chłop i, nie czekając odpowiedzi,

krzyknął na woły: hejta he! ksob! ksob, byciu...

Beniamin tymczasem wyjęczał odpowiedź:

— Lepsze, oj waj, lepsze, raki, ryby moi, oj! oj! oj! (miało to znaczyć, że ani ręką ani nogą ruszyć nie może).

— A widki ty, żydku? (z kąd ty żydku)— zapytał chłop znowuz?

— Widki ty-żydki? — wyjęczał zdumiony Beniamin... nie rozumiejąc pytania... i dodał: — ja nijamke bniamke uw Tuniejadówke...

— Ty iz Tuniejadówki każyś. Szczoż ty na mene wytaraszczil oczi jak szalony?... ale może ty taki i szalony, trascia twoi materi... ksob, ksob, hajta byciu, kso!...

Beniamin usiłował porozumieć się z chłopem:

— Ja, sztejtsz... ja nijamke, bniamke uw Tuniejadówke! — mówił wielki podróżnik, robiąc rękami gest taki, jak gdyby błagał o litość — uw Tuniejadówke! żyinka tebe dać czarke wodka i szabasowy bułka i tebe dobre denkujet.

Chłop z obojętnością przedziwną słuchał tej mowy, paląc fajkę, po chwili dopiero odrzekł:

— Dobre, żydku... ksob... byciu... ksob!

W kilka godzin potem, wóz, skrzypiąc przeraźliwie, wtoczył się na rynek pięknego miasta Tuniejadówki.

Natychmiast gromada żydówek zbiegła się ze wszystkich stron, zasypując chłopę pytaniami.

Jedna krzyczała:

— Czujesz! skilki chcesz za tego piweń? (za koguta), za cybuli?

Druga pytała:

— Może majesz kartoffi?

Inna wreszcie odezwała się:

— Czujesz? a może ty bacził na doro-gi żydka? U nas jeden żydka, Beniamka... wczoraj propał jak uw wody!

Zanim chłop zdążył podrapać się w głowę, swoim zwyczajem, i dać odpowiedź, ktoś, chcąc zobaczyć co się więcej na wozie znajduje, podniósł sukmanę, którą był przykryty Beniamin.

Tłum kobiet jednym głosem zawołał: Beniamin!!

Zrobił się gwałt i rejwach niesłychany. Ostre głosy kobiet mieszały się w chóralnych dyssonansach, tak, że le-

dwie można było dosłyszeć oderwane wyrazy:

— „Cipe krejne“! (Cipo-korono) „Baszewe Brajndle!“ (imię kobiece), lećcie prędzej do Zełdy, nieście jej radosną nowinę... Zguba się znalazła!

Wielki podróżnik leżał bezwładny na wozie i, wystraszonemi oczami, spoglądał na ludzi...

Biedny Beniamin, zmęczony, głodny, zboleły, zdjęty został z woza i przeniesiony do domu. Niebawem przybył wielki „mumcho“, uczony cyrulik, największa powaga medyczna w całej Tuniejadówce; obstawił Beniamina pijawkami, bańkami, ogolił mu głowę, wysmarował maścią, słowem, użył wszelkich środków, aby znakomitemu podróżnikowi utracone zdrowie przywrócić.

Na szezęcie, usiłowania cyrulika, o tyle o ile przynajmniej, odniosły pożądany skutek.

Streszczając pracę Abramowicza, a wybitniejsze ustępy z niej tłómacząc dosłownie, staram się przedstawić czytelnikom wszelkie zalety tego autora, którego istotnie warto dać poznać szerszemu ogółowi.

Scena w lesie, monolog Beniamina, spotkanie się z chłopem, napisane są wybornie. Jakiż tu doskonały rysunek tchórzostwa i trwogi, z którą napróżno walczył Beniamin! jak trafnie, w kilku pociągnięciach pióra, skreślona sylwetka chłopca rusina, flegmatyka, małowównego... a pocziwego w gruncie.

U Abramowicza, chłop, znalazłszy zemdlonego żyda na drodze, bierze go na wóz i odstawia do domu, jednym słowem, dźwiga go w nieszczęściu, podaje mu rękę. I tak też bywa w rzeczywistości najczęściej.

Gdyby jednak podobną scenę opisywał autor inny, z obozu pisarzy lubiących poświęcać prawdę dla zasady, dla wywyższenia jednej warstwy ludzi, kosztem poniżenia drugiej — to ta scena wyglądałaby zupełnie inaczej. Chłop, jeżeliby nie zabił zemdlonego żyda, toby go przynajmniej obdarł z ostatniej kapoty, kopnął nogą i powiedział: „zmarnij, żydzie“!

Mamy w naszej literaturze dość podobnego rodzaju przykładów, dowodzących niesumienności w traktowaniu przedmiotu i tendencyjnie fałszywego przedstawiania rzeczy.

Możnaby o tem wiele i bardzo wiele powiedzieć, ale tu nie miejsce potemu... idźmy więc dalej za Abramowiczem i jego, rwącym się do odległych pustyń, Beniaminem.

IV.

Niepowodzenie nie zraża wielkich ludzi, a geniusz im więcej napotyka przeszkód, tem bardziej rwie się do czynów. Tak samo i Beniamin. Smutny rezultat pierwszej wycieczki, gorąca rozprawa z małżonką, choroba, plotki miejskie i wielkie posiedzenia w „bejshamidraszu“ pod piecem, zamiast osłabić w nim rycerskiego ducha, wywarły skutek wprost przeciwny.

Beniamin, przyszedłszy do zdrowia, znowu zaczął marzyć o wielkiej podróży, której pragnął całe życie swoje poświęcić. Myśl ta stała się dla niego dziesięć razy droższą niż poprzednio. Czuł on, że w pierwszej wyprawie, złożył już dowody bohaterstwa i siły, że może śmiało rzucić się

na nowe rycerskie przedsięwzięcia. Uważał się za bohatera i za myśliciela, filozofa („a hakren“) zarazem i mniemał, że dwie te cnoty, to jest uczoność i męstwo, doprowadzą go do zamierzonego celu. Z księgi „CełEjłom“ wiedział, co się dzieje na całym świecie, z tego też powodu, było mu przykro, że on, taki człowiek, powołany do wielkich i bohaterskich czynów, traci czas napróżno i gnuśnieje w takiej podłej mieścinie — jak Tuniejadówka.

— Do dzieła! do czynu! — mówił ciągle do siebie Beniamin i dusza jego wrywała się do pustyń, do krajów nieznanych... do ideału!

Jak róża między kolcami, wyglądał wielki Beniamin pomiędzy mieszkańcami Turniejadówki, i marnował się poprostu, w takim kącie nędznym, między prostymi niewykształconymi ludźmi, którzy nie rozumieli nawet po co żyją na świecie. Gawędy ludzkie, dowcipkowania, bawienie się jego kosztem, nie wywierały na Beniaminie żadnego wrażenia, — przeciwnie, umacniały go niejako w powziętym zamiarze.

Ale jak ten zamiar wykonać? Zkąd

wziąć funduszków na tak wielkie przedsięwzięcie? Przepędzając całe życie w „bejs-hamidraszu“, Beniamin nie miał nigdy ani grosza w kieszeni. Środki do mizernego życia zdobywała swoim przemysłem Zeldą, jego żona, istna „hic mulier,“ która na barkach swoich dźwigała cały ciężar utrzymania domu. Miała ona maleńką kletkę z łakociami — ale cóż ten cały kram był wart!? Gdyby nie to, że trudniła się robieniem pończoch i darcie pierzy, gdyby nie to, że czasem od znajomych chłopów kupiła tanio jaki produkt i sprzedała go z zarobkiem — to nie miałyby co w usta włożyć... W domu również nie było nic takiego, coby można sprzedać. Para mosiężnych lichtarzy nadawała się nie do zbycia, Zeldą otrzymała je bowiem w sukcesji po rodzicach, czyściła je zawsze z pewną dumą — i co piątek, przed szabasem, zapalała w nich świeczki łojowe.

Są kosztowności rodzinne, których nie godzi się pozbywać! Prócz lichtarzy, Zeldą miała jeszcze srebrny pierścionek z perłą, lecz ten należał również do rodzinnych klejnotów.

W osobistym swym majątku, Beniamin

miał tylko szabasową kapotę i kożuch. Kapota była atlasowa, błyszcząca, lecz zarazem podarta z przodu i z tyłu, zabłocona, zniszczona i niemająca wysokiej wartości. Była to jeszcze weselna kapota Beniamina.

Kożuch również miał kilka felerów. Przedewszystkiem, futro się w nim już dobrze wytarło, a powtóre, nie posiadał on kołnierza, tylko kawał podszewki.

Należy powiedzieć kilka słów o tym kożuchu, a właściwie o samym kołnierzu. Gdy Beniamin miał się żenić z Zeldą, teść jego przyszły, jak wszyscy zazwyczaj teściowie, bajecznie hojny przed ślubem, rzucił Beniaminowi, aby sobie sporządził kożuch obszerny, dostatni i ciepły, co też posłuszny zięć uczynił swoim kosztem... Teść, chcąc się przyczynić do uświetnienia owego futra, darował zięciowi kawał żółtej podszewki z własnej swojej kapoty — i kazał urządzić z niej podkładkę pod kołnierz.

— Każ to pięknie wystebnować, — mówił do Beniamina, — i nie żałuj cennego materiału, chciałbym albowiem, żebyś miał kołnierz szeroki, imponujący, porządny i żeby każdy spojrzawszy na ten koł-

nierz, widział odrazu, że jesteś zięciem człowieka, który ci nic nie szcędzi. Tymczasem, mój drogi, będziesz nosił samą podszewkę, ale masz moje słowo, że jak ci wypłacę resztę posagu, to ci zarazem kupię skórek z tchórzów i będziesz miał ubranie, którego ci świat pozazdrości!

Teść, człowiek honorowy, dotrzymał słowa — i skutkiem tego, Beniamin nosił ciągle kożuch z kołnierzem ze starej żółtej podszewki.

Może to się czytelnikowi wyda dziwnem, lecz teść był w najzupełniejszym porządku — słowa dotrzymał, gdyż zadeklarował sprawić kołnierz, zaraz po wypłacie posagu, — a ponieważ posagu nie wypłacił, więc... termin kupienia tchórzowych skórek jeszcze nie nadszedł...

Beniamin chciał się koniecznie wyrwać z Tuniejadówki — ale jak? Powiedzieć żonie nie sposób, narobi awantur i krzyku, nie zrozumie wzniesłego celu podróży; bo kobieta, chociażby najmądrzejsza, zawsze jest tylko kobietą i w głębię duszy wielkiej spojrzeć nie potrafi. Uciec zaś od Zeldy tak potajemnie, nie powiedziawszy jej nawet „do widzenia” także

głupi interes. To trochę przykro (is a bis przykre, abiseł majse litwak *)-.

Pozostać zaś w domu i wyrzec się wielkich podróży niepodobna! to to samo, co wyrzec się życia.

Jak żyd trzy razy dziennie modlić się musi, tak Beniamin trzy razy dziennie musiał o swej podróży rozmyślać.

Marzył o niej we śnie i na jawie, a nawet do rozmowy wtrącał nieustannie takie wyrazy jak „hindyje“ (Indye), „Sambatye“, „pipernoter“, „ajzeł i mojtajzeł“ (osiół i muł), „bokseren“ (chleb świętojański), „kicapihis“ (placek z miodem), „tejger“ (turek), „toter“ (tatar).

Rozmyślając wciąż nad wielkim przedsięwzięciem, Beniamin przyszedł do wniosku, iż musi sobie przedewszystkiem wyszukać towarzysza podróży.

Był onego czasu w Tuniejadówce mąż

*) Pomędzy żydami z południowych gubernij, a Litewskimi żydami, istnieje dziwny antagonizm, od którego zresztą nie są wolni także i żydzi warszawscy... „Litwok“ nie cieszy się wielką sympatją ze strony swych współbraci z nad Dniepru i z nad Wisły... Zdarzyło mi się samemu od warszawskiego żyda słyszeć takie zdanie: „te lit-

niektóry, imieniem Senderił, wnuk starego rebe Senderiła, człowiek dziwnej prostoty ducha i słodczy charakteru. W „bejschamidraszu“ nie wtrącał się do rozpraw i w ogóle odzywał się bardzo rzadko. Nie należał on do tuniejadowskich „fajneberye“ ani do tamtejszych „cymesów“ (arystokracji). Wszelkich rozpraw podpiecowego komitetu słuchał spokojnie, jak człowiek zupełnie obcy; kiedy zaś pewnego razu wtrącił do rozmowy jakieś słowo, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Senderił wszakże nie zmięsział się tym objawem wesołości, przeciwnie — śmiał się wraz z innymi.

— Śmieją się — rzekł — i owszem, niech się śmieją, kiedy im to sprawia przyjemność.

Senderił, jak powiedzieliśmy, był człowiek cichy i dobrego usposobienia; lubił się bawić z dziećmi i nie gniewał się, gdy go darły za brodę.

waki“ mają dobre głowy, oni są nawet w naszych księgach bardzo uczeni, ale są „gałgany“, każdy z nich nosi krzyż na piersiach.“ Miało to znaczyć, że żyd litewski łatwiej poddaje się wpływom cywilizacji nieżydowskiej.

Zdawało się, że człowiek ten nie miał zółci, a przytem potrafił się do wszystkich stosować. Między młodymi był Senderił młodzińcem, wśród dzieci dzieckiem. Umiał się również stosować do wymagań swej małżonki i spełniał wszystkie jej rozkazy. Miał on też od niej gorzką doleg, („a bittere dolie,“) trzymała go albowiem w ciągłym strachu i obarczała różnemi pracami, nie wchodzącemi w zakres zwykłych zatrudnień pana domu i głowy rodziny. Musiał on szorować podłogę, myć garnki, obierać kartofle, zagniatać i krajać „łok-szen“ (makaron), oporządzać ryby, przynosić drwa i palić w piecu, akurat jak kobieta; ztąd też dano mu w miasteczku przydomek „Senderił di judene“ (Sender — żydówka).

Na tego to człowieka o zadziwiająco łagodnym i spokojnym charakterze, padł wzrok Beniamina i wielki podróżnik pomyślał, że nawet, w samo południe z latarnią szukając, lepszego towarzysza wędrowki nie znajdzie.

I stało się, że gdy Beniamin przyszedł do mieszkania jego, zastał go zajętego skrobaniem kartofli, siedzącego na „ławce

mlecznej“*). Jeden policzek Senderiła był nieco obrzęknięty i czerwony, a pod okiem sina plama świadczyła o jakimś delikatnem nieporozumieniu małżeńskiem. Znać było także na owem obliczu jakieś rysy, niby ślady paznogci. Senderił skrobał kartofle, w smutnem zamyśleniu, małżonka jego zaś nie była w domu obecna.

— „Git morgen“ Senderił (dzień dobry) — rzekł Beniamin wchodząc — cóżes tak zbiedzony dziś, moje serce?... gdzie się obraca twoja żona?

— Jest na targu.

— Doskonale — zawołał Beniamin — doskonale! porzuć, duszo moja, kartofle i chodź zemną do alkierza, tam zapewne nie ma nikogo. Chcę przed tobą otworzyć moje serce... Chodź, chodź, prędzej Senderił.

— Prędzej? chcesz prędzej? niech bę-

*) „Milchedige bank.“ Przepis religijny nie pozwala żydom mięszyć pokarmów mlecznych z mięsnymi. Ztąd też każda gospodyni posiada dwa oddzielne garnitury naczyń kuchennych i stołowych: jeden wyłącznie do mlecznych, drugi do mięsnych potraw. W wykonaniu tego przepisu,

dzie prędzej, kiedy chcesz — rzekł Senderił wstając.

— Senderił! — rzekł Beniamin tajemniczo, gdy się wraz z przyjacielem zamknęli w alkierzu — Sanderił, czy ty wiesz, co jest za Tuniejadówką... tam, w tamtej stronie?

— Wiem — odpowiedział poważnie Senderił, za miastem w tamtej stronie jest „a priczepe“ (rogatka) i tam można dostać bardzo dobrej wódki.

— Głupi jesteś... ja myślę co jest dalej... daleko dalej po za „priczepe.“

— Dalej za Tuniejadówką!? za „priczepe“? — zapytał Senderił zdziwiony — zkąd ja mam wiedzieć, czy tam jest co dalej? a ty, Beniaminie, czy wiesz?

— Ja!? czy ja wiem? to mi dopiero pytanie! — rzekł z takim entuzjazmem Beniamin, jak gdyby odkrył nową Amerykę

konserwatywni żydzi są tak drobiazgowi, że mają nawet oddzielne ławki, na których tylko takie lub owakie naczynia postawić im wolno. Na „milchedige bank“ naprzykład, niemożna postawić garnka, w którym zwykle gotuje się mięso.

— tam... tam jest dopiero świat — dodał przyciszonym, lecz dobitnym głosem.

— A cóż tam jest?

— Tam? tam jest... „pipernoter“... „lindeworim.“

— „Lindeworim? Jakto? ten wielki, straszny robak, który przegryzał zębami kamienie na budowę wielkiej naszej świątyni, za czasów króla Salomona?*)—zapytał Senderił z nadzwyczajnym zdumieniem.

— Tak, moja duszo, ten sam... Za Tuniejadówką, daleko, jest „Ziemia Izraela.“ Czy chciałbyś tam być kiedy, Senderił?

— A ty?

— Także pytanie! ja tam właśnie chcę iść — i to niezadługo.

— Zazdroszczę ci, Beniaminie, zakosztujesz bowiem słodczy daktyli i chleba świętojańskiego...

— Ty mógłbyś mieć to samo, gdybyś

*) Skarbnica legend żydowskich jest niewyczerpaną. Fantazja, właściwa wszystkim wogóle ludom wschodnim, wytworzyła u nich mnóstwo podań dziwnych, wymarzyła cały świat aniołów i złych duchów, najdziwaczniejszych bestyj i olbrzymów. Przy sposobności pomówimy o tem obszerniej.

chciał. Wszak cząstka „Ziemi Izraela“ należy także do ciebie.

— Ale jak się dostać do niej? przecież tam siedzi „tejger!“ (turek).

— I na to można znaleźć lekarstwo — powiedz-no mi, serce, czyś ty kiedy słyszał o „czerwonych żydkach?“

— Oj, oj, nasłuchałem się o nich dośyć w bóżnicy pod piecem, ale gdzie oni mieszkają i w jaki sposób dostać się do nich, to nie a nie nie wiem.

— Ha! ha... a ja wiem! Księga „O przymiotach Jerozolimy“ powiada o tem dość wyraźnie. Jeżeli chcesz, to przeczytam ci co w niej stoi, słuchaj:

-- Powiedziawszy te słowa, Beniamin otworzył książkę, z którą nie rozstawał się nigdy i rzekł:

— A gdy przybyłem tam, tak stoi napisane, spotkałem czterech żydów z Babilonu. Zacząłem mówić z jednym z nich, który rozumiał „mowę świętą“ i nazywał się rebe Mejsze. Ten mi opowiedział wiele prawdziwych szczegółów o rzece „Sambaty“, o której nasłuchał się od ludzi bardzo godnych, którzy wiedzieli, że po za tą rzeką mieszkają dzieci Mojżesza.“ A oto dalej, stoi tak: I opowiedział mi ów bogacz,

jako przed laty trzydziestu, stanął przed obliczem jego człowiek z pokolenia Symeona i ten mówił, że w jego mieście są jeszcze żydzi z pokolenia Issahar, którzy zajmują się tylko czytaniem ksiąg świętych i mają własnego króla nad sobą. Oprócz tego, stoją jeszcze w „Księdze Podróży Beniamina“ takie słowa: Ztąd o dwadzieścia dni drogi, jest góra „Gisbejn“ nad rzeką „Gejzon.“ Na owej górze mieszkają cztery pokolenia: „Dan, Zebulon, Aszer i Neftali.“ Ci mają w swem posiadaniu całe kraje, stolice i góry... Z jednej strony otacza ich rzeka „Gejzon.“ Ci nie mają nad sobą jarzma obcych narodów i rządzi nimi jeden król, a imię jego jest „Jejsef Amarkloha-lewi.“ Prócz tego, stoi tam jeszcze wiele ciekawych słów o „bni rejchów“ w kraju „tejmo,“ którzy mają nad sobą żydowskiego króla, a poszczą i płaczą często nad rozproszeniem żydów. — I cóż ty myślisz, Senderi!, jakby to było, żebyem ja, ich brat, Beniamin z Tuniejadówki, poszedł ich odwiedzić!? Co, Senderi!?

— Sprawilibyś im niesłychaną radość, Beniaminie, bo czyż to żarty? Taki gość! taki gość! Każdy zapraszałby cię na ucztę, ja myślę, że nawet sam król Amarkło posa-

dziłby cię przy swym stole. Ach! Beniaminie, kiedy będziesz ich widział, kłaniaj się im odemnie i powiedz, że gdybym tylko mógł, odwiedziłbym ich bardzo chętnie.

— A któż ci broni? kochany Senderuniu?

— Kto broni?

— Senderi! ja mam świetną myśl! Idźmy razem. Gdy ja zostanę królem w tamtych stronach, zrobię cię natychmiast kanclerzem, prawą ręką królewską... ty będziesz u mnie pierwszym dygnitarzem! Co się zaś tyczy jej... twojej żony, nie zważaj na nią, jest ona zła, swarliwa i zatrzuwa ci życie. Spójrz na twoje policzki, do czego one podobne?... spuchnięte, obdrapane, sine!... Ty, Senderi!, masz od niej ciężkie życie, otrząśnij się z tego, chodź zemną, będziesz żył sobie w radości i chwale... Kanclerzem u mnie zostaniesz!

— Ha! — odrzekł Senderi!, — kiedy już koniecznie chcesz tak, niechże będzie tak. A ona? niech sobie zostanie tutaj, co mnie to obchodzi?

— Duszo moja! niechże cię uściskam — zawołał w uniesieniu Beniamin. — Tyś mi rozwiązał kwestyę, kwestyę ciężką jak kłoc! (a kasze, a kłoc-kasze). I ja teraz

mogę powiedzieć, jak ty: a co się jej tyczy, co mnie to obchodzi? Pozostaje tylko jeszcze jedna kwestya, skąd wziąć środków na takie przedsięwzięcie?

— Środków? jakich środków, Beniaminie? Czy masz zamiar oporządzać się na tę podróż? Czy chcesz może kazać przenicować starą kapotę? Dalibóg, to nie potrzebne. Do podróży najlepsze jest stare odzienie, a jak przyjdziemy do króla „Amarkło“, to on nam każe porobić nowe, bardzo porządne kapoty.

— To prawda... ale zawsze potrzeba trochę pieniędzy, chociaż na jedzenie.

— Co to znaczy, na jedzenie? Jak to rozumieć? Czy myślisz, Beniaminie, brać z sobą całą kuchnię? Po co? Czy to po drodze mało jest karczem, mało domów?

— Nie rozumiem co myślisz, Senderi!.

— To prosta rzecz: aby tylko były domy po drodze, to już dobrze... będziemy szli od domu do domu, czyż wszyscy żydzi nie postępują tak samo? To będzie tylko wzajemność. Wszak chodzić po domach, to jest żydowska rzecz!

— Dalibóg, masz rację, Senderi!. W tej chwili zrobiło mi się jasno w oczach i, Bogu dzięki, jestem już całkiem gotów do od-

bycia wielkiej podróży... Więc jutro raniutko, do dnia, kiedy cały świat spać jeszcze będzie, puszczaamy się w drogę. Grzechem byłoby tracić czas na próżno! Czy gotów jesteś pójść jutro? Senderił.

— Kiedy chcesz koniecznie jutro, niech będzie jutro, co mnie to obchodzi?

— Jutro i to bardzo raniutko, słyszysz Senderił? Ja pocichutku wymknę się z domu i oczekiwać cię będę za miastem — pod pustym wiatrakim. Ty tam nadejdz i puścimy się w drogę. Pamiętaj-że, przyjdź.

— Czekał Beniaminie, czekał trochę — rzekł Senderił, dobywając z bocznej kieszeni swego „lajbika“ woreczek irchowy, brudny porządnie, zawiązany sznurkiem na trzydzieści węzłów, — patrzaj, tu jest trochę pieniędzy, które udało mi się zaoszczędzić, w sekrecie przed żoną. To nam wystarczy w najgwałtowniejszej potrzebie.

— O Senderił, teraz widzę coś wart, teraz przyznaję, że trzeba cię ucałować stokrotnie! — zawołał Beniamin, chwytając przyjaciela za szyję.

— Żeby was wszyscy djabli schwycili!... jakto się czuła i całują! patrzcie, co za przyjaźń między nimi! — a tymczasem koza weszła do izby i zjada kartofle, aż miło!

Taką tyradę wypowiedziała na progu magnifika Senderiła, która właśnie przed chwilą powróciła z miasta. Była groźną i straszną w oburzeniu i gniewie; — jedną ręką wskazywała na kozę, drugą zaś dawała mężowi znak, aby się przybliżył.

Senderił, wiedząc co go czeka, przysuwał się powoli, jak dziecko, które wie, że je kara ma spotkać.

— Ukrzep się i bądź mężnym, duszo moja — szepnął mu do ucha Beniamin — pomyśl, że to już ostatni raz... a pamiętaj o jutrze...

Z temi słowy, wielki podróżnik wymknął się ostrożnie z domowego ogniska swego giermka.

V.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zanim jeszcze pastuch wypędził krowy miejskie na trawę, Beniamin z tłomoczkiem pod pachą, już znajdował się koło pustego wiatraka, na umówionem miejscu.

W tłomoczku miał wszystko, co może być potrzebnem w długiej i pełnej niebezpieczeństw podróży, a mianowicie: „tales“, „tefilim“ i pełne mądrości księgi. Znajdowała się tam również szabasowa kapota, by w świecie dalekim pokazać się ludziom porządnie i elegancko. W kieszeni miał Beniamin piętnaście groszy, które wyciągnął żonie z pod poduszki. Tak więc był już, dzięki Bogu, zaopatrzony we wszystko — i mógł wędrować bezpiecznie, choćby na kraj świata!

Tymczasem słońce weszło i ukazało światu swą jasną, promienną twarz. Krople rosy drgały jeszcze na trawie i na listkach — a ziemia podobną była do dziecka, które nagle, ze smutku do radości przechodząc, śmieje się, mając w oczach lzy wielkie jak groch.

Ptaszki unosiły się w powietrzu nad głową Beniamina, przelatywały nad nim, spoglądały z góry i zdawały się mówić do innych ptasząt:

— Patrzcie! patrzcie, oto Beniamin, Beniamin z Tuniejadówki, „Aleksander Mugden“ swego czasu! ten sam, który oto opuszcza kraj ojczysty, żonę, dzieci i idzie w świat daleki... Patrzcie. oto słońce oświetla bohatera, który wnet rzuci się na niebezpieczeństwa, z tłomokiem swoim pod pachą! Mocny on jest jako „lempert“ i śmiały jako orzeł, ten Beniamin... Śpiewajcie więc, ptaszki! śpiewajcie swoje „trilili“! rozradujcie serce bohatera!

Istotnie Beniamin doznawał rozkosznego wrażenia. — Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, — mówił sam do siebie — idę już w drogę. Żona moja zabezpieczona, gdyż, z łaski Bożej, ma środki do życia... ja sam zaś wolny jestem jak ptak.

Cały świat otwarty przedemną, a z mojem doświadczeniem, mężstwem, odwagą, z moją uczonością wreszcie, nie przepadnę!...

Beniamin wpadł w tak dobry humor, że zaczął śpiewać marsza i wędrować dla wprawy koło pustego wiatraka.

Upłynęła chwila dość długa, na drodze nie było widać nikogo. Senderił opóźniał swe przybycie. Czyżby żona kazała mu skrobać kartofle, w chwili, gdy cała Tuniejadówka pogrążona jest we śnie?

Beniamin zaczynał się niepokoić i sam nie wiedział co czynić. Wrócić się? pfe! brzydko „Aleksander Mudgen“ nigdy nie wracał z drogi. Iść samemu? przykro znów, bardzo przykro... a nawet dziwnie poniekąd. Któż bo widział okręt bez rudła? króla bez ministra?

Gdy tak Beniamin smutnie rozmyślał, na drodze ukazała się jakaś postać, w cyco-wem ubraniu, z głową owiniętą w chustkę. Wielki podróżnik zadrzał... Zdawało mu się, że poznaje w tej osobie małżonkę swoją, Zeldę...

Tego tylko nieszczęścia brakowało! Będzie lament, płacz, gwałt („a jomer, a klog, a gwałt“), będą sceny okropne!

Ta kobieta nie idzie, lecz leci, pędzi jak uragan, jak burza...

Beniamin postanowił mężnie odeprzeć atak i, w tym celu, ukrył się w pustym wiatraku. Gdy tak, dzwoniąc zębami ze strachu, walecznie stawiał czoło niebezpieczeństwu — nagle z piersi jego wydobył się okrzyk radości.

Osobą pędzącą ku wiatrakowi była nie Zelda, lecz oczekiwany Senderił! Ale jakże zmieniony!!

Ubrany w długi kitel cycowy, twarz miał podwiązaną chustką, pod oczami zaś i na policzkach siniaki. Widocznem było, że biedny Senderił ciężko odpokutował za żarłoczność kozy, która zjadła kartofle... Pomimo tego, ów żydek wydał się w oczach Beniamina tak zachwycającym, jak wystrojona oblubienica w oczach szczęśliwego kochanka, tak rozkosznym, jak źródło świeżej wody źródlanej dla wędrowca w pustyni.

— Co się stało z tobą, Senderił, że dałeś mi czekać tak długo?

— Chodziłem do ciebie do domu, sądząc, że cię tam zastanę. Zacząłem stukać do okna, zbudziłem Zeldę i spytałem ją o ciebie.

— Senderi! jesteście obadwaj zgubieni. Ona gonić nas będzie!

— Nie bój się, Beniaminie, nie będzie nas ona goniła; powiem ci nawet w sekrecie, że była bardzo zła, gdym się o ciebie pytał i odesłała nas obu do wszystkich dyabłów! (cy alde szwarce joren). Skoro rzekła takie słowo brzydkie i zamknęła mi drzwi przed nosem, domyśliłem się, że już czekasz pod wiatrakami i przybiegłem co prędzej... Twoja Zelta pewnie teraz śpi doskonale.

— A więc, Sanderi!, stawiaj naprzód prawą nogę i marsz!!

Raptem ruszyli nasi podróżnicy z miejsca i szli bardzo szybko, jak gdyby wyrwać się chcieli co prędzej z tego kąta, jak gdyby ich kto z tyłu biczem popędzał. Wiatr rozwiewał ich poły szerokie, tak, że wyglądali obaj niby okręty płynące po morzu z rozpiętymi żaglami. Sroki i wrony, które szukały pożywienia przy drodze, uciekały, spłoszone widokiem tych niezwykłych wędrowców. Żadne pióro nie opisze radości i szczęścia Beniamina. Senderi! również był uradowany, czuł, że spadło z niego ciężkie brzemie, że go już nie dosięgnie ręka małżonki — że zakończyła się jego nie-

wola. Wczorajszy dzień był dlań ostatnim już dniem utrapienia i smutku... Już teraz nie będzie drżał o całość swej bródki, nie będzie miewał siniaków pod oczami.

Przez długi czas nasi wędrowcy pędzili tak bez wytchnienia, nie mówiąc ani słowa. Zmęczeni się też dobrze, oddech mieli utrudniony i grube krople potu spadały im z czoła. Senderi! zaczął potrosze zwalniać kroku i sapał jak gęś.

— Pędź! pędź! Senderi! — wołał Beniamiu, pędząc z coraz większym impetem, jak bohater, który, przepasawszy biodra swoje, z wielkim oszczepem rzuca się w odmęt bitwy.

— Gewalt! Beniaminku, miej litość nad moją duszą... już nie mam siły tak lecieć... Nie każdy tak potrafi... Oh! Beniaminie, ty skaczesz jako jeleń w górach, lub jako cap przed stadem... oj, oj, miej ty litość nademną!

— Pędź, pędź! — wołał nieubłagany Beniamin — widzisz, jak ja pędzę! tak biedz będą ciągle, aż na koniec świata.

— Ale powiedz mi, po co tak rwiesz, jak szalony? Co ci z tego przyjdzie? Czy dostaniemy się nad brzeg Sambaty o dzień później, czy dniem wcześniej, to nam za-

dnem niebezpieczeństwem nie grozi, przecież do końca świata jeszcze kilkaset lat, zdążymy przed tym terminem.

— Nie pytaj, Senderi! — pośpieszaj! — pomyśl tylko, że tam, dokąd idziemy, jest lepiej. Zabolą cię kości, to nie szkodzi... Doszedłszy do kresu podróży, rozprostujesz członki swe i użyjesz wszelkiego smaku i rozkoszy!...

— Masz zupełną rację, Beniaminie; chcesz prędeż, niech będzie prędeż... oświadczyć zgadzam się na to, ale moje nogi!... moje nogi wcale nie chcą mnie słuchać, powiedz mi, co mam z niemi robić? jak zmusić je do marszu?

Przekonany tym argumentem, Beniamin, zwolnił trochę kroku. Gdy słońce wzbilo się wyżej i zaczęło nie żartem dopiekać jasnymi promieniami swemi, nasi wędrowcy zeszli z drogi i schronili się do pobliskiego lasu. Pokładli się w cieniu i zaczęli mocno sapać. Gdy odpoczęli już nieco, włożyli na siebie „tales i teflim“ i zaczęli się modlić. Obadwaj modlili się bardzo gorąco.

Po skończonej modlitwie, znowuż legli na trawie, ale Beniamin dziwnie jakoś posmutniał. Nie mówił nic, tylko z wyra-

zem pewnego niepokoju, spoglądał przed się, nucąc pod nosem.

— Ty musisz cierpieć, Beniaminie — rzekł po chwili Senderi! — mnie się zdaje, że głodny jesteś... bo jakoś śpiewać zaczynaś...

— Ja głodny? istotnie, głodny jestem, ale cóż będę jadł?

— Zaraz zgadłem. Jest chłopskie przysłowie, które mówi: „Żyd śpiwaje, koli gołodaje“; chcesz sobie śpiewać, Beniaminie, śpiewaj. Któż ci broni, ja tymczasem zrobię co innego...

Z temi słowy, Senderi! rozwiązał swój tłumok i wydobył z niego torbę.

— Et — rzekł — ty nie wiesz, ty nie masz żadnego wyobrażenia o tem, co się tu znajduje.

Gdy Beniamin rzucił okiem na torbę, uczuł rozkoszne drżenie we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu członkach *)... W torbie znajdował się porządny kawał chały, pozostałej z szabasu, były ogórki,

*) Żydzi twierdzą, że organizm człowieka składa się z 248 członków. Czy tak jest, mogą sprawdzić anatomowie.

rzodkiew, cebula i czosnek. Senderił zao-
patrzył się we wszystko i, jak porządna go-
spodyni, przedewszystkiem pomyślał o spi-
żarni. Widząc to, Beniamin uradował się
w duchu, że Bóg dał mu tak zacnego towa-
rzysza podróży, Torba jego była istotnie
tem, czem manna na puszczy dla żydów...
onego czasu.

Rozłożywszy prowizyę na trawie, rzekł
Senderił:

— Nie bój się, Beniaminie, wziąłem ja
z sobą tę torbę. W drodze chodzić będę od
domu do domu i torba zawsze się jakoś na-
pełni...

Torba Sanderiła miała być tom, czem
ów cudowny obrus w powieści arabskiej,
któremu dość było powiedzieć: Obrusie! daj
mi jeść, daj mi to, daj mi owo—i życzenie
wnet zostawało spełnionem. Wierzcie mi,
państwo, że torba żydowska jest to cudo-
wny wynalazek!

Torba w żydowskim życiu gra bardzo
ważną rolę, chociaż nie zawsze widzimy ją
w postaci zwykłej torby płóciennej.

Prości ludzie używają takiej ordyna-
ryjnej torby, zaś wyższy świat nadaje jej
inne formy, jak np. skarbonki, kasy, skrzyń-
ki kahalne, ale w rzeczywistości, nie jest to

nic innego, jak tylko torba, torba! prawdzi-
wa torba żydowska! („torbe, torbe, echte ju-
disze torbe“).

— Seuderil! — zawołał Beniamin, pa-
trząc na pożywienie z radością; — my dwaj
jesteśmy doskonale dobrani, my dwaj je-
steśmy jako ciało i dusza. Tyś biegły
w sprawach jadła i napoju — jam biegły
w rzeczach duchowych. Obadwaj dopełniać
się będziemy nawzajem.

— Oddaję też w twe ręce wszystkie
sprawy naukowe i duchowe—rzekł z poko-
rą Senderił—zapewne będziesz wiedział jak
masz postępować, dokąd iść, albowiem głą-
boko pogrążyłeś się w tych książkach.
Ufam ci zupełnie i nie pytam nawet, które-
dy idziemy — idę za tobą, jak cielę, za
krową...

Beniamin uczuł dziwną radość, widząc
człowieka tak ufającego w jego mądrość.
Zdawało mu się, że jest kapitanem okrętu,
mającym kierować wielkim korabiem na
głębiach oceanu...

Ufny tedy w swą mądrość, puścił się
dalej w drogę, uszedłszy jednak kilkaset
kroków, odezwał się do swego przyjaciela:

— Słuchaj-no, Senderil, — oto naprze-
ciw nas jedzie chłop, bądź co bądź, nie za-

wadzi go zapytać o drogę. Zagadaj-no do niego po chłopsku.

Senderił, ponieważ towarzyszył niekiedy małżonce swej na targ, posiadał niejaki wiadomości z filologii słowiańskiej, zbliżył się więc do chłopca i zapytał:

— Dobry dzień! Kazi no, czelowiecze kudy drogi ojf „erec isroił“? (do ziemi Izraela).

Chłop wytrzeszczył oczy na niego i odrzekł:

— Szczo? jakij Sruil? ne bacił ja Sruila.

Beniamin nie mógł wytrzymać — i wtrącił się do rozmowy:

— Ni, ni!—wołał,—eto ni Sruł, a win „lehawdił“ (nie przymierzając) „erec isroił“ kazaty win!! Senderił, powiedz mu to jeszcze raz, tylko jasno, on ma chłopską głowę, więc mu wytłomacz.

— Ojf „erec isroił“ kudy drogi?!—krzyknął Senderił głośno.

— Pies was żydy znaje! szczo wy me ne moroczite gołowu?! eto doroga do Pijawki, a win wsio każe „eresroił! eresroił“!...

Rzekłszy to, chłop splunął, machnął biczem nad końmi i pojechał.

Znajomość filologii słowiańskiej niewiele mogła.

Nasi podróżni puścili się znów w drogę. Beniamin uczuwał jakiś ból w łydkach — zdawało mu się przytem, że mu ktoś nogi podciął. Jak koń podbity, wielki podróżnik kulał i podskakiwał pociesznie, panował jednak nad sobą i nie położył się na drodze, lecz szedł wytrwale.

Tak szli długo, długo, do samego wieczora, aż przyszli do wsi Pijawki, gdzie łatwo odnaleźli karczmę.

Wszedłszy do karczmy, Beniamin rzucił się na podłogę w sam kął, ażeby rozprostować kości i cokolwiek odetchnąć. Senderił zaś, jak stara i doświadczona gospodyni, zakręcił się po izbie, ażeby wyspekulować kolację.

Arendarz, nie bez pewnego, zdziwienia, przypatrywał się dwom podróżnym, zgoła niepodobnym do stałych pasażerów, przejeżdżających i wstępujących do karczmy. Naturalnie, że pragnął zaspokoić swą ciekawość, co mu przyszło z łatwością, gdy zbiegłszy Senderił, pomimo spuchniętej głowy, bardzo do gawędki był chętny.

Zamieniwszy zwykle „Szolem alejchem”, szynkarz zarzucił gościa pytaniami:

zkąd jest jak się nazywa? dokąd idzie? jaki ma interes?

Senderił odpowiedział. że jest „a sztikel erec isroil jud”, czyli, że jest troszeczkę z ziemi świętej,—że jest „szamesz” (służącym) wielkiego rebe Beniamina, który oto teraz, razem ze swoim honorem, spoczywa sobie w kącie, na podłodze.

Arendarz, usłyszawszy to, zrobił bardzo nabożną minę, poprosił Senderiła siedzieć i przyrzekł mu zrobić wszelkie ułatwienia co do kolacyi.

Porzućmy jednak „basmalkę” (księżniczkę), to jest praktycznego Senderiła i zajmijmy się natomiast samym księciem, to jest Beniaminem. Obaczmy, co się z nim dzieje?

Nasz wielki podróżnik, rzuciwszy się na ziemię, leżał jak kamień i nie wiedział, na którym świecie się znajduje. Czuł okropny ból w nogach, senność i zdawało mu się, że mrówki po nim chodzą. W skroniach krew biła, jak młotem. Przed oczami widział jakieś ognie, błyskawice, rakiety i fajerwerki, żółte, zielone, niebieskie, czerwone, ponsowe i inne, w nieskończonej liczbie kolorów. Nagle, wszystkie fajerwerki zaga-

sły, w oczach zrobiło mu się ciemno, a w uszach powstał turkot, jak we młynie...

Dość długi czas leżał Beniamin jak bez duszy, potem zdawało mu się, że słyszy jakby odgłos dzwonek, jakby muzykę—i że jakiś wóz zatrzymał się przed drzwiami. Na wozie odbywały się różne głosy: barytony gardlane, głuche, ochryple, tenory, falsety, dyszkanty, jak gdyby całe miasteczko zbiegło się tutaj i chórem śpiewać zaczęło... Wrzeszczeli wszyscy, jak koty na dachu, nie można było rozróżnić, kto śpiewa i co śpiewa. Było to „pełne sobranie” kotów!

Nagle, drzwi się otwarły i wielka gromada ludzi wpadła do stancyi, z krzykiem, z impetem. Beniamin wystraszony, tulił się coraz więcej w kąt, coraz silniej przyciskał się do ściany. Naraz, w stancyi zrobiło się bardzo widno; jak za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, zajaśniało mnóstwo świeczek w mosiężnych, szabasowych lichtarzach. W dali, na dużym stole dębowym, zasiedli muzykanci i stroili instrumenty, szczypiąc co chwila struny palcami. Jeden pociągał smyczkiem, drugi dmuchał we flet, cymbalista bił pałeczkami w cymbały...—Grajcie wesoło i z życiem! — odezwał się

głos jakiś, a wnet muzyka zagrała skocznie. Kobiety pochwyciły się za ręce i zaczęły skakać tak gwałtownie, że aż tarakany i inne robactwo powychodziło ze szpar, aby się tej uciecze przypatrzeć.

Weselnicy, hulając, zapędzili się w kąt, gdzie leżał nasz wielki podróżnik. Jeden z tańczących nastąpił na niego i zawołał:— Ach! Beniamin! mamy cię, chwała Bogu! znalazła się kosztowna zguba! On jest tutaj! tu leży, pod ścianą!

Na ten krzyk, wszyscy zbiegli się do kąta i Beniamin poznał między nimi tuniejadawskich „fajneberje” i tamtejszego rabina... Wszyscy krzyczeli jednym głosem:— Chodź tańczyć, Beniaminie, chodź tańczyć!— Nie mogę, dalibóg, nie mogę, jęczał Beniamin, nie mogę się ruszyć z miejsca... — Nic nie szkodzi, wstawaj, bo opowiemy wszystko, wiesz komu opowiemy? Zeldzie! — Miejcie litość, ludzie, płakał podróżnik, nie mówcie nic Zeldzie, nie gubcie człowieka!— A rusz-że się, bydlę, ryknął jakiś zapalony tancerz, rusz się, stań na nogi!— Zmiłujcie się, „judisze kinder”! błagał Beniamin; ja, ja się ruszyć nie mogę... o rabi! miej litość nademną.

Z temi słowy, Beniamin pochwyił ra-

bina za kolana rękami — a jednocześnie uczuł silne uderzenie w nos, drugie między oczy, czemś twardem, jak gdyby kopytem — w najwyższem przerażeniu i trwodze, zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Za nim gonił zwierz jakiś, którego w ciemności rozpoznać było trudno... Beniamin był pewny, że to „Pipernoter”... „Pipernoter” zląkł się także Beniamina i, uciekając, obadwa, jeden przed drugim, wpadli nagle w jakiś wielki ceber, napełniony niezbyt czystą wodą...

Wyjaśnijmy bliżej ten okropny wypadek.

Przedewszystkiem zachodzi pytanie, z kąd się wzięło ciele? Wprawdzie Beniamina życzliwi przyjaciele nazywali niekiedy krową („a behejme“); przypuściwszy nawet, że w tem była część prawdy, widzimy znowu pewną niekonsekwencyę. Beniamin albowiem był krową dwunożną, a ciele, które go nabawiło takiego strachu, miało cztery nogi... Jest i to prawda, że pomiędzy naszymi żydkami, zwłaszcza, w tak zwanych, porządnym domach („in lajtisze hajzer“), znajduje się wiele, nawet bardzo okazałych, cieląt — lecz te są cielętami w ludzkiej postaci; ciele zaś, którego kopy-

ta ścisnął wzruszony Beniamin, było najzwyczajniejszym czworonożnym cieięciem.

Był-że to więc cud? Czy może cieię spadło z nieba?

Nie, panowie! nie był to cud, ani też żadne nadzwyczajne zdarzenie—lecz prosty interes. Gdy Beniamin, ledwie żywy, rzucił się na podłogę, w kącie izby karczemnej, nie zauważył, że w tym kącie leżało cieię. Podczas snu, gdy trapiiony okropnymi złudzeniami, które opisaliśmy powyżej, Beniamin tulił się w kącie, więc osobą swoją przyniatał biednego cieięka coraz bardziej— a gdy nareszcie, sądząc, że wypowiada rabinowi najskrytsze zamiary co do swej wielkiej podróży, pochwylił cieię za nogi—cierpliwość głupiego zwierzęcia wyczerpała się... i, w zamian za zwierzenia, Beniamin otrzymał silne uderzenie w nos kopytami.

Hałas, jaki się zrobił przez przewrócenie wielkiej stągwi, plusk wody i krzyk Beniamina, obudził mieszkańców karczmy. Aрендarz i Senderił przybiegli ze światłem—i ujrzeli wielkiego podróżnika, nurzającego się w kałuży wody, przemokłego i wystraszonego... obok cieięcia.

Jaka szkoda, że przy tym wypadku nie było jakiego poety!?

Gdyby poeta był przy katastrofie obecnym, zaśpiewałby niezawodnie: „O pełni miłości i słodyczy! i w kącie i w kałuży— pozostaliście zawsze nierozdzielni“! Niestety, w karczmie, w Pijawkach, nie nocował żaden poeta, tylko prozaiczny arendarz i Senderił. Mężowie ci wypchnęli cieię za drzwi, do obory — a wielkiego podróżnika do alkierza, gdzie ułożyli go na kilku snopach słomy — i dali mu poduszkę pod głowę...

Na drugi dzień po tej „mikwie“, Beniamin uczuł się znacznie rześwieższym, zimna kąpiel nadała członkom jego nieco świeżości. Wielki podróżnik, w przypadku, jaki mu się w nocy przytrafił, widział wyraźny cud i poczytywał to sobie za dobrą wróżbę. Miał też z tego powodu przemowę do swego towarzysza, mniej więcej takiej treści:

— Widzisz, kochany Senderił, jak ludzie są źli i grzeszni, uskarżając się na różne przypadki i nieszczęścia, gdy tymczasem w nieszczęściu zadatek szczęścia się mieści. Albowiem opatrność wybiera na posłanników swoich rozmaite stworzenia, nawet bydła... Wszak w wypadku wczorajszym na moje cierpienie lekarzem było cieię... Nie trzeba lekceważyć stworzeń, chociażby

najdrobniejszych. W dawnych, starych czasach, nędzny komar przewiercał czaszkę „Tytusowi złemu” (który zburzył Jerozolimę), i drobnem żądkiem sprawiał mu ból okropny...

— Masz rację—odrzekł Senderił,—ten wypadek z wodą dobrym jest znakiem; poczytujemy sobie albowiem za szczęście, gdy nam przejdzie drogę nosiwoda z pełnem wiaderkiem, tu będzie większe szczęście, gdyż się cała stągiew na ciebie wylała!

Odpocząwszy przez dzień cały w karczmie, podróżni nasi puścili się w dalszą drogę. Przez długi czas szli milcząc, a Beniamin dziwnie był zamyślony i smutny.

Nareszcie odezwał się z westchnieniem:

— Ach! Senderił, zapomniałem jednej, bardzo ważnej, rzeczy!

— Czego zapomniałeś? — zapytał Senderił, machinalnie chwytając się za torbę.

— W domu, Senderił, w domu zapomniałem...

— Eh, Beniaminie! głupstwo! coś ty mógł zapomnieć? czego tobie brakuje? Wszak, Bogu dzięki, mamy wszystko, co w podróży potrzebnem być może... Mamy torbę... tałas i tefilim też mamy... szabaso-

we kapoty także są... Czegóż chcesz więcej? co mogłeś jeszcze zapomnieć?...

— Zapomniałem odmówić pewną modlitwę, która bardzo skutecznie strzeże ludzi podczas podróży od wszelkich sztuczek dyabelskich...

— Więc jeżeli chcesz, to możemy powrócić do domu i zmówić tę modlitwę...

— Zwaryowałeś, Senderił! straciłeś rozum!... Jakto? powracać do domu? Uszedłszy już taką ogromną przestrzeń, zwalczysz tyle niebezpieczeństw, wracać?! a cóż świat powie, Senderił!

— Cóż cię świat obchodzi? mój kochany. Czy świat kazał ci odbywać tę podróż? Czy zrobił z tobą kontrakt? czy dał ci zadatek?

— Pleciesz głupstwa! Czy świat robił z „Aleksandrem Mugden“ kontrakt i kazał mu iść do „hindye“, czy świat kazał sławnym podróżnikom żydowskim iść od miasta do miasta i odkrywać kraje nieznanne? A jednak szli i odkrywali...

— Albo ja wiem... po co oni szli?— rzekł Senderił z uśmiechem— alboż ja wiem? Według mego zdania, zrobiliby daleko lepiej, gdyby siedzieli w domu, gdzie dobrze jest i ciepło... Oj! „narefe, narefe” (oj głupi,

głupi) jesteś, mój Aleksander Mugden! Masz w domu wszystkiego po same uszy, mógłbyś sobie siedzieć spokojnie, jeść, pić i klepać się po brzuchu, zamiast jak waryat lecieć do „hindye!” „Sidi doma, ne ruchajsia” powiada chłopskie przysłowie, a przysłowie ludu znaczy tyle, co „Gemara” (talmud). Że zresztą Aleksander Mugden lata po hindyach, to jego fantazya, tak mu się podoba; — ale dziwniejsza rzecz, że nasze żydki, zamiast siedzieć spokojnie w domu i czytać talmud — latają tu i tam, tracąc zdrowie i życie, draż buty napróżno — to doprawdy dziwniejsza rzecz! Jak jestem żyd, Beniaminie, tak nie mogę sobie tego wytłómaczyć!

Tak samo w Donkiszocie, Sanszo niejednokrotnie rycerzowi swemu prawi nauki i dowodzi mu, że wszelkie awanturnicze włóczęgostwa są głupstwem wierutnem i że porządni rycerze nie opuszczają ognisk domowych...

Długi czas trwała sprzeczka. Senderił rzucił pytania, na które wielki podróżnik odpowiadał mnóstwem wymownych argumentów, poczerpniętych z kieszonkowej biblioteki. Senderił jednak uparcie trwał przy swoim i nie od razu dał się prze-

konać. Zwycięstwo uczoności nad prostactwem nie przyszło łatwo...

W końcu jednakże Senderił został pokonany.

— Jeżeli chcesz koniecznie — rzekł, — żeby było tak, niech będzie tak!... cóż mnie to nareszcie obchodzi?

V.

Przeszedłszy wiele dróg głównych i bocznych, nasi wędrowcy dotarli nareszcie do miasta Teteriwki.

Było to pierwsze większe miasto, jakie w swoim życiu widzieli. Z niezmiernem podziwieniem też spoglądali na równe, brukowane ulice, na domy wysokie i napatrzyć się tym dziwom nie mogli.

Po trotuarach szli ostrożnie, na palcach, z obawy, żeby nie zrobić szkody i nie popsuć gładkich kamieni. Cóż dziwnego? całe życie chodzili tylko po błocie, a nawet w domach nie mieli podłogi.

Senderił trzymał się poły kapoty Beniamina i tak szli obadwaj, podrygując

w sposób arcy-komiczny — nie mogąc się z nikim minąć jak należy.

Senderił wyprawiał poprostu tańce z przechodniami, idącymi z przeciwnej strony. Przechodzień zwraca na prawo i Senderił na prawo, przechodzień na lewo i ten na lewo; aż nareszcie trafił na jakiegoś jegomościa, który wcale nie miał ochoty do tańca i zepchnął biednego Senderiła w rynsztok tak, aż mu wszystkie zęby zadzwoniły...

Wszystko dla naszych wędrowców było nowem. Ruch powozów, dorożek, krzyk, rwetes. Zdawało im się, że wszyscy ludzie na nich patrzą, że każdy ich wyśmiewa, pokazuje palcami i mówi:—patrzcie, patrzcie! oto prowincjonalni żydzi! oto małomiastecz-kowi kapcany!

— Wiesz co, Beniaminie — rzekł przestraszony Senderił, — wiesz co, Beniaminie, mnie się zdaje, że to miasto jest... Stambuł!

— Zkąd znów? głupcze! gdzież to podobne do Stambułu!? — i tu Beniamin zaczął opowiadać szeroko o Stambule, z takimi szczegółami, jak gdyby urodził się i wychował w tem mieście. — Ha! ha! Stambuł czy ty wiesz jak wygląda Stambuł!? Tam jest

pięćset razy po pięćset ulic! a na każdej ulicy pięćset razy po pięćset, piętnasto, dwudziesto, a nawet trzydziesto-piętrowych domów, w każdym zaś domu mieszka pięćset razy po pięćset ludzi! Ty myślisz, żeś już gotów, żeś przyszedł do Stambułu? poczekaj-no jeszcze, kochanku... Wymieniłem ci tylko główne ulice, a przedmieść! przedmieść masz tam, jak piasku w morzu!

— Aj! aj!—rzekł Senderił zdumiony— to musi być bardzo straszno w takim ogromnem mieście?! Jabył się bał! Powiedz mi jednak, Beniaminie i wytłómacz, jako człowiek uczony, z kąd się biorą takie wielkie miasta? Dlaczego ludzie gnieżdżą się jedni nad drugimi, jak gdyby ziemia była zamała? Musi przecież coś w tem być, że ludzie chcą się koniecznie wznosić ponad ziemię i przybliżać ku niebu, pnać się na coraz wyższe piętra. Może to dla tego, że dusza ludzka pochodzi z nieba? Ty, Beniaminie, jako bardzo mądry, mógłbyś mi wyjaśnić te wątpliwości, gdyż pewno musiałeś coś czytać o tem w twoich filozoficznych księgach...

Beniamin zamyslił się głęboko i rzekł po chwili:

— Logicznie i filozoficznie rzecz bio-

jąc, były już w tym przedmiocie nader obszernie rozprawy; ja sam zabierałem głos w tej materii w „bejšamidraszu“ pod piecem, skutkiem czego nawet wyjaśnioną została pewna niedokładność w wersyi o „dziesięciu garnkach niedoli“, które, według Talmudu, zesłane zostały na świat. Chcę cię jednak objaśnić, co do twego pytania, na podstawie świętej naszej „Thory“. („Pięćksiąg“ Mojżesza). Zapewne czytałeś w „humesz“ (biblia), że nasi przodkowie pierwotkowo mieszkali pod namiotami, lecz przy „hafłoge“ (budowaniu wieży Babel) zaczęli się gromadzić na jednym miejscu, wyrabiać cegłę i budować miasto z murami wysokimi aż pod niebo. Wtenczas stało się pomieszanie języków, tak, że jeden drugiego nie rozumiał wcale. Wówczas ludzie rozproszyli się po świecie i zaczęli żyć trochę porządniej, ale zawsze ten grzech „hafłoge“ (budowania wieży Babel) pozostał w ich naturze. Stoi w piśmie, jako Abraham powiedział do Lota: — Dlaczego moi ludzie mają się bić z twoimi o marny kawałeczek ziemi? Cały świat przed tobą jest wolny, idź więc ztąd gdzie chcesz i daj mi spokój“. Z tych słów widzisz, Senderił, jako ludzie...

— Na bok! na bok! łapserdaki!—krzyknął nadjeżdżający dorożkarz i przerwał uczony traktat Beniamina w najciekawszym miejscu. Senderił odskoczył i runął jak długi pod ścianą, Beniamin zaś, z wielkiego impetu, wpadł na żydówkę niosącą kosz jaj i tak nieszczęśliwie ugodził głową w ów kosz, że rozbił wszystkie jaja na miazgę i zawałał sobie myślącą fizyognomię złotkami...

Zrobiło się całe piekło! pisk, wrzask, gwałt, przekleństwa!... Baby chciały obić wielkiego podróżnika i podobno go nawet obily, a kto wie czyby mu się nie dostało lepiej, gdyby nie to, że uciekł w jakąś boczna uliczkę, gdzie go dogonił wkrótce zadyszany Senderił.

— Otoż masz wielkie miasto! — rzekł Senderił, obcierając spoconą fizygnomię połą.— Nie idź, nie stań, nie odpocznij! Djabli wiedzą, jak tu żyć?...

— To wszystko jest dalszym ciągiem grzechu budowania—rzekł poważnie Beniamin, sapiąc jak gęś—to wszystko co tu widzisz, to grzech budowania i pomięszania języków, a co zatem idzie, złodziejstwa, napasci, rozboje...

— Niech oni idą w ziemię! — zaklął

energicznie Senderił. — Wiesz, Beniaminie, że wyglądasz strasznie, uspokój się trochę i umyj odrobinę, twarz ci się mocno czerwieni, a ta bezczelna przekupka, żeby djabel wszedł w ojca tej szkaradnicy! (a ruach in der heufen taten arajn!) oblepiła ci całą brodę złotkami!!

Teraz znowuż wprowadza nas Abramowicz do małej prywatnej bóżniczki (klojzeł), w której członkowie nieustającej komisji „pod piecem“ zajmują się gorąco polityką europejską. Sceny w tym rozdziale skreślone są z przedziwnym humorem i, obawiam się, że w streszczeniu zatrze się wiele efektów, żaden z języków bowiem nie jest tak trudnym do przetłómaczenia jak żargon, gdyż posiada on swoje właściwości, niepodobne do naśladowania.

W jednej z bóżniczek w Teteriwce, powiada Abramowicz, gotowało się silnie z powodu dyskusji o wojnie krymskiej. Pod piecem utworzyły się różne partye, a każda miała swego prezydenta i swój „gang“ (metodę) w polityce.

Chajkieł „beł a mejach“ (dosłownie: pan mózgu, sprytny) wraz ze swoją kompanią, silnie trzymał stronę „mume witten“ ciotki Wikci, czyli królowej Wiktoryi. Wy-

kładał on, jak na talerzu, rozmaite hipotezy co do jej przyszłości — bo też, co prawda, łączyło go z Anglią pewne powinowactwo duchowe. Trzeba wiedzieć, że Chajkiel był to kawałek zegarmistrza i miał dziwne zdolności do mechaniki. Posiadał szczególnie lekką rękę do robienia deseni na macach, nikt tak jak on nie potrafił postawić „kuczki“, zrobić stolnicy do „łokszyny“, łopaty, ławki młecznej (milchegige bank), deski do zatykania pieca w szabas... *)

Ilekróć była mowa o mechanice, lub szczególnych jakich maszynach, zawsze zwracano się do Chajkiela.—To już do niego należy, mówiono, on jest pod tym względem pierwszy znawca! I Chajkiel też opowiadał cuda o dzikich, niezwykłych angielskich maszynach („wilde mszune englisze naszines“) aż włosy powstawały na głowach słuchaczom, a jeśli mu kto przerwał

*) „Czołenbreten“ Ponieważ żydom w szabas niewolno gotować, więc chcąc mieć na cały dzień ciepłe potrawy, umieszczają je w gorącym piecu chlebowym, którego otwór zatykają deską. Otóż właśnie w fabrykacyi takich desek do zatykania pieca, celował wielki mechanik Chajkiel.

pytaniem, na czym się jaka maszyna zaszadza, i co w niej głównie działa? odpowiadał krótko i węzłowato, że są w niej „a solche sprezninkieles“ (takie sprężynki — i uśmiechał się tryumfująco, jakgdyby rozwiązał jakieś najtrudniejsze zagadnienie... Za pomocą „sprezninkies“ Chajkiel objaśniał tajemnice zegarów, telegrafu, tabakierok grających („a szpilpuszkele“) i innych cudów mechaniki.

Naturalnie, że taki wielki mechanik, trzymał z urzędu niejako, stronę Anglii, kraju, w którym maszyny i „sprezninkies“ w ogóle, stoją na bardzo wysokim stopniu rozwoju.

Zagorzałym przeciwnikiem Chajkiela był Icek Pasztan, prosty człowieczysko, który nie wierzył w żadne sprężynki i dopatrywał w nich herezyi.

— Pfe! pfe! Chajkiel — mówił zazwyczaj Icek, — całe twoje dowodzenia nic są niewarte. To poprostu błażeństwo! głupstwa!

Icek Pasztan w polityce trzymał znów stronę „mume rusje“ (ciotki Rosyi).

Każdy z tych dwóch przeciwników stał się przeciągnąć na swoją stronę resztę kompanii. I tak naprzykład, gdy Chajkiel

wszedł do pewnego stopnia w przymierze ze Szmulem Bokserem, prezydentem partii trzymającej stronę „wujaszka Izmaela“ (Turcyi) i potrosze skombinował się z Berkiem Francuzem, gorącym hassydem Napoleona, zaraz Icek Pasztan zrobił wielki harmider i przyciągnął do siebie Tojwią Maka, stronnika polityki... Cyrusa. Poczty latały na wszystkie strony, każdy przedstawiał swoje racje i świat się przewracał do góry nogami, aż się bóżnica trzęsła...

W takich to gorących czasach, nasi podróżni przybyli do owej bóżniczki i w niej obrali sobie czasowe miejsce zamieszkania.

Senderił, ze swoim zgodnym charakterem, ponieważ każdemu potakiwał i wogóle sprzeczek nie lubił, od pierwszego „szolem ałejchem“ podobał się każdemu. Mówiono zaraz o nim, że to człowiek bez złości i bez uporu. Gdy tak Senderił wkradł się w łaski wszystkich, Beniamin zbliżył się tylko do Szmulka Boksera, z którym się zaprzyjaźnił. Jemu przedewszystkiem opowiedział plan swojej wielkiej podróży, który się Szmulkowi bardzo a bardzo podobał. Szmulik opowiedział to sławnemu mechanikowi Chajkielowi, a ten, wzięwszy rzecz na by-

stry swój rozum, orzekł, że aczkolwiek jest to przedsięwzięcie trudne, jednak nie niemożliwe...

Zrobiono zaraz sesję z Berkiem Francuzem i Tojwią Makiem, którzy zostali tą nowiną niepomiernie zdziwieni.

— Beniamin, — orzekli zgodnie, — nie wygląda jak zwykły człowiek, często zamysła się, nie odpowiada na pytania, postępuje jakoś dziwnie. Oczywiście, jest on istotą niezwykłą, a zresztą, któż wie... czy ten Beniamin jest naprawdę Beniamin?

To jeszcze wielka, a wielka kwestya!!

Gdy po przygodzie z żydówką, niosącą kosz jaj, Beniamin i Senderił weszli do „klojzeł“ (bóżniczka) zastali tam straszliwy harmider. Sesja tamtejszych polityków była niezmiernie burzliwa, a Icek Pasztan darł się na całe gardło, starając się przekrzyczeć obecnych.

— Patrzcie tylko, patrzcie! — wołał — co pisze nasz „Jejsef“ (zdaje się, że to będzie Józef Żydowin), patrzcie, co tu stoi! — wołał Icek, wskazując palcem odpowiedni wiersz w książce... — „gdy Aleksander Muggden chciał pójść do „jenodow ben rejchow“, przyszedł do „gór ciemności“, ale

tu stanął wraz z rycerzami swymi i już nie mógł posunąć się dalej, nogi ich albowiem zapadały w błoto po same kolana, ponieważ słońce nie przyświeca tam nigdy i przez to ziemia jest grzęzka i rozmokła"... Teraz zrozumiecie zapewne, co ja mówię, że kiedy Aleksander Mugden, wielki Aleksander Mugden, który jeździł na orle i dotarł aż do drzwi raju („gan ejden“), nie mógł dać sobie rady z górami ciemności, cóż dopiero mówić o takich łapserdakach, jak wasz Beniamin i Senderil! Ha! ha! nie pomoże im nawet nasz mądry Chajkiel, „mit alle zajne sprezninkies“!

— O, ciemna głowo! o, łbie zakuty!— wrzasnął Chajkiel, tykając Icka grubym palcem—gdzie ty masz oczy, nieuku? Zobacz-że, baranie, co tam stoi dalej w tej książce... patrz! czytaj! Oto co pisze Jejsyf: „Stanąwszy pod „górami ciemności“, Aleksander Mugden słyszał w ich wnętrzu głos drobiu domowego i ptaków, które gadały po grecku i jeden ptak przemówił do bohatera temi słowy: Daremny jest twój trud, Aleksandrze, nie wejdiesz tutaj nigdy, albowiem to jest przybytek Boga i wiernych jego sług, synów Abrahama, Izaaka i Jakóba“... Rozumiesz-że teraz,

zakuta pałko, dlaczego Aleksander Mugden nie mógł tam wejść — a Beniamin może? Rozumiesz, koźle uparty!

— Mój ty wielce rozumny człowiecze, czemu cię przekonam, że jesteś głupi?! Przypuśćmy nawet, że Beniamin przejdzie po za „góry ciemności“ przypuśćmy że je nawet przeszedł, to jeszcze wypadnie mu szukać kraju, w którym mieszkają „czterwone żydki“. Niech go szuka! ha! ha! ha! znajdzie go on „morgen, nachen kaften ku-
gel“!...*)

— Pfe, Icku! dalibóg pfe! głupstwa pleciesz...

— Czekaj no, czekaj, mądralo... jest tam przecie jeszcze rzeka Sambatya! no, ciekawy jestem, jak on sobie poradzi z Sambatya! Przypuśćmy, że już wszystko przeszedł—i pustynie i „góry ciemności“, że już jest nawet blisko dzieci Mojżesza... tymczasem staje nad brzegiem Sambatyi i... ptru! stój! Kamienny deszcz pada aż huczy, zbliżyć się nie można... Na to już nie poradzi

*) Dosłownie: „jutro po zimnym kuglu“. Przysłowie to przypomina nasze: „jak rak świnie“.

nawet twoja „witten“ (Wiktorya), chociaż by stanęła, z całym przeproszeniem, głową na ziemi, a nogami do góry!

— He! he, kochanku, czepiasz się Wiktoryi—widzisz go, gdzie on to zaszedł!

— Pfe! Icku, co to znowuż za „gang“ (metoda dyskusyi). Czego się czepiasz królowej?—wtrącił ze złością Berek Francuz—wymyślaj na Beniamina, jeżeli chcesz, ale królowej nie zaczepiaj... bardzo cię proszę.

— Za co wymyślać na Beniamina? — krzyknął Tojwie Mak.—On sobie idzie swoją drogą, nikomu nie przeszkadza, a w przyszłości może jeszcze położyć wielkie zasługi dla żydów.

— Oj, Mak! Mak! — rzekł Icek z wyrzutem, — żebym tak dobre życie miał, jak się tego po tobie nie spodziewałem, Maku... Ty trzymasz także stronę Beniamina? Powiedz mi coś w nim takiego zobaczył?

— Czekał-no, czekaj, proszę cię, mój Icku, powiedz lepiej coś ty sobie do Beniamina upatrzył?—wtrącił Szmulik Bokser,—co ty chcesz od tego człowieka? Doprawdy chybaś zwaryował, Icku! Przypatrz się tylko Beniaminowi, jego zaniedbanie, jego

zamyślanie się, jego sposób mówienia dowodzą jasno, że to nie jest człowiek zwyczajny. Przecież fizyonomia jest najprawdziwszem zwierciadłem duszy. Spójrz na niego, Icku, przypatrz mu się tylko...

Icek Pasztan zbliżył się do Beniamina, obejrzał go od stóp do głów, plunął i odszedł zagniewany.

Od tej pamiętnej chwili, w polityce bóżnicznej zrobił się ogromny przewrót. Szmulik Bokser i Berek Francuz zawarli przymierze z Chajkielem. „Mume Witten” w tej chwili wysłała na morze „tojzend okrentes, mit szreklich wilde maszines” (tysiąc okrętów, ze straszniemi, dzikiemi maszynami). Szmulik Bokser przepawił się przez Prut, a Napoleon i Berek Francuz zasypali cały Sewastopol „mit bombes”! (bombami). Jeden tylko Tojwie Mak, reprezentant polityki Cyrusa, stał jakby na rozdrożu i wahał się — nie należąc, do czasu, ani tu ani tam. Icek Pasztan został zupełnie odosobniony. Rzucał się, miotał, chciał jednać się z tym i z owym, ale napróżno. Położenie nie do zazdrości, bo czyżto żart, gdy jeden Icek miał przeciw sobie całe „so-branje”!!

Za to odosobnienie, Icek mścił się na

Beniaminie, który był mimowolną przyczyną gwałtownego przewrotu w polityce.

„Bóg moim świadkiem, pisze w pamiętnikach swoich Beniamin, że wcale a wcale nie mieszałem się do polityki, bo pytam, do czego to prowadzi? a powtóre, co z niej za pożytek dla żydów? Dla mnie, czy tak jest w polityce, czy owak, to zupełnie wszystko jedno, i mój Senderił również się w takie interesa nie wdaje. Tymczasem Icek Pasztan nie dawał mi ani chwili pokoju, tak, że nie miałem od niego, jak to mówią, ani dnia, ani nocy. On obsypywał mnie piezami, rzucał na mnie poduszką, czasem w nocy schował mi but, tak, że mam nazajutrz o mało nie zwaryował szukając; — albo też, kiedyś mocno zasnął, puszczał mi w nos „a pompe” (finfe), po której długo dusiłem się i kaszlałem... Ciężkie życie miałem od tego Icka, choć Bóg mi świadkiem, że się wcale a wcale do polityki nie wtrącał...“

Większą część dnia nasi podróżni poświęcali na zdobywanie sobie środków do życia. Wizytowali z kolei wszystkie domy w Teteriwce i, w krótkim czasie, zjednali sobie taką popularność, że nie było „bachora” któryby ich nie znał. Pokazywano ich pal-

cami, witano dowcipkami, przymówkami różnemi i śmiechem.

Kto inny, na ich miejscu, możeby wbił się w dumę i pychę od takiego honoru—ale nasi podróżnicy byli to ludzie prości i nie robili sobie z tego wielkich rzeczy. Owacye jakie im czyniono, przyjmowali z filozoficznym spokojem, Beniamin marzył wciąż o wyższych celach, a Senderił dbał tylko o to, aby torba była pełna i ażeby w kieszeni znalazło się zawsze parę groszy na jakieś gwałtowne a nieprzewidziane wydatki... Czy kto z uśmiechem dawał, czy z niechęcią, to było im wszystko jedno: byle tylko dał!

„Hajnt is purym, morgen is ojs

„Gib mir a groszen, un trajb mich

[arojs“*).

Oto znana żydowska piosneczka, malująca dokładnie obyczaj chodzenia po domach i zebrania. Senderił, chodząc od domu do domu, często ją sobie przyspiewywał półgłosem...

— „Git morgen, Gott helf“ (dzień do-

*) Dzisiaj jest Purym — jutro także jest; daj mi grosz i wyrzuć mnie za drzwi.

bry, Boże dopomóż) — mawiał zwykle Senderił, wchodząc do stancyi i wciągając Beniamina za poję od kapoty, poczem wysuwał wielkiego podróżnika na plan pierwszy, a sam stawał z uszanowaniem na boku...

Wędrując w ten sposób od domu do domu, pewnego razu, nasi podróżnicy weszli do izby, w której zastali gospodarza, zajętego żywą dysputą z jakimś młodym człowiekiem.

Gospodarz kręcił się niecierpliwie, jak gdyby pragnął co prędzej pozbyć się swego gościa, młody człowiek zaś, z zapalem i energiczną gestykulacją, starał się gospodarza przekonać, pokazywał mu jakieś papiery i coś mu proponował...

Zobaczywszy Beniamina i Senderiła, gospodarz uczeplił się ich rozpaczliwie, jak człowiek tonący czepia się słomki.

Zbliżył się do nich szybko, w przekonaniu, że przyszli do niego z jakimś ważnym interesem i że uwolnią go tym sposobem od towarzystwa gościa, widocznie niezbyt przyjemnego. Usłyszawszy jednak, o co naszym podróżnym idzie, gospodarz się stropił i rzekł z nieukontentowaniem do młodego człowieka:

— Otóż masz! to są także podróżni! Ci żydzi, widzisz pan, także przedsięwzięli podróż! Widocznie już taki czas, żeby nam sami podróżnicy na głowę spadali!

Młody człowiek i nasi wędrowcy spoglądali na siebie wzajemnie, z pewnem niedowierzaniem.

— Słyszysz, Beniamin—rzekł Senderił cicho, ciągnąc uczonego towarzysza za poję—być może, że ten młody człowiek wędruje również tam... Może nas jeszcze, broń Boże, wyprzedzić i potem oszukać nas po turecku...

— Być może, że wszyscy trzej należyćie do jednej kompanii?—zapytał dalej gospodarz.

— Broń Boże! broń Boże! — zawołali razem Beniamin i Senderił, — my idziemy sobie zupełnie oddzielnie!

— Idźcie wy sobie zdrowi oddzielnie—rzekł gospodarz,—ale dla mnie jesteście jedna kompania.

To mówiąc wy dobył monetę z kieszeni.

— Nam! nam! — wołał Senderił — nam proszę dać, my wydzielimy młodemu człowiekowi należną mu częśćkę... Chodź, młodzieńcze, dostaniesz! mamy, Bogu dzięki, trochę drobnych.

W tej samej chwili, otworzyły się drzwi od kuchni i dał się słyszeć głos straszny i dziki:

To on! to on! to ten sam rozbójnik, który stoi przy tym drugim żydzie! To on! i wtenczas wlekli się oba razem, gałgany! Poznają tę śliczną gębę, z żółtą bródką, żeby mu ją co do włosa wyrwali!! żeby go djabli żywcem wzięli ze świata! żeby się mordował! żeby się tarzał po ziemi! żeby mu szpik wyłaził po kropli z jego trefnych kości! *)

*) Przekleństwa żydowskie są rzeczywiście straszne i pełne piekielnych conceptów. W miotaniu ich celuje przede wszystkim płeć piękna, a zwłaszcza ta jej część, która zasiada za straganami i w kramach. Wobec przekleństw miotanych przez przekupki żydowskie, wszelkie „pomsty i nagłe śmierci“, przywoływane przez nasze „panie Maciejowe“ ze Starego Miasta, są zaledwie delikatnemi przymówkami.

Najgorszem wszakże i najbardziej krzywdzącem jest przekleństwo zwrócone nie do żyjącego człowieka, lecz do jego przodków nieżyjących; wpędzanie djabła w „taten, taten, taten“, w ojca-ojca-przeklinanego. Im więcej razy wymó-

— Chodź, Beniaminie, ztąd, chodź przedej! — rzekł Senderił, zatykając uszy. — Uciekajmy, niech djabeł wejdzie w ojca-ojca-ojca tej bezecnicy, która dotychczas nie może zapomnieć owych stłuczonych jaj.

wić to nieszczęsne „taten“ lub „mamen“ tem gorzszą, bo odleglejszego pokolenia sięgająca krzywda. Przekleństwo rzeczone nabiera tem większej wagi, że żydzi mają wielką cześć dla zmarłych. Syn za zmarłego ojca odmawia specjalną modlitwę („a kadisz“) w rocznicę śmierci zapalają światło, cmentarz, nazywany przez nich „domem wiecznym“ (bejs ejłom) jest miejscem szanowanym i czczeniem. Wobec tego, przekleństwo zwrócone do zmarłych, jest najcięższem przekleństwem, jakie można rzucić żydowi.

W przystępie złości jednak, nie żałują go sobie nawzajem.

VI.

Och! och! Płakać, wzdychać i jęczyć należy, czytając opisy o wielkich, sławnych, uczonych ludziach, którzy poświęcili dla drugich całe swoje życie, którzy dla świata właśnie zrobili ofiarę z dni swoich i lat — i uszczęśliwili ludzkość pożytecznymi rzeczami, do których doszli siłą swego rozumu

Świat, z natury swej jest głupi, podobny do dziecka, które żyje szczęśliwie i wesoło, trzymając się fartucha matki i nie odchodząc od niej ani na krok. Za całą naukę starczą mu bajki, które nianki, lub babki stare opowiadają mu, powtarzając toż samo sto razy na dzień. W tem świat, jak małe dziecko, widzi najwyższą mądrość i naukę, a innej nie chce znać. Kiedy zaś „belfer” przychodzi go zabrać do

„chederu” *) ażeby go czegoś nauczyć, drze się, wrzeszczy „gwałt!” jak gdyby zarzynać go chcieli... Świat lubi tak żyć jak przed sysiącem lat, wszystko co nowe wydaje mu się dziwnem, dzikiem; więc też nowością poniewiera, bezczęści, z błotem mięsza.

Taki to zwykle bywa los wielkich ludzi, którzy świat wprowadzają na nowe tory. Dopiero później, później, gdy już olbrzymie dzieło dojrzeje, gdy przynosi obfite owoce, przypomina sobie ludzkość o wielkim wynalazcy i stawia mu wtenczas pomniki!

Oto na przykład dzisiaj: miliony ludzi żyją swobodnie w Ameryce, w szczęściu, spokoju, w dobrych interesach — a wielki Kolumbus, który Amerykę odkrył, za życia był prześladowany przez ludzi, uważany prawie za waryata.

Podobny los stał się także udziałem naszego wielkiego Beniamina z Tuniej-

*) „Belfer” z niemieckiego „behelfer”, pomocnik „małameda”, czyli nauczyciela. „Cheder” (dosłownie izba, stancya) jest to szkółka, do której każdy żydziak już od piątego roku życia uczęszczać musi.

dówki. Patrząc na niego, każdy myślał, że ma do czynienia z waryatą, a słuchając tego co mówił, ludzie ledwie mogli powstrzymać się od śmiechu. Pozwalano sobie niesmacznych żartów względem niego. Gdyby Beniamin miał inne usposobienie, rozgniewałby się na głupotę ludzką i plunął na całą tę podróż, która, jak dotychczas, same mu tylko przyczyniła przykrości.

Robimy w tem miejscu przeskok, opuszczamy mnóstwo figlów i żartów, jakie Beniaminowi czyniono — nie chcielibyśmy albowiem rzucać na nasze społeczeństwo szpetnej plamy, za którą nawet przyszłe pokolenia musiałyby się rumienić.

Nie chcemy nawet wiedzieć o tych niesmacznych wybrykach; zapuszczamy na nie zasłonę i staramy się nawiązać na nowo przerwany wątek opowiadania.

„W Teteriwce, pisze w swoich foliantach Beniamin, jest wielkie zgromadzenie żydów (oby się szczęśliwie mnożyli i rośli). Zkąd się oni wzięli? jakiego są pochodzenia? jaki był ich początek? na to żaden z mieszkańców Teteriwki, choćby „pod chajrem” spytany, odpowiedzieć nie potrafi. Mają oni tylko w tradycyi od ojców swoich, dziadków i pradiadków przekazane, jako

pochodzą z żydów. Rzeczywiście, sądząc z ich zwyczajów, ubioru, języka, bandlu i geszeftów, zdają się oni być istotnie żydami. Trzeba przypuszczać jednak, że muszą być rozdrobionemi, oderwanemi szczątkami z wielu rozmaitych pokoleń, gdyż nie masz pomiędzy nimi żadnej spójni, żadnej łączności... Może naprzykład jeden z nich upaść na ulicy, zachorować, nagle umrzeć, a żaden się do niego nie ruszy...

Znają się oni trochę na języku cygańskim, wierzą w zamawiania, wróżby z ręki i poniekąd sami się tem trudnią.

Bądź co bądź, powiada dalej łagodny w swych sądach Beniamin, są to uczciwi ludzie, porządny naród. Przyjmowali mnie zawsze z uśmiechem i znajdowali dziwną przyjemność w rozmawianiu ze mną, byłem też z nich zupełnie kontent i, życzę im z całego serca, aby i Bóg i ludzie byli z nich równie jak ja zadowoleni. Amen”.

Dziwna nowość! powiada dalej Beniamin, że w okolicy można spotkać osoby, które są „a biseł chazirewate” (podobne do mieszkańców chlewa), poznać je zaraz można na pierwszy rzut oka.

Pewna część uczonych twierdzi, że taka już jest uroda tych ludzi, inni zaś przy-

pisują to wpływom klimatu. Beniamin nie chce wyjawiać osobistego swego zdania w tym względzie i pozostawia rozstrzygnięcie sporu uczonym. Ci powinni rzecz stanowczo wyjaśnić i powiedzieć, co mamy myśleć o tem.

Tak czy owak, mówi Beniamin, fakt jest i fakt nie jedyny w swoim rodzaju, jeszcze albowiem stary „Matias Delikarte”, het, het! w bardzo dawnych czasach, podaje w swojej księdze „Ceł-Ejłom” taki opis: „W Brytanii jest naród mający ogony z tyłu, jak bydło, są tam także kobiety wielkie, wysokie jak olbrzymy—i porośnięte szczeciną, jak wieprze... We Francyi znajduje się naród z rogami; na górach tamtych zaś gnieźdzą się krzywe kobieta, a im która z nich krzywsza, tem piękniejsza”.

Zupełnie to samo spotykamy w dzisiejszych czasach, wiele kobiet przyprawia sobie garb znacznie niżej niż to bywa u ludzi ułomnych z natury, lub też nosi szkaradne ogony, które się wloką po ziemi.

Słusznie też powiada mądrość pisma, „że wszystko co jest, to już było — i że nie masz nic nowego pod słońcem”.

Teteriwka na pierwszy rzut oka robi dobre wrażenie, wydaje się miastem wiel-

kiem i pięknie zabudowanem. Gdy ktoś wjeżdża do tego miasta po raz pierwszy, zdaje mu się, że tam jest ruch, że życie wre i kipi. Przypatrzwszy się jednak bliżej, można się przekonać, że to jest nie innego jak Tuniejadówka, tylko trochę większa.

Mieszkańcy tego miasta jedzą, kładą się spać i znów jedzą—i czynią to w ściśle oznaczonych godzinach. Od śniadania czekają do obiadu, od obiadu do kolacyi i znów do śniadania; w taki sposób upływa im życie. Śniadanie, obiad i kolacya, są to niby karczmy na drodze ich życia, karczmy, do których nieustannie zdążają na popas i wytechnienie po nieustannem próżnowaniu.

Patrząc się na życie tych ludzi, można przypuszczać, że samo już powietrze Teteriwki usposabia do lenistwa i ospałości.

Gdy wśród mieszkańców Teteriwki znajdzie się człowiek z energią z inicjatywą i z chęcią do pracy, do zrobienia czegoś... bardzo prędko zleniwieje, zgnuśnieje, a ze wszystkich dobrych chęci, pozostanie w nim tylko chęć... do jedzenia i spania.

Beniamin widział w Teteriwce stancye prowincjonalnych „zbroszezyków” i plenipotentów miasteczkowych. Ci wyjeżdża-

jąc z domu, okazywali więcej kurazu i energii aniżeli było potrzeba.

— Jechać! jechać koniecznie! — krzyczeli oni do naczelników kahału — my tam wszystko zrobimy jak należy, tylko dajcie nam pieniędzy na drogę.

Dano im pieniędzy — a oni, przyjechawszy do Teteriwki, ciągle jedli i spali; a jedyną ich czynnością było pisywanie od czasu do czasu listów do rodzinnego miasteczka, z żądaniem, aby im jeszcze pieniądze przysłano.

Gdzież się podziła ta świeżość, ta chęć, ta energia?! Zniknęły. Delegaci i plenipotenci śpią snem sprawiedliwych, a budzą się po to jedynie żeby jeść.

Siedzieliby tak do końca świata, a przynajmniej do końca swego życia — gdyby tylko mocodawcy zechcieli przysyłać pieniądze.

Wszyscy tu śpią jak zaczarowane królewęża w bajce, śpią, śpią i śpią...

Beniaminowi przyszła, bardzo naturalna zresztą, myśl zapoznania się ze sławnymi uczonymi i autorami z Teteriwki. W tych rzeczach przecież Beniamin był znawcą. Uważał się za filozofa, umiał czytać choćby najdrobniejsze literki i miał wyobrażenie

o książkach, w których mieści się filozofia żydowska. Tacy mężowie mogli ocenić jego erudycję, jego znajomość siedmiu mądrości świata, bo i któż mógł lepiej zgłębić rzecz podobną, jak ów właśnie gatunek ludzi? Prócz tego, pragnął Beniamin zasięgnąć światłej rady uczonych, co do zamierzonej podróży. Ludzie tego kalibru powinni się poznać przecież na wartości śmiałego przedsięwzięcia, mądrymi radami i wskazówkami dopomódz do jego wykonania. Przytem spodziewał się Beniamin, że otrzyma od nich świadectwa z odbytej dysputy (haskomejs), z którem będzie mógł pokazać się między ludźmi, jako mąż, którego uczoność przeszła już próbę ogniewą...

Naturalnie, do takiej rzeczy uczeni zerwą się galopem, galopem, jak konie... gdy jednak Beniamin przyszedł do którego z nich, nie mógł się nigdy porozumieć. To uczonego śpi — to je — to znów po jedzeniu odpoczywa.

Pewnego razu jednak, udało się Beniaminowi złapać takiego mistrza. Był to „a wiłder szrajber” (dziki pisarz) „a berimte berie”! (sławna osoba). Siedział on sobie na kanapie, w osobnym pokoju i ziewał.

— Git morgen (dzień dobry) — rzekł wchodząc Beniamin.

— Git jor (dobrego roku) — odrzekł uczony, — a co chcesz, żydku?

— Et... nic, tak przyszedłem, porozmawiać trochę o tem, o owem...

Osoba zaczęła przeciągać się i ziewać.

Beniamin ożywił się, zaczął mówić jak mógł i jak umiał, lecz wszystko na próżno, albowiem uczony był wciąż zimny jak lód i nic a nic nie zapalał się do dyskusyi,

Przez chwilę tylko, w źrenicach mędrca błysnął jakiś żywszy blask, przez jedną chwilę...

— Dajcie mi obiad! — zawołał on w ów czas — dajcie obiad, gdyż zjadłszy, położę się trochę spać...

Krótko mówiąc, Teteriwka, jest to jedna wielka sypialnia. Śpi w niej wszystko: i handel, i kredyt, i procesa, i wszelkiego rodzaju geszefta... śpi, śpi, jak zabite.

Sam Beniamin, będąc jakiś czas w Teteriwce, uczuwać zaczął dziwną senność — a chęć odbycia wielkiej podróży znacznie w nim osłabła. Stał on się podobnym do wielkiego okrętu, stojącego nieruchomo

podczas ciszy morskiej, i Bóg wie jak długo, stałby tak beczynnie, gdyby nie wypadek pewien, który pchnął naszego wędrowca w dalszą drogę, z siłą uraganu...

Nienawiść, jaką Icek Pasztan żywił do Beniamina, wzrastała z każdym dniem. W ostatnich czasach szczególnie, Icek przyczepił się do wielkiego podróżnika jak pijawka, a niedość na tem, że mu sam osobiście dokuczał, namówił jeszcze łobuzów miejskich, którzy, spotkawszy Beniamina, rzucali na niego kamieniami i krzyczeli: — Pipernoter! Lindenworim! Sambatya!!

Pewnego wieczoru, Beniamin ze swym wiernym towarzyszem, prześladowani przez nliczników, uciekli w ustronną uliczkę i znaleźli się nad wąską kładką, rzuconą przez rów. Na samym środku kładki, oko w oko, spotkali się z uczonym rebe Ajzyk Dowid, reb Aron Jejselis Sore Złates z Tuniejadówki!

— Szolem ałejchem, Beniaminie — rzekł Ajzyk Dowid ze złośliwym uśmiechem — takie szczęśliwe spotkanie! tem bardziej, że upragnione...

— „Szolem ałejchem, ałejchem szolem” reb Ajzyk Dowid — odpowiedział Beniamin nie swoim głosem.

— Śliczni ludzie, śliczni z was ludzie! — mówił uczony z przekąsem, — odjeżdżają sobie z domu bez żadnego powodu, bez przyczyny... ot, tak sobie! Na co? po co? czyż ja wiem? ot, po prostu, tak sobie! Przecież musi w tem być jakaś metoda... jakaś przyczyna naturalna!? Co to jest opuścić swoje żony? dzieci? co to jest? alboż ja wiem? przeciwnie, odłożywszy wszystko na stronę, pytam się, co wy tu robicie? Szczególniej zaś ciebie o to pytam, Senderił, gdyż widzę cię, chociaż starasz się ukryć za kapotę Beniamina. Twoja małżonka, mój kochany, potrafi się z tobą rozmówić, ona cię posieka na kawałeczki, jak śledzia!

— Ha! on jest tutaj! wrzasnęła żydówka z po pleców rebe Ajzyka Dowida — on jest tu!? Dawajcie mi go prędzej, tego łobuza!

Po głosie, Senderił poznał swoją najmilszą żoneczkę i twarz jego pobladła natychmiast ze strachu, jak ściana. Schwycił się odbudwoma rękoma poły kapoty Beniamina, aby nie spaść z kładki, gdyż uczuł, że dostaje zawrotu głowy z przerażenia...

— Chodź-no tu, duszo! chodź bliżej, piękna duszyczko! żebyście obadwaj zmar-

nieli! żeby wam wyszło na „kapores“! chodź-że! chodź, żeby twoje imię zginęło!.. Puście-no mnie do tego gałgana! puście mnie! już ja będę wiedziała, co mam z nim zrobić! ja mu pokażę, jakiego Boga my mamy!

— Bardzo cię proszę, kobieto, bez krzyku, bez złości! — rzekł poważnie uczony rebe Ajzyk Dowid, rebe Aron Jejselis Sore Zlates — bez krzyku! bez gwałtu... Jeszcze mamy czas, możemy tę rzecz rozstrząsnąć wszechstronnie. Poczekaj-że trochę, kobieto, nie unos się tak! „Aguną” (opuszczoną przez męża) już, Bogu dzięki, nie jesteś gdyż Senderił znalazł się i jest w naszej mocy. Teraz pomówmy dalej o tym interesie. Aj, aj, tylko nie krzyczyć, nie robić hałasów! pfe! Bądź co bądź, żydówka zawsze jest tylko żydówką... więc powtarzam jeszcze raz pytanie: po co krzyk? na co ten krzyk? co komu przyjdzie z krzyczenia?

Rebe Ajzyk Dowid chciał kwestyę zbadać do gruntu i omówić ją należycie: przedstawić całą rzecz tak, i odwrotnie, i jeszcze raz naodwrot, dodać do niej, tak to mówiąc, pieprzu i cebuli, jednym słowem, rozstrząsnąć ją w sposób godny wielkiego filozofa i myśliciela z Tuniejadówki.

Tymczasem, z obu stron kładki, gromadzić się zaczęli ludzie chcący przejść na drugi brzeg rowu. Ludzie ci objawiali głośno swe niezadowolenie, z powodu, że bohaterowie nasi obrali sobie sam środek kładki za miejsce do dysputy i zatamowali zupełnie jedyną drogę przechodniom, gdyż kładka była taka wązka, że dwie osoby w żaden sposób minąć się na niej nie mogły.

Z tego powodu, w obec wzmagającego się nie zadowolenia publiczności, dysputa została przerwana. Rebe Ajzyk Dowid z małżonką Senderiła cofnęli się na jeden brzeg rowu, nasi zaś podróżni, przerażeni i drżący, na drugi. Tymczasem ci, którzy oczekiwali wolnego przejścia, rzucili się na kładkę i rozdzielili obie walczące strony.

— Proszę cię, Senderi! — rzekł Beniamin—dla czego my tu stoimy? Na co mamy czekać? Korzystajmy z czasu, Senderi!, gdyż co nas tu czeka dobrego?

— Jak żydem jestem, Beniaminie, powiedziałeś najmądrzejsze słowo. To prawda! na co my tu mamy czekać? — zawołał Senderi! radośnie, jak więzień w chwili oswobodzenia. — Prędzej! prędzej Beniaminie! zmykajmy!!

Nasi podróżnicy puścili się co tchu, wpadli do bóżniczki po swoje tłomoki — i, w kilka minut później, opuścili piękną Teteriwkę.

VII.

— Hetta! wio! wio! wołał furman, siedzący na wielkim wasagu i rozdzielił dyszlem dwie kobiety, które na samym środku ulicy, oddawały się miłej konwersacyi.

Działo się to na ulicy najbardziej ruchliwej i ożywionej. Rozmawiające z sobą kobiety, trzymały w rękach koszyki pełne prowizyi: było w nich mięso, czarna rzodkiew, czosnek, cebula i tym podobne prowianty. Obie przyjaciółki, wrzeszcząc na cały głos, powierzały sobie nawzajem najskrytsze tajemnice swych serc, tak szczerze, że rozmowę ich z odległości mili można było słyszeć. Gdy wóz nadjechał i rozdzielił je forsownie, uciekła każda na inną stronę ulicy i rozmawiały z sobą dalej

z przeciwległych trotuarów, nie zważając na przejeżdżające fury, dorożki, bryczki.

— Chasie Bajle! — wrzeszczała jedna — a pamiętaj-że przyjść tam dziś, przed wieczorem, do „kartenworferin“ (kobiety wróżącej z kart), i mój tam będzie... Widziałam się także z twoim (domyślać się należy kawalerem) i on przyjdzie... prosił mnie, żebym ci o tem powiedziała... Oj, będzie tam wesoło, żebym tak szczęście miała! Przyjdź, przyjdź, głupia! zobaczysz, że ucieszysz się i zabawisz... No, Chasie Bajle, jak myślisz? przyjdziesz?

— Moja gospodyni (żeby się ona spaliła!) chce mnie dziś poczęstować rozczytniem chleba... jednak chciałabym się wyrwać i przyjść. Tylko proszę cię, moja droga — wrzeszczała na cały głos Chasia Bejła — niech to będzie w największym sekrecie, nie mów tego nikomu — nikomu!

— Czekaj-no, czekaj jeszcze, Chasie Bajle. Djabeł nie weźmie twojej gospodyni, jeśli dasz jej obiad z godzinę później niż zwykle... Chce się obżerać! niech poczeka trochę... Ale, ale, zapomniałam ci powiedzieć, po jakimu ty mąkę wysiewasz? mączarka skarżyła się, że jej najgorsze wy-

siewki sprzedajesz... Wiele ci się dzisiaj zostało od sprawunków?

— Szajgec! szajgec! łapajcie szajgeca! Co to za moda, hapać komu z ręki? (żeby cię hapnęło, gałganie!).

— Co się stało, Chasie Bajle, czego tak krzyczysz?

— Złodziej był, o mały włos nie ukradł mi całego koszyka ze sprawunkami! Szczęście, że się w porę spostrzegła.

— Patrz-no, patrz! co tam tak ludzie lecą? co się stało? czy się znów pali? to już dziś drugi pożar! do nocy będzie się jeszcze kilka razy paliło!

— Nie słyhać, żeby dzwonili, a jak się pali, to przecież dzwonią zwykle.

— Sza! sza! czekaj, idzie faktorka, ona wszystko wie, ja jej się zapytam! Syme Dwosie! Syme Dwosie! po co ludzie biegną w tamtą stronę?

— Oj, nie wiem sama, żebym tak smutku nie miała, jak nie wiem. Może tamta wie, spytajcie jej. Co tam za zbiegowisko, Name Gise? co tam jest, serce? Twoje kaczki tak krzyczą, że nic nie można rozumieć. Moszkowa dziś zasłabla... pewnie ona kupi od ciebie te kaczki. Może masz także i kury? Oj, te kaczki twoje, to

bardzo tłuste kaczki. Jaj dziś nie można się było dokupić... ale co tam za hałas?... co za zbiegowisko tam jest?

— Albo ja wiem? jakieś „czerwone żydki“ podobno... słyszałam jak krzyczeli „czerwone żydki,“ „czerwone żydki!“

— Co? co? czerwone żydki przyjecha-
li! aj-aj-aj! trzeba lecieć zobaczyć dziwo!

— Dziwo! dziwo! — krzyczały różne mi głosy żydówki i „hendum pendum“ jak stado gęsi, pobiegły gromadnie w tę stronę, gdzie się zebrał tłum ludzi...

— Hura „Pipernoter!“ hura „Lindeworim!“ hura, a rojte judełach! (czerwone żydki) — krzyczeli ulicznicy w tłumie.

„Czerwoni żydkowie,“ którym ulicznicy czynili taką owacyę, byli to dobrzy nasi znajomi, wielcy podróżnicy z Tuniejadówki, Benjamin i Senderił. Działo się to w niedługim czasie po pamiętnym wypadku na kładce... Postanowiwszy wówczas opuścić Teteriwkę, Boniamin ze swym przyjacielem i nieodstępny mi giermkim pędzili wprost przed siebie, co tchu, aż dotarli nareszcie do miasta Głupska.

Wejście podróżnych do Głupska odbyło się wśród bardzo szczęśliwych okoliczności — należy albowiem wiedzieć, że

w mieście tem mieszkały dwie stare i bardzo nabożne żydówki, Tołce i Trejne, czyste dusze... Te niewiasty, co piątek przed szabasem, ustroiwszy się w odświętne „jupe“ i „szterentichel“*) wychodziły kawałek drogi za miasto, w nadziei, że może spotkają Mesyasz. Otóż pewnego przedszabasowego wieczora, dwie owe zacne kobiety, wystrojone w racimory i atlasy, wyszedłszy jak zwykle za miasto, miały szczęście spotkać i powitać naszych znakomitych wędrowców, przy rogatce.

Zaraz po pierwszym spotkaniu, obie „jupy“ dowiedziały się o celu podróży Beniamina. Niepotrzeba dodawać, że były

*) „Jupe“ jestto paradna, zwykle jedwabna spódnica, noszona tylko w święta, lub w uroczystych chwilach życia. „Szterentichel“ przepaska noszona na czole przez kobiety zamężne, które w konserwatywnej sferze żydowskiej gołą sobie włosy na głowie. Dziś ten strój wychodzi już z mody i ustępuje miejsca perukom i kapelusom. Dawniej „szterentichel“ bywały bardzo ozdobne, naszywane perłami i kamieniami drogiemi. Podobne egzemplarze można jeszcze spotkać w miasteczkach prowincjonalnych.

jakby w zachwyceniu i że spotkanie takich dwóch mężów, uważały za nader szczęśliwy wypadek.

Patrzyły z podziwem na odważnych wędrowców, kiwały głowami i, trącając się nawzajem, szeptały do siebie:

— Nu... Tołce?

— Nu! Trejne?

W tych krótkich wykrzyknikach, mieścił się najwyższy zachwyt, gdyż nabożne niewiasty zmiarkowały zaraz, że nie mają przed sobą zwyczajnych ludzi.

Tołce i Trejne zajęły się natychmiast reparacją garderoby znakomitych wędrowców, garderoby i bielizny, która pozostawiała bardzo wiele do życzenia. Oddając się tej pracy, obie zacne i nabożne żydówki były szczęśliwe, nad wszelki wyraz szczęśliwe, akurat jak oblubienica przed ślubem...

Jednem słowem, w Głupsku podróżni nasi zostali zrozumieni i ocenieni jak należy. Istotnie! takich ludzi w Głupsku tylko szanować umięją i zdołają poznać się na cennej ich wartości.

Do Głupska więc, do Głupska spieszcie, dzieci żydowskie! Do Głupska „cy ałde szwarce joren!“ Tam albowiem znajdzie-

cie równych sobie, tam znajdziecie swoje Tołce, Trejne i tysiące godnych ludzi, rzetelnych żydów, czyste dusze! Tam będziecie mogli rosnąć, tam możecie być czczeni i szanowani, tam znajdziecie honor i poważanie u ludzi!

Do Głupska więc, żydzi! do Głupska!

Po tej apostrofie, Abramowicz przystępuje do dalszego ciągu narracji i powołuje się na pamiętniki Beniamina.

Skoro się wchodzi do Głupska przez „Teteriwkergass,“ trzeba się pofatygować i przeskoczyć jedno błoto... nieco dalej zaś przez drugie i jeszcze dalej przez trzecie, największe, do którego wpada wiele rynsztoków. Co dzień rynsztoki te mają inną powierzchowność, kolor i, z przeproszeniem, zapach.

Jeżeli dostrzeżecie w nich piasek, którym szorują podłogi, rybie łuski, kurze głowy, ogonki od śledzi, możecie wiedzieć na pewno, że w Głupsku jest piątek, że gospodynie oprzątnęły nieco brudne izby i przygotowały szabasową kolację.

Każdy dzień nadaje tym kałużom inną powierzchowność, tak, że można odgadnąć kiedy jest poniedziałek, wtorek itd.

Szczegółowy opis owych rynsztoków pomijam, chcąc oszczędzić czytelnikom niezbyt estetycznych wrażeń. Dla ścisłości sprawozdawczej, muszę wszakże nadmienić, że skreślony on jest z realizmem niezmiernym. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać tak dokładnej fotografii... błota.

Lecz zagłębmy się dalej w uliczki wielce sławetnego miasta Głupska—i zanotujmy jego pomniki historyczne, uwiecznione w rękopiśmie wielkiego Beniamina.

Kiedy już przejdziecie panowie wszystkie błota szczęśliwie, znajdziecie się niebawem na „śmieciowej górze,“ znajdującej się w miejscu, na którym ongi, stało jakieś domostwo. Zazwyczaj, na tej górze stoi krowa, poważna jak wędrowny „magid“ (kaznodzieja), przeżuwa ona obojętnie, spokojnie, rusza głową i patrzy głupowato na cały światek żydowski, który u stóp górki biega i kręci się, z laskami i parasolami w rękach. Krowa żuje, sapi i stęka, niewiadomo nad czym, czy nad owym światkiem żydowskim? czy też nad własną niedolą, nad tem, że się w żydowskie ręce dostała?

Przeszedłszy przez tę górę, pójdziecie dalej, prosto, prosto... prosto, ciągle prosto

i jeżeli (niech was Bóg strzeże) nie upadniecie na ostrych kamieniach, które w obfitości tu leżą, to idźcie dalej, dalej (jeżeli nie połamiecie nóg, chowaj Boże), idźcie wciąż dalej, dopóki nie traficie na plac. Tu, na tym placu, znajdziecie całą kwintesencję miasta Głupska—i, jeżeli można powiedzieć o „Teteriwker gass” że jest żołądkiem miasta, to co do owego placu należy przyznać, że jest sercem Głupska. Tu drga i pulsuje wszystko, tu jest główne ognisko życia. Tu znajdują się klety, kletki i szafki z towarami — i znane kletki do sprzedaży rzeczy kradzionych („ganewo szafkelech”). Tu rzemieślnicy sprzedają różne resztki, kawałki materyi, tasiem, wstążek, aksamitu, oraz kawałki futra. Tu gotuje się, kipi i wre przez dzień cały, tu, w żydowskie plecy, uderza dyszel telegi, lub bryczki..

Doktorzy utrzymują, że w każdym żydzie z miasta Głupska tkwi kawałek dyszla. Wszakże twierdzeniu głupskich lekarzy nie można przepisywać wielkiej wagi; autorytet ich nie ustalony jeszcze jest tutaj, szanowna publiczność albowiem wierzy więcej w felczerów, którzy grają tu rolę wielkich powag medycznych..

Tutaj to, na rynku, w samym sercu Głupska, rozlegają się głosy: „Hajse babkes!” (gorące babki), „hajse reczennikies!” (gorące placki gryczane), czosnek, cebula! Tu wieczorem, gdy mrok już zapadnie, gromady żydów modlą się, witając nowy księżyc i do każdego z przechodniów krzyczą „szolem ałejchem!” Tu stoją tragarze, opasani grubemi postronkami i czekają na robotę, tu tłoczą się dymisyonowani żołnierze, chcąc sprzedać stare mundury i podarte szynele, tu kręcą się tandeciarze, częstując przechodniów zniszczoną, ale taną garderobą. Wśród tego tłumu uwijają się złodzieje kieszonkowi, praktykując, o ile można, swe rzemiosło, tu jakaś obdarta, rozczochrana dziewczyna, przeraźliwym głosem, woła o jałmużnę i chwytając przechodniów za ubranie. Garstka uliczników goni jakiegoś waryata, krzycząc hura! a waryat przyjmuje te krzyki obojętnie i przechodzi dalej z kapeluszem pomiętym, sądząc, że ma królewską koronę na głowie.

Tu stoi znów chłopak ze skrzynką; ciekawa publiczność patrzy w otwór, a on piskliwym głosem udziela objaśnienia:

— Patrzenie i podziwianie — mówi, — oto jest Londyn, papież w czerwonym mun-

durze na koniu, wszyscy stoją z odkrytymi głowami... a teraz patrzcie znowuż, oto Napoleon ze swymi francuzami bije prusaków, prusacy uciekają w popłochu, jak karaluchy! A oto dama jedzie z sultanem w karcie, wielki wezyr siedzi na koźle i powozi; tymczasem konie się spłoszyły, wyróciły karete, turek upadł na bruk i mocno się potłukł, a ona szuka kogo, żeby im przyszedł na pomoc. No, odchodźcie, odchodźcie, dość już napatrzyliście się cudownych rzeczy! Cóż wy myślicie, że za jeden grosz, cały świat oglądać będziecie!?

Tu na rynku, usadowiły się rzędem przekupki z nieckami pełnemi owoców, warzyw, ogórków, wisien, gruszek i tym podobnych przysmaków.

Nieco na boku, stoi budka na kurzych nóżkach, wykrzywiona, stara, bez drzwi i bez okien. Starzy, posiwiali żydzi opowiadają, że w tej budzie niegdyś stawał policyant i, że kiedy ją postawiono, całe miasto zbiegło się jak na wielkie dziwisko. Obok budki, z której Głupsk pyszni się słusznie, jak ze starej fortecy, pod daszkiem ze starych, przegniłych tarcic, poczerniałej słomy i rogożek, wspartym na czterech wykrzywionych słupach, siedzi

dzierzawczyni ogrodu i sprzedaje owoce. Otoczona ze wszystkich stron nieckami, w których są wiśnie i gruszki, rozsiadła się ona jak kwoka, i przez cały dzień nieustannie mówi.

O mieszkańcach Głupska jest podanie, że pochodzą oni od owych żydów, których król Salomon wysłał ongi na okrętach do Egiptu, po złoto i inne kosztowne towary potrzebne do ozdoby świątyni... Ci żydzi, w skutek rozmaitych okoliczności, nie powrócili już do Jerozolimy, lecz dostali się z czasem do „hindyę“, gdzie dorobili się bardzo pięknych sklepów i wielkich kantorów bankierskich. Zjednali oni sobie u „indyjskich niemców“ bardzo rozległy kredyt i, przez długi bardzo czas, prowadzili różne interesa komisowe nader akuratnie. Później wszakże, owym szczęśliwym kupcom i komisantom powinęła się noga, tak, że musieli z „hindyę“ uciekać..

Pewna ich część zmarnowała się i przepadła w pustyni, część zaś zdołała szczęśliwie przeszwarować się przez granicę, wsiała na okręty i żeglowała dotąd, aż się znalazła na wodach rzeki Gniłki, która w owym czasie wpadała wprost do oceanu. Tak owi

żydzi żeglowali, żeglowali, aż zerwała się wielka burza, bałwany wznosiły się pod obłoki; uragan porozbijał okręty i żeglarzy powyrzucał na brzeg...

Wyrzuceni na ląd rozbitkowie osiedlili się nad brzegiem rzeki Gniłki, zbudowali miasto i nazwali je Głupsk.

Uczeni badacze starożytności, którzy z najmniejszych cząstek potrafią odtwarzać największą całość, snuli o założeniu Głup-ska najrozmaitsze hipotezy i popierali je licznymi dowodami i komentarzami.

Indyjskie pochodzenie miasta Głup-ska wykazane zostało jak na dłoni... Dowodów na to jest niezmierna obfitość: przede-wszystkiem, sam fason domów, dziwaczny i dziki, noszący na sobie cechy bardzo od-ległej starożytności. Patrząc na owe do-mostwa, zdaje się, że zostały one zhudowa-ne przynajmniej przed tysiącem lat, w epo-ce, kiedy ludzie mieszkali jeszcze pod na-miotami, w jaskiniach, lub pieczarach.

Domy te są ze sobą w nieustannej kłótni.

— Ty stąsz prosto, ja, na złość, stanę krzywo! ty pochylałeś się w tył, ja naprzód! ty na prawo, ja na lewo ty masz schodki krzywe, ja jeszcze krzywszą drabinę!

Tak zdają się kłócić ze sobą domy w Głupsku i robić sobie na złość, co przy-czynia się mocno do upiększenia tego wiel-ce szanownego miasta.

Drugim wymownym dowodem indyj-skiego pochodzenia Głup-ska, są zwyczaje i obyczaje jego mieszkańców. Jest w tych zwyczajach coś pogańskiego, przechowane-go z dawnych, bardzo dawnych czasów. Sztuka pisania, oraz matematyka, nie kwit-ną w tem mieście, jak również i inne umie-jętności, a główni kierownicy interesów kahalnych obywają się wygodnie bez wszelkich ksiąg i rachunków.

Ludzie, jak w głębokiej starożytności, dzielą się tu na kasty, zupełnie jak u in-dyan. Jest naprzykład kasta „hapłaperów“ możnych, samych „cymesów“, która nad-wszystkimi innymi przewodzi silną ręką... Są prowodyry, mocni jak stal i żelazo. Ci trzymają stale stronę „hapłaperów“, za co dostają honorarya w pieniądzach, bądź też w naturze. Jest również partya „gład-kich“, umiejących się zręcznie ślizgać wśród swego otoczenia i nigdy się nie po-tnąć, a po za tem, partya biedaków

(„głupo-truso-bezjazyke-kapcaner“^{*)}), prosty, biedny lud, który od wszystkich partyj ma za swoje.

Jeszcze jeden dowód. Gdy kopano ziemię przy budowaniu grobli, znaleziono bardzo starą, wytartą monetę. Gdy zaczęto jej się pilnie przyglądać, dostrzeżono na jednej stronie rysunek, wyobrażający coś w rodzaju koryta, albo niecki, z której wychylały się głowy. Na jednym końcu koryta osadzony był jakiś kij, a do niego przyczepiony fartuch.

Z drugiej strony pieniążka znajdował się jakiś napis bardzo niewyraźny; dopiero po starannem oczyszczeniu monety i przy użyciu silnych szkieł, uczeni się przekonali, że napis jest hebrajski i że zawiera w sobie litery: „jod, alef, szin, lamed, gimel—wow, ajen, nun i pej.“

Uczeni, zobaczywszy taki napis, potracili głowy, gubiąc się w tysiącznych przypuszczeniach i kombinacjach, i natychmiast rozdzielili się na dwa wrogie obozy,

^{*)} „Sekta biedaków, głupich, bojaźliwych, bezjęzycznych“, nieumiejących upomnieć się o swoje prawa.

z których każdy miał swoją metodę i podług niej, starał się napis wytłomaczyć.

Jedna partya twierdziła, że w pierwszym wyrazie początkowa litera „jod“ i końcowa „gimel“, cokolwiek zatarte, nie są właściwie literami, lecz szczątkami kresek dla ozdoby napisu zrobionych, że zatem, wypisany wyraz, z opuszczeniem tych liter, należy rozumieć: „drzewo i gałęź.“

Druga znów część uczonych dowodziła zupełnie czego innego i, z pojedynczych liter napisu, ułożyła kilka wyrazów, które miały mówić: „żydzi z Epiru (lub też z Indyj) tu wylądowali i miasto Głnpsk nad rzeką Gniłką założyli.“^{*)}

Kij z przyczepionym na końcu fartuchem, koryto i wyglądające z niego głowy, wyobrażają okręt z rozwiniętymi żaglami pełen marynarzy.

O tem wytłomaczeniu rzeczonoego na-

^{*)} Dowcipna kombinacja ułożona z liter hebrajskich, a będąca złośliwą parodią wywodów archeologicznych, nie da się dosłownie przełożyć na język polski — zachowałem więc tylko główną myśl autora, nadawszy jej formę dla czytelników zrozumiałą.

pisu i rysunku na znalezionej monecie, uczeni opracowali bardzo grubą księgę—i rzucili projekt, ażeby oczyścić rzekę i zbadać gruntownie jej dno, gdyż prawdopodobnie znajdzie się tam mnóstwo rzeczy, mogących rzucić światło na całą historię żydów, zamieszkujących Głupsk.

Mieszkańcy Głupska wszakże obawiają się poruszyć błoto i to wszystko, co się w niem może znajdować — skutkiem czego ważne odkrycia archeologiczne stracone zostały dla świata, może na zawsze...

VIII.

Zdarzyło się, że podczas pobytu swego w Głupsku, wśród ludzi zacnych i ze wszech miar przyjemnych, udało się Beniaminowi zrobić niezmiernie ważne odkrycie, które ostatecznie dowiodło słuszności hipotezy o indyjskim pochodzeniu mieszkańców tego miasta.

Zanim jednak przystąpimy do opisanja faktu, który będzie miał niesłychaną w dziejach ważnych odkryć, doniosłość, musimy przedtem opisać poprzednie wydarzenia chronologicznym porządkiem. Zaletą każdego szanującego się kronikarza jest przedewszystkiem ścisłość i wierne trzymanie się historycznych faktów. Należy o maksymie tej pamiętać.

Znakomici nasi podróżnicy, podczas pobytu w Głupsku, urozmaicali sobie wolne chwile wycieczkami za uiasto. Kiedy po raz pierwszy ujrzeni przed sobą Gniłkę, leniwie toczącą swe fale, zadziwili się mocno i zlekli zarazem, albowiem nigdy jeszcze w swem życiu nie widzieli takiej masy wody, nagromadzonej na jednym miejscu.

Senderił zauważył, że bezwątpienia musi to być największa rzeka w świecie. I nic dziwnego, albowiem Senderił był człowiek prosty.

Zresztą, taka rzeka, to nie żarty! rzeka może sto razy większa od tej, która płynie pod rodzinnem jego miastem, Tuniejadówką!

Tenderił, jak to już rzekliśmy wyżej, był człowiek prosty; oprócz Tuniejadówki, więcej świata nie znał, drobnego druku czytać nie umiał, wszystko więc, co po za rodzinnem swem miastem spotkał, wydawało mu się niesłychanie wielkiem, dziwnem i prawie cudownem.

Beniamin znowuż, co innego. Beniamin był człowiek uczoności wielkiej, nałykał się dość różnych wiadomości ze swych filozoficznych książek, znał się na drobnym druku i pełną gębą spijał miód „siedmiu

mądrości”. On znał opis podziemnego raję, znał dziwne, niezwykle stworzenia, zamieszkujące „hindyę” i różne tym podobne osobliwości — to też na widok tak olbrzymiej rzeki, jak Gniłka, aczkolwiek zdumiony został niezmiernie, jednak nie pokazał tego po sobie.

Oświadczył on towarzyszowi swemu, że taka rzeka, to wcale nie rzeka... to poprostu błoto! kałuża marna, w porównaniu z Jordanem... Taką rzekę, jak Gniłka, wielki byk „Szejr habar” *) wypilby odrazu i nie ugasił pragnienia.

— Co taka rzeczka znaczy, wobec Jordanu—mówił, zapalając się Beniamin—jedna kropla! marność! a Jordan! wiesz ty, co to znaczy Jordan?! Jordan znaczy masa! wielkość! Jordan znaczy Jordan!

*) „Szejr habar”. Wśród konserwatywnych mas żydowskich krąży podanie, że po skończeniu świata, żydzi będą mieli wspaniałą ucztę. Na tę uroczystość zabite zostaną dwa olbrzymie potwory: „Szejr habar” byk niesłychanych rozmiarów i „lewiatan”, ogromna ryba, dźwigająca na sobie całą kulę ziemską.

Po chwili, przysła Beniaminowi do głowy myśl genialna...

— Wiesz co, Senderil!—zawołał z radością— postanowiłem, żebyśmy w dalszą podróż puścili się wodą!

— Bóg z tobą, Beniaminie—krzyknął wystraszony Senderil,—co ty mówisz!

— Dla czegożby nie?

— Aj, aj, Beniaminie, pomyśl tylko, jeśli taka mała rzeczka, jak nasza, pod Tuniejadówką, pochłania corocznie jednego człowieka — ileż ta, taka ogromna, musi ludzi połykać!? Zmiłuj się, człowieku, miej litość nad naszym życiem, nad twoją żoną i dziećmi, Beniaminie!

— Ufać, ufać trzeba, mój kochany— ufność jest rzeczą żydowską. Z ufnością, przodkowie nasi, mając tylko kij w rękę, przechodzili Jordan—na ufności zbudowane są wielkie sklepy żydowskie!

— Dobrze to jest, ale dla czego chcesz koniecznie płynąć po wodzie, kiedy lądem można wędrować spokojniej i bezpieczniej?

— Mam wiele racyj po temu—odpowiedział Beniamin—przedewszystkiem wyprawa wodą trwać będzie znacznie krócej, ponieważ droga wodna jest zwykle najbliższa. Dla czego najbliższa? to już moja

rzecz, to ja wiem. Tu, tu,—rzekł, stukając się palcem w głowę,—tkwi już oddawna myśl, świetna myśl, aby do zamierzonego celu przylecieć lotem ptaka! Za podróżą wodną przemawia jeszcze i to, że kiedy wielki Beniamin, znakomity uczony „fun Tudelo“ (z Toledo w Hiszpanii) puścił się w podróż, to zaraz z samego początku płynął na falach rzeki „Ebro“, co jest najwyraźniej w jego dziełach opisane. Zapewne, skoro taki podróżnik puścił się w drogę wodą, nie zaś lądem, przeto droga wodna musi być daleko lepszą. Tamten Beniamin wiedział bardzo dobrze, co robił, gdyż był on oł nas obudwóch o wiele mądrzejszym, żebym tak zdrów był, Senderuniu. Rabi Beniamin był to człowiek dawnej daty, żył od nas o wiele wcześniej, dla tego powinniśmy go naśladować bez pytań, bez roztrząsań.

— Kiedy tak, to masz, Beniaminie, zupełną słuszność. Na moje żydowstwo nieinaczej, jak wodą! Gdyby nawet, w dawniejszych czasach, wielki Beniamin podróżował wierzchem na kociubie („ojf a koczere“) to i my powinniśmy siadać na kociuby i puszczać się w drogę natychmiast!!

— Po trzecie—przerwał Beniamin, nie zaszkodzi, jak odbędziemy kilka prób, w celu przyzwyczajenia się do niebezpiecznych podróży morskich; nie będzie więc źle, jeżeli zrobimy kilkakrotnie wycieczkę wodną, przy czyjejs pomocy, zanim wyrobimy w sobie dość siły do samodzielnej żeglugi. Widzisz, Senderił, zdaje mi się, że tam, niedaleko, stoi łódka; gdybyśmy dali coś chłopu, do którego ona należy, toby, bezwątpienia, przewiózł nas trochę po wodzie. Pogadaj ty z nim, Senderił, gdyż wiadomo ci, że ja nie jestem bardzo biegły w chłopskim języku.

W kilka minut później, wędrowcy nasi, ukrzepiwszy się na duchu, siedzieli już w łódce i płynęli po grzbiecie Gnilki, leniwie toczącej swe fale. Z początku, obadwaj byli bardzo przerażeni, szczególnie zaś Senderił, który doznał dziwnego zawrotu głowy i wyrabiał dziwaczne gesta rękami i nogami przy każdym pochyleniu się łódki.—Ot, ot, myślał sobie, lada chwila statek się przewróci i ja wpadnę w niezmierzone głębiny otchłani... Oto już koniec mojego żywota, żona moja pozostanie wieczną „aguną“ a dzieci sierotami!...

Przestrach nie trwał jednak zbyt dłu

go, po niejakej chwili Senderił uczuł polepszenie; nie doznawał już tak silnego zawrotu głowy i z mniejszą obawą spoglądał na wodę.

— Nic to, Senderił, nic to nie szkodzi —pocieszał go Beniamin, kiedy już wyszli na brzeg.—Niech cię to wcale nie martwi, że dostałeś zawrotu głowy i że nie czułeś się dobrze. Są to zwykle przypadłości, nieodłączne od wszelkich wodnych podróży; to się nazywa choroba morską, każdy ją musi przejść, gdy się po raz pierwszy znajdzie na falach oceanu. Przekonasz się, że za drugim razem będzie ci znacznie lepiej i że uczujesz się daleko swobodniejszym i zdrowszym na okręcie, aniżeli dziś.

Od owego czasu, od pierwszej wyprawy żeglarskiej, podróżnicy nasi często odbywali wycieczki wodne, a te sprawiały im wielką przyjemność. Czuli się przytem tak oswojonymi z wodą, tak silnymi, że przeprawa przez prawdziwe morze nietylko nie trwożyła ich, lecz wydawała im się dziecinną zabawką.

Nawet Senderił zrobił się bardzo śmiałym do wody; nie obawiał się już wahań i pochyleń czółna.

Beniamin, za pośrednictwem swego to-

warzysza, koniecznie pragnął wdać się w rozmowę z rybakiem, właścicielem łódki, i zarzucić go gradem pytań, jak naprzykład:

— Spytaj-no, Senderił, tego chłopca, albo spytaj naszego kapitana okrętu, ile mil mamy ztąd do morza? Spytaj go, czy na tej rzece są jakie wyspy? Jaki rodzaj ludzi te wyspy zamieszkuje? Czy są pomiędzy nimi żydzi? Czy opłacają oni jakie daniny i czy wiedzą o rozproszeniu żydów po świecie?

Albo też Beniamin mówił tak:

— Mój Senderił, spytaj też, tak sobie, dla ciekawości, czy ten chłopiec wie co o górze „Gisbejn“? czy wiadomo mu o dziesięciu zaginionych pokoleniach? Czy może zdarzyło mu się słyszeć coś o nich?

Te pytania były dla Beniamina palącymi kwestyami, lecz odrobina znajomości chłopskiego języka, którą zdobył Senderił, towarzysząc swej małżonce w wycieczkach na targ, nie była wystarczającą do porozumienia się w tak ważnych przedmiotach. Targować się o kartofle, cebulę, kurę, Senderił jeszcze jako tako potrafił, lecz prowadzić rozmowy z kapitanem okrętu o rzeczach ściśle naukowych, stanowczo nie mógł.

Litość brała patrzeć na męczarnie, przez jakie biedny Senderił przechodził, pragnąc wytłómaczyć chłopu, o co idzie... Mówił on nie tylko głosem, lecz i mimiką, rękami, nogami, pracował z całych sił, aż pot oblewał mu twarz—wszystko nadaremnie...

Chłop nie rozumiał, splunął, spojrzął na niego ze złością—a Beniamin znowuż gniewał się i ciągle żądał nowych pytań, nowych objaśnień; szturchał Senderiła, trącał, gniewał się i sam wtrącał wyrazy do rozmowy.

— Win, czerwone żydki, win pitaje!—krzyczał chłopu w same ucho Senderił.

— Iz czerwone żydki ja znam Lejbku, Szmulka, bohate żydki i czerwone—odpowiedział kapitan okrętu.

— Ni Lejbka! ni! ni! win czerwone żydki pitaje, wi zogt men epes (jakby to powiedzieć), win tamoczke, leben bergete Gisbejn, (tam, tam około góry Gisbejn).

— Gisbona? żydka Gisbona?

— Powiedz-że mu, że się pytasz o górę, pokaż mu rękami, że to idzie o górę! Pokaż, jak umiesz...

Senderił podniósł wysoko obie ręce, złożył je i krzyczał:

— Ot! het! het, wisoko, dużo wisoko!

— Tfu! — splunął chłop rozgniewany, i zaczął po swojemu wymyślać — i odsyłał Senderiła do wszystkich dyablów, pomst, piorunów i nieszczęść.

Wędrowcy nasi przyjmowali te wybuchy chłopskiego gniewu z filozoficznym spokojem i obojętnością przedziwną.

O podróżach wodnych po rzece Gniłce opowiada Beniamin w swych księgach cudowne i zadziwiające rzeczy, które narobiły w całym świecie hałasu... Pragniemy podać niektóre z nich w krótkości.

Płynąc pewnego razu po Gniłce, Beniamin dostrzegł bardzo piękne miejsce, pokryte zielenią tak śliczną, że oczy od niej oderwać było trudno. Sądził on, że jest to mała zielona wyspa, porośnięta trawą i różnemi pachnącemi ziołami.

Skoro już wyciągnął jedną nogę i chciał wyskoczyć na wyspę, kapitan, kierujący łódką, pochwycił go nagle z tyłu za kołnierz, i z krzykiem rzucił na dno statku, z całą siłą, tak, że Beniamin przez długi czas leżał nieruchomo, jak oszołomiony, i nic nie słyszał, prócz tego, że statek tarł się o coś, przepychał i że koło niego coś szumiało. Widocznie, łódź natrafiła na jakąś

przeszkodę i torowała sobie drogę z wielką trudnością.

Gdy Beniamin przyszedł do siebie, chłop opowiedział mu, że owa zwodnicza zieleń wcale nie jest wyspą, jak się wielkiemu podróżnikowi zdawało, lecz rzęsą, pokrywającą wodę — i że rzeka Gniłka corocznie się taką rzęsą pokrywa.

„Ja wszakże, pisze w swych księgach Beniamin, nie dałem się oszukać i podobne tłumaczenie nie wprowadziło mnie w błąd. Nie była to żadna rzęsa, ani, jak chłop twierdził, woda kwitnąca, gdyż, jak żyję, nie słyszałem, żeby woda kwitnęła, zresztą, gdyby kwitnęła, to miałaby także owoce, czego dotychczas żaden człowiek nie widział. Wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska, to jest, owej zdradliwej wyspy, znalazłem w moich nieoszacowanych księgach, które każdą rzecz, jaka jest tylko na świecie, mądrze i pięknie wytłumaczyć potrafią.

Nie mnie, uczonego człowieka, można złapać na takie plewy! Wiem ja dobrze, iż to, co chłop nazywa jakąś rzęsą, czy kwiatem, to jest nic innego, jak tylko olbrzymia ryba morska „Chilejno, której bar-

dzo ciekawy opis znajduje się w księdze „Ceł ejłom”.

Księga opisuje tego potwora temi słowy: Straszliwa, wielka ryba „Chilejno” pokryta jest ziemią i trawą; wygląda, niby duża zielona wyspa. Zdarzało się, że żeglarze, ujrawszy tę rybę i, sądząc, że mają przed sobą piękną górę, wysiadali z okrętów i chodzili po niej, jak po lądzie, nie wiedząc, jaka zdrada ich czeka... Gdy później, pragnąc ugotować sobie pożywienie, rozniecili ognisko, ryba, sparzona w grzbiet, pograżała się w otchłanie morskie, a znajdujący się na niej ludzie, ginęli w głębinach“.

Dla mnie, powiada Beniamin, jest to jeden jeszcze dowód, stwierdzający przypuszczenie uczonych i filozofów, co do pochodzenia mieszkańców Głupska. Że z Indyj wywodzą się oni, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, albowiem, gdy żeglowali ztamtąd przez ocean i przez rzekę Gniłkę, przyplłynął za nimi i „Chilejno”, który pochodzi także z wód indyjskich, a ma taki zwyczaj, że płynie za okrętami.

Wyjaśnienie to jest nader proste i zarazem tak przekonywujące, że nie potrzebuje dowodzenia.

Pewnego razu, gdy Beniamin żeglował po falach Gniłki i spoglądał w wodę, dostrzegł w niej dziwne jakieś stworzenia, akurat z kształtu podobne do kobiet. Niedawno właśnie, pisze Beniamin, czytałem w mądrych księgach, że w wodach mieszkają „ludzie morscy“ („jam menszen“). Ci ludzie morscy, pochodzą od prawdziwych ludzi, ale dawno już, bardzo dawno, skazani zostali na zamieszkiwanie w głębiach i odmętach. Komedycanci, którzy jeżdżą z budami swemi po miasteczkach i pokazują ludziom różne wesołe hece i osobliwe komedye, miewają także niekiedy ludzi morskich i, podczas jarmarków zwłասzcza, za parę groszy pozwalają ich publiczności oglądać. Beniamin pamięta, że był sam na takim widowisku. Nie przypuszczał jednak wtenczas, że te dziwne stworzenia, które oglądał w budzie komedyantów, ujrzy na własne oczy w głębi wód, podczas swoich znakomitych podróży.

Zdumiony niezmiernie, pisze Beniamin, pokazałem te morskie kobiety chłopu, kierującemu moją łódką, on zaś nie zrozumiał mnie widocznie, gdyż, zamiast dziwić się i zachwycać, jak ja, wskazał mi grubym palcem kilka bab, które nad brzegiem

Gnilki, zanurzone po kolana w wodzie, praly bieliznę.

Ja mu pokazuję osobliwość, niewidzianą dotychczas, pokazuję mu istny cud pod wodą, a on każe mi patrzeć na jakieś, praniem zajęte, baby, na które nawet, co prawda, człowiekowi poważnemu i uczonemu spojrzeń rzucić nie przystoi.

Ponieważ nie znam dobrze chłopskiego języka, a chłop jest znowuż o tyle ciemny, że mowy naszej nie rozumie, przeto nie mogłem mu wytłomaczyć, jak niezwykłą rzecz może zobaczyć i pozostaliśmy każdy przy swoim, to jest, ja podziwiałem osobliwe stworzenia, mieszkające w głębi wód, a chłop znów patrzył na piorące baby i, o ile pamiętam, coś do nich mówił..

Niedaleko od brzegu, pod samem miastem, znalazł Beniamin miejsce w którym woda była szczególnie gęsta, jakby zamrożona. Właśnie w tem miejscu woziwody napelniali beczki, w których dostarczali wodę mieszkańcom miasta. O ile mi wiadomo, z tą gęstą wodą, gospodynie w Głupsku mięszały rzadką wodę i gotowały w niej wszelkiego rodzaju potrawy. Sam jadłem obiad, przyrządzony na owej wodzie, i (żeby tak ko-

szował lewiosona) był wyborny. Muszę przyznać, że ów obiad miał siedm smaków, a każdy osobliwszy. Szczególniej „rosół-flajsz“, z gęstej wody gotowany, wydał mi się królewskiem jedzeniem.

Napełniłem też sobie wodą obie kieszenie kapoty i kazałem memu Senderiłowi, aby wziął całą paczkę tej, co najgęstszej, wody do torby. Podczas podróży przez oceany i pustynie taka rzecz może się przydać.

Właściwie powiedziawszy, znakomici podróżnicy nasi w Głupsku przeszli jakby szkołę żeglarstwa i uczynili tak zadziwiający postępy, że nietylko nie lękali się wody, lecz nie zatrważało ich nawet przechylenie się łódki. Przeszli już morską chorobę i, jak starzy, doświadczeni marynarze, gotowi byli w każdym czasie puścić się śmiało na głębiny morskie, na grzbietach spienionych fal docierać aż do Indyj i iść śladami wielkiego Aleksandra Macedońskiego.

Pewnego dnia, po obiedzie, Beniamin i nieodstępny jego towarzysz Senderił wyszli trochę za miasto, ażeby użyć ruchu i świeżego powietrza. Obadwaj byli w wyśmignitych humorach, śmieli się, rozma-

wiali głośno, patrzyli sobie w oczy, jak rozkochana para małżonków po ślubie; jednym słowem, całym postępowaniem zdradzali, że w sercach ich zamieszkała wielka radość i wesele...

Podskakiwali oni, śpiewali, zachwycali się każdym swoim słowem, każdym spojrzeniem.

Cóż się stało takiego? Co było przyczyną tak wielkiej radości i uciechy?

Oto postanowili nazajutrz rano opuścić już Głupsk i, w szczęśliwą godzinę, udać się tam!... tam! daleko, przez oceany, pustynie!...

Gdy tak wędrowcy nasi, w najlepszym humorze, podskakiwali sobie wesoło, dogoniła ich fura.

W wasagu siedziało dwóch żydów, z których jeden powoził, a drugi, z czapką na sam tył głowy zsuniętą, siedział, trzymając w zębach słomkę.

Jest to znak niezawodny, że głowa tego żyda pracowała nad jakąś ciężką kwestią.

Dogoniwszy Beniamina i Senderiła, przejeżdżający żydzi przypatrzyli im się od stóp do głów i zaczęli z nimi rozmowę, zasypując ich zaraz, jak żydowski zwyczaj wy-

maga, gradem pytań: — Zkąd, żydkowie, jesteście? jak się nazywacie? i t. d.

Podróźni nasi natychmiast, z całą otwartością i szczerością, opowiedzieli im historię swego życia, oraz dzieje wielkiej podróży. Co w sercu, to na języku! nie skrywali więc nic i zwierzyli się z najdroższych swoich zamiarów.

Żydzi popatrzyli na siebie z uśmiechem, coś szeptali ze sobą przez chwilę — a ten, który miał słomkę w ustach i czapkę na tył głowy zsuniętą, rzekł do swego towarzysza:

— Et, nie bój się, nic nie szkodzi! w najgorszym nawet razie, jeszcze znajdziemy sposób...

Po chwili milczenia, tenże sam żyd odezwał się do naszych podróźnych:

— Wiecie co? nasze miasto godne jest, dalibóg, zaszczytu oglądania was w swych murach, porządne to miasteczko i nabożne, mogę was zapewnić... Prosimy więc bardzo pięknie, bądźcie tak grzeczni i zróbcie nam ten honor. Na furze jest dość miejsca — siadajcie z nami. Nie targujcie się długo. Ręczymy za to, że w naszym mieście przyjmą was z otwartymi

rękami; ugoszczą, nakarmią, napoją i przyjmą wszystkim, co można...

— Dalibóg, przychylibyśmy się chętnie do waszej prośby — odpowiedział Beniamin, — lecz cóż? oto przed chwilą właśnie, postanowiliśmy się puścić w dalszą podróż wodą.

— Niech was nie obrazi — odpowiedział żyd, — ale to, dalibóg, wielkie głupstwo! cóż to za woda, którą chcecie się puścić w podróż? Gniłka! ależ to kałuża, zapleśniałe błoto, paskudztwo! Płynąć po takiej wodzie, to rzecz niegodna wielkich ludzi, uczonych podróżników!... Jedźcie z nami! pod naszym miastem płynie Dniepr! prawdziwa rzeka, która rzeczywiście wpada do morza! Po tej rzece będziecie mogli naprawdę żeglować i, z Bożą pomocą, dopłynąć do mórz i do oceanów. Nie sprzeciwiajcie się więc — siadajcie na furę...

— Co myślisz, Senderi! — rzekł Beniamin, — może naprawdę wypada zrobić honor tym grzecznym żydom i przyjąć miejsce na furze?

— A cóż mnie to obchodzi? — odpowiedział Senderi! — jeśli chcesz jechać, to i owszem.

Niedługo trwały pertraktacje; podróżnicy nasi, namówieni przez uprzejmych żydów, wdrapali się na furę, mocno zadowoleni z honoru, jaki ich spotkał, że zostali zaproszeni w imieniu całego miasta. Żydzi pilnowali ich bardzo starannie i strzegli prawie na każdym kroku. Trzeba też przyznać, że dbali o ich pożywienie i o wszelkie wygody, a tak im dogadzali serdecznie, nie szczędząc kosztów i nakładów, że wędrowcy nasi przyznawali w duchu, iż nigdy jeszcze w życiu nie doznawali takich owacyj i takiego, pełnego galanteryi, obejścia.

Na drugi dzień, przed wieczorem, (przy pomocy Bożej) fura wtoczyła się szczęśliwie w ulice pięknego miasta, Dnieprowce. Żydzi, jeszcze bardziej gościnni, niż dotychczas, zawieźli wielkich podróżników do zajazdu i postarali się o doskonałą kolację.

— Jesteście dziś znużeni i zmęczeni — mówili, — podróż sfatygowała was mocno, dla tego najlepiej będzie, jak się pożywicie, wzmocnicie siły i udacie się na spoczynek, który jest wam tak bardzo potrzebny. Jutro (gdy Bóg zezwoli) kiedy wstaniecie zdrowi i silni, zaprowadzimy was do osób wybitnych, zajmujących w naszym mieście wysokie stanowiska — i powiemy w intere-

sie waszym dobre słowo. Bezwątpienia, ludzie ci dadzą wam znaczny zasilek na kosztą owej wielkiej podróży i będziecie mogli, prędko i bez trudności, wykonać wasze sławne przedsięwzięcie. Teraz odpocznijcie sobie i nabierzcie sił, które są wam tak bardzo potrzebne. Dobranoc! reb Beniamin, dobranoc, reb Senderił — dobranoc!

— Dobranoc! dobrego roku (a git jor) — odpowiedzieli nasi podróżnicy i, w najlepszym humorze, udali się na spoczynek, weseli, szczęśliwi, a poniekąd i dumni z tego, że są przyjmowani tak wspaniale i uhonorowani przez ludzi zupełnie obcych, w mieście, do którego zaproszono ich umyślnie.

IX.

— Giewałt! giewałt! — wrzeszczał jak opętany Senderił, — dajcie mi chociaż pomodlić się przed śmiercią, chociaż westchnąć do Boga! giewałt! giewałt!

Przerażony tym krzykiem, Beniamin, ledwie żywy ze strachu, zerwał się ze swego posłania, prędko obmył palce wodą (a negelwasser*) i pobiegł zobaczyć co się stało z jego wiernym giermkim i przyjacielem.

* Żyd wstając z łóżka, przedewszystkiem obmywa palce, a raczej paznogie, jest albowiem w zacofanej sferze to przekonanie, że dyabeł najchętniej za paznogciami człowieka w nocy prześiaduje. Ztąd też i woda do tej ablucyi użyta, nazywa się „negelwasser“ t. j. woda paznogciowa.

Na dworze już miało się na dzień i, przez okno, światło wpadało do izby. W stancyi było spokojnie, wszyscy spali, chrapiąc na rozmaite sposoby. Był to oryginalny koncert, przypominał albowiem najrozmaitsze instrumenta muzyczne. Jeden chrapał przeciągle, jakby grał na bandurze, drugi przypominał flet, inny wydawał jakieś dźwięki krótkie, urywane. Jeden chrapał ze złością, drugi z namysłem, niby zadając komuś jakieś bardzo poważne naukowe pytania. Jednym słowem, był to oryginalny koncert nosów, w którym szlachetne te organa pracowały wszystkimi siłami, niby trąby w wielkiej orkiestrze.

— Czego tak krzyczysz Senderi! — zawołał Beniamiu, zbliżywszy się do łóża swego giermka, — co ci stało? może cię co ukąsiło? bo tu okrutnie coś kęsa... ja sam przez całą noc oka 'zmrużyć nie mogłem i, właściwie powiedziawszy, dopiero teraz zasnąłem, lecz twój krzyk rozpaczliwy obudził mnie.

— Aj! aj! — rzekł prawie z płaczem Senderi!, uciekajmy ztąd coprędzej! na miłość boską uciekajmy! nie traćmy ani chwili czasu, tu będzie jakieś nieszczęście...

— Bóg z tobą Senderi!, co wygadujesz!? Wielkie rzeczy, że cię coś ukąsiło! cóż to, nie jesteś człowiekiem, żebyś zważał na takie drobnostki?

Senderi! przez jakiś czas spoglądał na Beniamina, jak gdyby pomięszany i sam nie wiedział, co się z nim dzieje; po chwili dopiero odezwał się z westchnieniem.

— Och! miałem sen okropny, przerażający; daj Boże, żeby się nie sprawdził! do tej pory jeszcze nie mogę ocłbonać z przestachu, chociaż widzę, że jesteś przy mnie, Beniaminie!

— Et głupstwo, głupstwo i nic więcej — odrzekł Beniamin — czy to raz śnił się człowiekowi różne rzeczy?... Ja także miałem sen! i jaki sen, a jednak nie przeraziłem się... Widzisz, śniło mi się, że przybiegł do mnie „Pipernoter“, spojrzał na mnie dziękami ocsami i rzekł: — Wszak wy jesteście sławny rebe Beniamin z Tuniejadówki? Odpowiedziałem, że tak; co się mam zapierać? ja jestem sławny rebe Beniamin z Tuniejadówki!... Wtenczas „Pipernoter“ rzekł do mnie: — Niech więc rebe Beniamin będzie łaskaw pofatyguje się zemną, tylko prędko. albowiem „Aleksander Mugden“ stoi niedaleko ztąd z woj-

skiem swoim i mdleje z chęci poznania tak znakomitej osoby. Niechże więc reb Beniamin pospieszy i nie odmówi mu tej rozkoszy! Naturalnie, pospieszyłem na to wezwanie i pobiegłem natychmiast. „Pipernoter“ wskazywał mi drogę. Pędziłem, jak strzała wypuszczona z łuku, w tem słyszę za sobą jakiś głos grzmiący: — reb Beniamin! reb Beniamin! jesteś chyży jako jeleń, dogonić cię nie mogę! Odwracam głowę, a tuż za mną stoi [„Aleksander Mugden” sam, we własnej swej osobie... — „Adejni mejłech!“ (królu mój!) zawołałem i pochwyliłem za rękę wielkiego bohatera. Sciskam tę rękę serdecznie, ściskam, ściskam, aż przebudziłem się... Pfe! czy ty wiesz, Senderi!ł, com ja ściskał? nawet powiedzieć tego nie chcę... Pfe! co tu za pasudna stancya! pełna jakichś wielkich, czarnych robaków!... Otóż widzisz, mój kochany, co to jest sen, choćby najpiękniejszy nawet!... Powiadam ci, nie bierz sobie tego do serca, spluń trzy razy i zapomnij o śnie... ale cóż ci się śniło tak straszego?

Senderi!ł jęknął...

Tfu! tfu! tfu! spluął trzykrotnie i zaczął opowiadać swój sen, którego treść była mniej więcej taka:

— Śniło mi się, że szedłem przez ulicę, tak sobie, jak zwyczajnie ludzie chodzą, myśląc o swoich interesach... wtem zupełnie nagle i niespodzianie, ktoś pochwylił mnie z tyłu i wsadził w worek... Zanim mogłem zmiarkować, co się ze mną dzieje, już byłem związany w worku i ten ktoś ciągnął mnie po ulicy. Ciągnął mnie, tak ciągnął, nie wiem jak długo, aż nareszcie przywłókł do jakiegoś miejsca i zaczął rozwiązywać worek. Wtenczas ja wychyliłem głowę, żeby zobaczyć gdzie jestem, a ta osoba (niech ją nieszczęście spotka!) jak mi wytnie policzek! ale trzeba ci wiedzieć, Beniaminie, że to nie był wcale taki sobie zwyczajny policzek, to było coś w lepszym gatunku, bo aż mi dwa zęby wypadły z wielkim impetem! Jednocześnie usłyszałem głos: — To masz tylko na zadatek! na zadatek! a resztę otrzymasz nie długo. Spojrzałem z najwyższem przerażeniem, w stronę z której głos dochodził i ujrzałem... ach Beniaminie! jeszcze mnie dreszcze przechodzą!... ujrzałem moją żonę! Była ona straszna, na głowie miała jarmułkę, w oczach wszystkie ognie piekielne; zgrzytała przeraźliwie zębami i pienila się ze złości...

— Poczekaj-no! poczekaj, ozdobo mojej głowy! — mówiła w strasznym gniewie i z jakimś dyabelskim uśmiechem, wezmę ja kociubę i nauczę cię zaraz, jakiego Boga my mamy!

Gdy ona poszła szukać kociuby, która, na moje szczęście, gdzieś się zapodziała, ja tymczasem „złapałem nogi na plecy“ (hapt di fiz ojf di pleices) i uciekłem precz, precz, precz! Uciekałem tak, ducha w sobie nie czując, aż przybiegłem wreszcie do jakiegoś karczmy. Było w niej ciemno i pusto zupełnie. Położyłem się w kącie, zamknąłem oczy i starałem się usnąć; wtenczas przyszedł do mnie nieboszczyk mój dziadek, rebe Senderił, (niech spoczywa w pokoju) bardzo smutny, z załzawionemi oczami i rzekł: — Senderił, dziecko moje, nie śpij, jeżeli ci Bóg miły, wstawaj, Senderił! wstawaj i uciekaj ztąd pókiś cały, uciekaj gdzie cię oczy poniosą, albowiem grozi ci wielkie niebezpieczeństwo! Usłyszawszy te słowa z ust dziadka, który mnie bardzo kochał, chciałem natychmiast pójść za jego radą i uciec, uciec daleko; ale stało się nieszczeście, nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą... Zaczęło mnie to niepokoić... spojrziałem po sobie, bo się już jakoś rozwidniać

zaczęło i oniemiałem z rozpaczy!.. bo, wiesz, Beniaminie, ja już nie byłem Senderił! nie! ktoś mnie oczarował i przemienił, za pozwoleniem, w... żydówkę!

— Dziwny, zaprawdę, sen — mruknął Beniamin.

— Oj dziwny, dziwny i przykry. Ja sam nie wiedziałem, co się zemną dzieje. Oj, do czego ja byłem podobny? miałem na głowie „a kopke“ (czepek nocny), kaftan i spódnicę... twarz moja zrobiła się gładka, bez brody — ale co gorsza, że czułem się na zdrowiu jakoś dziwnie, szczególnie, zdawało mi się, że mam jakieś osobliwsze kaprysy i zachcenia... Tego już zanadto, do prawdy! przemienić nabożnego człowieka w żydówkę, to widocznie sztuczka szatańska. Chciałem się wyrwać ztamąd — drzwi zamknięte; próbuję odworzyć, nie sposób. Wreszcie, pod silnym naciskiem, drzwi ustąpiły i wpadłem do jakiejś pieczary, pełnej zbójców... Jeden z tych morderców z błyszczącym nożem w ręku, zbliżył się do mnie — inni powalili mnie na ziemię... widziałem, że przyszła ostatnia moja godzina! Gdy uczułem już zimne ostrze na gardle, krzyknąłem strasznie... otworzyłem oczy

i, na szczęście, przekonałem się, że był to tylko sen, okropny sen. Ty już wtenczas stałeś przy mnie, Beniaminie.

— Spluń, Senderi! spluń trzy razy! — poradził swemu przyjacielowi Beniamin — i wyrzucić całkiem z głowy ten sen, a oprócz tego, wstań, ponieważ już widno jest i odmów kilka psalmów, to cię uspokoi.

Senderi!, jeszcze pod wrażeniem straszliwych snów i przywidzeń, jęcząc i stękając, podniósł się ze swego posłania, obmył ręce, włożył na siebie hałat i wziął do ręki psalterz przetłómaczony na żargon. Wynalazł psalm dziesiąty i zaczął go odczytywać smutnym, płaczącym głosem:

„Wi a lej b in zaj n nore lejert ojch er
 „er lejert cuhapen dem ormen aher,
 „derlangt dem ormen szejn taki a hap,
 „abi mit zaj n nec a ci nor a klap.“*)

Gdy Senderi! odmówił kilka razy psalm, zrobił się już dzień na piękne

*) Powyższe kilka wierszy przytoczyłem w oryginalnie, ażeby dać czytelnikom próbkę żargonu żydowskiego. Jest to wyjątek z X psalmu Dawida (w. 9, 10) w którym zawiera się błaganie

i wszyscy, którzy nocowali w stancyi, zaczęli wstawać. Wielki, jak kocioł, samowar gotował się i buchał kłębami pary; nie długo też wszyscy zabrali się do picia herbaty. Beniamin i Senderi! dostali też po szklance gorącego napoju, który ich rozgrzał i orzeźwił.

Stancya, która była przed chwilą sypialnią, wnet przemieniła się w małą bóżniczkę. Każdy zawinął rękawy i ukazały się obnażone ręce żydowskie, gładkie, kosmate, tłuste, chude, białe i ciemne. Wszyscy włożyli na siebie „tales i teflim“ i oddali się modlitwie.

Nasi wielcy podróżnicy modlili się ze szczególnym zapałem, z gestykulacją,

o pomoc przeciw wrogom. W pięknym, rymowanym przekładzie polskim. Kazimierza Bujnickiego (wydanym w Toruniu, w roku 1878) wyjątek ten tak brzmi:

g) „Jak lew w swojej jamie
 „Czyha na zdobycz, aż biednego schwyta,
 „Bo żąda łupu, nigdy w nim nie syta,
 „Przemyśla tylko jak biednego złamie.

z westchnieniami, z płaczem, istotnie jak przystoi złamanym, zgnębionym żydom...

Błagali oni Pana świata, wołając:

— „Tatuniu! foteruniu!“ (ojcze) a płakali przytem i modlili się goręcej niż wszyscy.

Po modlitwie, poczęstowano ich kieliszkiem dobrej wódki, z życzeniem zdrowia („lechaim”). Nasi podróżnicy znaleźli się bardzo grzecznie i, jak przystoi na delikatnych ludzi, życzyli wszystkim obecnym „lechaim” i wieszowali im, aby Najwyższy zmiłował się już nad całym Izraelem, rozproszonym po świecie. Przytem oczy obecnych zaszyły łzami, co dowodziło najwymowniej, że to nie byli zwyczajni, ordynaryjni żydzi, lecz nabożni, czyści,

10) „Lecz gdy to w ludzkiej postaci straszyciło

„Mnóstwo nieszczęśliwych ułowi w swe sidło,

„Schyli się, padnie i rzecz szalony:

„Bóg mnie zapomniał i twarz swą odwrócił... etc.

Dodaję, że przekład Bujnickiego nie jest dosłowny.

piękni synowie Izraela, („frume, koszere, szajne juden“).

Jeden z tych pięknych i nabożnych żydków poszedł zaraz, po modlitwie, do miasta i zabawił tam kilka godzin. Gdy powrócił, radość jaśniała na jego twarzy, szepnął coś drugiemu żydowi do ucha i obadwaj widocznie byli bardzo uszczęśliwieni. Kazali nakrywać do stołu, a tymczasem myli ręce, przyjrząwszy się przedtem nader uważnie, czy kwarta, z której leli wodę, nie była przypadkiem uszkodzona, lub dziurawa*). Zaprosili też bardzo grzecznie naszych wędrowców, aby ci również umyli ręce i zasiedli do stołu.

Przy obiedzie było bardzo wesoło; wszyscy jedli z wielkim apetytem i chwalili gospodynię za to, że przyrządza doskonałe potrawy. Później puszczo się na obser-

*) W tych kilku słowach mieści się głęboka ironia; ów żyd bowiem, który tak troskliwie zagląda w kwartę, obawiając się, aby przypadkiem nie mył rąk wodą z uszkodzonego naczynia, co wedle przekonań zacofańców czyni ablucyę nieważną — jednocześnie knuje przeciwko Beniaminowi wielką zdradę, „co się w dalszym ciągu opo-

niejszą rozmowę: mówiono wogóle o żydach, że już jest wielki czas, aby się ich tułactwo skończyło, bo i za cóż taki naród, (taki drogi, wybrany naród!) ma tułać się po świecie i cierpieć rozmaite przykrości? Zaczęli wychwalać pod niebiosą przymioty Izraela, wysokie zdolności głów żydowskich, bo i czegoż to żydzi się nie nauczą, czego dokonać nie potrafią!? Wszystkie przecież mądrości, z których społeczny świat tak bardzo się szczyci, znane już były oddawna i wynalezione przed wiekami jeszcze przez żydów! a to co dziś widzimy i, czemu ludzie dziwią się tak bardzo, to wcale nowością nie jest. Przed potopem jeszcze wszystko to było!...

Rozmawiano tam również szeroko i długo o „apikoresach“ (bezbożnikach i heretykach), o różnych modach dzisiejszych, po-

wiadania szczegółowo okaże. Zestawienie tak drobiazgowego wykonania obrzędu religijnego z czynem nieszlachetnym, w jaskrawem bardzo świetle maluje charakter człowieka, który nie jest przedstawiony w opowiadaniu jako wyjątek, lecz nosi na sobie cechy charakteru jednostki przeciętnej.

wstawano przeciwko szkołom, za pomocą których rozprzestrzeniają się tylko „trefne“ książki, przeciwko szkołom, w których dzieci siedzą bez czapek i uczą się różnych świeckich rzeczy, nie mających związku z uczonością religijną.

— Aj, ładny, ładny teraz świat, nie ma co mówić! — wzdychając rzekł jeden z gości, — nie długo tu, żeby dukata złotem zapłacił, nie znajdzie takiego, któryby potrafił przeczytać porządnie rozdział „Miszne“ (część Talmudu), ale „proszenje“ to ci lada żydziak za dziesiątkę napisze...

— Aj, aj, dalibóg, ładny dziś świat, ładny świat, żeby nasze wrogi we wszystkim taką ładność mieli!...

Tak rozmawiając o różnych przedmiotach, biesiadnicy wzięli się z kolei do kwestyi podróży naszych znakomitych wędrowców.

— Winszujemy wam, kochani bracia, — mówili, — żeście podjęli myśl tak znakomitą, której Bóg zapewne pobłogosławi... Nie ulega kwestyi, że dojdziecie do celu szczęśliwie i że wam świat wiele, a wiele zawdzięczać będzie.

Beniamin był w siódmym niebie od takiego honoru, jaki mu w obcym mieście

wyświadczone, a że przytem był cokolwieczek cięty, delikatnie powiedziawszy, przeto stał się niezwykle wymownym i opowiadał o najrozmaitszych kwestyach. Słuchano go z wielką uwagą i nikt nie przerywał tej mowy.

— Wiecie co, rebe Beniamin, rebe Senderi! — odezwał się żyd, który chodził przed obiadem do miasta, — wstańmy już od stołu. Przytem, trzeba wam wiedzieć, że my jesteśmy sobie otwarci ludzie, prości żydzi, bez żadnych fanaberyi, bez figlów; żyjemy tak, jak nas nauczylu przodkowie i dla tego mamy zwyczaj zawsze po podróży chodzić do łaźni, wyparzyć trochę kości. I was także, reb Beniamin, reb Senderi!, zapraszamy ze sobą, tam wam przystrzygą włosy, ale nie dziwcie się, u nas taka moda; co kraj, to obyczaj, moi kochani. Nie dajcie się prosić, wyjdziecie ztamtąd odmłodzeni, odświeżeni, zupełnie jak inni ludzie — a potem, po łaźni, weźmiemy się do interesów. To będzie po prostu, po żydowsku, będzie dobrze. To nie będzie po nowomodnemu, gdyż u „apikoresów“ chodzić do łaźni, nie uważa się za rzecz piękną, ale my, my nie jesteśmy wcale „a gebulbe-

te“*), my chcemy tak żyć, jak nas dziadkowie nasi nauczylu...

To przemówienie od razu trafiło naszym podróżnikom do serca, gdyż łaźnia dla żyda jest przedmiotem szczególniej pojętym. Woda dla kaczk, lub gęsi, karczma dla chłop, mają zawsze urok; lecz sto, tysiąc razy większy urok ma łaźnia dla żyda. Rozkoszy, jakiej żyd w łaźni doznaje, nie może odczuć, ani zrozumieć żaden naród, rozkosze te bowiem są dwojakiej natury: fizyczne i moralne. Tu czuje on przedsmak szabas, i innych świąt uroczystych, tu krzepi ciało i ducha, tu rozmawia o wyższych zagadnieniach naukowych, o kwestyach filozofii, życia społecznego, polityki całego świata itd.

Proszę widzieć żyda, kiedy w wieczór piątkowy, przed szabasem, idzie z łaźni do domu. Jest on rzeświejszy, silniejszy, prawie młodszym się staje. Ryba nadziewana i przypieczony „cymes“ pachną mu wtedy, jak najwonnejsza myrrha i kadzidło. W piersiach jego zamieszkuje radość i we-

*) Naumyślnie przekręcany przez zaco-fańców niemiecki wyraz „gebildete“ (oświeceni).

sele, on wtenczas śpiewa, nuci „Szir ha szirim“ (Salomonowa „Pieśń nad pieśniami“), lub też przywołuje do siebie dzieci i pieści się z niemi, albo też zamyśla się i imagina-cya unosi go w inne zupełnie światy!

Do łaźni spieszy żyd, jak do ojczyzny, jak do wolnego kraju, w którym jednako-wa para ogarnia wszystkich, w którym każdy ma prawo zasiąść na najwyższem miejscu, wdrapać się na ostatnią ławkę, gdzie „pełne sobranje“ odbywa swe posiedzenia. On tam spieszy i dąży, aby wypocząć, wyprostować kości, zrzucić z siebie, na godzinę chociaż, brzemień kłopotów i trosk.

Takie to wielkie znaczenie ma łaźnia dla żyda, taką ważną w życiu jego rolę!

Dla tego też zamiar udania się do łaźni osobliwie przypadł wędrowcom naszym do gustu; nie robili oni wielkich przygotowań, udali się do miasta w towarzystwie tych dwóch zacnych i gościnnych żydów, którzy z taką serdeczną uprzejmością przyjęli ich na swój wóz, zawieźli do Dnieprowic i, na każdym kroku, wyprawiali im uczty i owacye.

Naturalnie, w towarzystwie tak miłych i uprzejmych ludzi — łaźnia jeszcze miłszą

się wyda! Beniamin i Senderił szli tedy rozpromienieni, weseli, szczęśliwi jak nigdy. W żadnem jeszcze mieście nie spotkało ich tyle gościnności, tyle zaszczytów! Ani przez chwilę nie pozostawiono ich samych, zawsze znajdowali się w towarzystwie, w otoczeniu. Zdawało się, że grzeczni żydzi dniewprowscy starają się oto, aby tak wielcy podróżnicy mieli obok siebie nieustannie wartę honorową.

Samo też miasto Dnieprowce, piękne, błyszczące, wyglądało jakby odświeżone, uroczyście. Szerokie ulice, wysokie domy, chodniki! Cóż, w porównaniu z niem, znaczy marna jakaś Tuniejadówka, a choćby nawet Głupsk, przez indyjskich żydów założony, na malowniczych brzegach rzeki Gniłki!

Beniamin i Senderił rzucali ciekawie oczami, chcąc dojrzeć łaźnię. W prostocie ducha, wyobrażali oni sobie, że to będzie zwyczajna łaźnia, jak w małych miasteczkach żydowskich. Zdawało im się, że gdzieś na uboczu, znajdą drewniany budynek, czarny, zakopcony z wierzchu, z ogromną kałużą przed samym progiem, którą trzeba przebywać po niepewnej, trzęsącej się kładce...

Tak sądzili w prostocie ducha, czemu wszakże nie należy się dziwić, gdyż tak w rodzinnem miasteczku, jako też i w czasie swych sławnych podróży, nigdy nie spotkali innej łaźni. Wszystkie, jakie widzieli, były jednakowo zakopcone, nieporadne i brudne.

Tymczasem, gościnni i nabożni żydzi przyprowadzili ich do wielkiej, trzypiętrowej kamienicy, w samym środku miasta — i powiedzieli swym drogim gościom, że to właśnie łaźnia.

Beniamin i Senderił spojrzeli po sobie, zadziwieni niezmiernie.

— To ma być łaźnia żydowska? w tym pałacu?

Powiedziano im, że tak jest, — albowiem w tem mieście, każda rzecz jest porządniejsza i piękniejsza o wiele, aniżeli gdzieindziej.

— Znać, rebe Beniamin — rzekł jeden żyd — że jeszcze jesteś wielki fryc, kiedyś takiej łaźni nie widział; ale pofatygujcie się wejść do środka, tam dopiero zobaczycie coś niezwykle pięknego!

Wszedłszy do przedsionka, ujrzeli ze zdumieniem błyszczącą froterowaną posadzkę, a na niej ścieżki, ułożone z wążkich

dywaników. Pomyśleli, że to musi być jakiś zaczarowany zamek, jeden z tych, które malowniczo są opisane w powieściach arabskich, lub w bajkach z tysiąca i jednej nocy... Któż wie? może nie długo otworzą się drzwi ukryte i z nich wysunie się cały szereg zaczarowanych królewien i księżniczek, które przywitają wędrowców i zaczną im przygrywać na zaczarowanych instrumentach. Nie otwarły się jednak ukryte drzwiczki, księżniczki przez czarowników uspięne nie przebudziły się jeszcze, natomiast ukazał się żołnierz z bronią w ręku — i kazał Beniaminowi i towarzyszowi jego się rozbierać.

— Rozbierzcie się, reb Beniamin, reb Senderił, bądźcie łaskawi, — mówili nabożni i grzeczni żydzi, — my zaś tymczasem pójdziemy zapłacić za bilety. Tu, u nas, taki zwyczaj, że się do łaźni bilety kupuje...

— Dobrze, a wy?

— My przyjdziemy do was z biletami. Nie bójcie się, nic nie szkodzi. Ten żołdat zaprowadzi was do samej łaźni. Aj, aj, co to za łaźnia! jaka łaźnia! pewnieście takiej jeszcze nigdy w życiu nie widzieli.

— No, no, będziemy czekali na was...

— Nie czekajcie, idźcie za żołnierzem, on was zaprowadzi... Śliczna łaźnia, będziecie się w niej dobrze pocili!...

Gdy Beniamin ze swym towarzyszem rozebrali się, chcieli wziąć z sobą garderobę i bieliznę, lecz żołnierz był tak grzeczny, że nie pozwolił im fatygować się samym, lecz wziął tłumoczek, a zachwyconych tą uprzejmością gości, poprosił do sąsiedniego pokoju.

Dziwna to była łaźnia! Na środku stał wielki stół pokryty sukniem, dookoła stołu zaś krzesła, na których siedzieli bardzo ładnie ubrani panowie.

Beniamin i Senderił oglądali się na wszystkie strony: cóż to za osobliwsza jakaś łaźnia bez żydów? Wreszcie, obecność tych elegancko ubranych panów, żenowała ich nieco; bądź co bądź, byli przecież w adammowym stroju.

Beniamin szturchnął swego giermka w bok i polecił mu, ażeby, jako znakomity lingwista, zasięgnął języka i dowiedział się nareszcie, któremi drzwiami wchodzi się do łaźni... do prawdziwej łaźni, gdzie jest gorąca para.

Senderił przystąpił do jednego z pa-

nów siedzących przy stole i, z wielką grzecznością i uszanowaniem, zapytał:

— Cy tutaj żydowski bania?

Na to zapytanie, ów pan wstał i zaczął się przypatrywać obudwom żydkom, których ciała były istotnie godnymi uwagi okazami. Wyszłe i chude, sama skóra i kości... Ów pan wszakże przyglądał im się bardzo szczegółowo i zapytał o coś po rosyjsku.

— Ha? co on mówi? Senderił! co on takiego mówi? — zapytał Beniamin.

— Co on mówi? albo ja wiem, co on mówi? — odpowiedział Senderił, wzruszając ramionami. Nie rozumiem ani jednego słowa, słyszę tylko, że powtarza ciągle: bilet, bilet! dyabli wiedzą, jakiego biletu on chce?

— Oj, głupi! głupi! — odrzekł Beniamin, — jaki ty jeszcze jesteś głupi, mój Senderił! przecież to jasne, on pyta nas, czy mamy bilet do łaźni, bo przecież do takiej łaźni, to się tak nie przychodzi po prostu, tylko z biletem... Wytlomacz-że mu jasno, że tamci żydzi naprzód już zapłacili za nasze bilety, że z góry już zapłacili, powiedz mu to, Senderił, wyraźnie i niech nas już

raz wpuszczą do łaźni — po co mamy tu stać?

Senderił zaczął mówić, jękając się:

— Jakże, panie? tyje żydki uże dali za... za... — nie mógł wymówić za co, wyraz bilet, w szczególny sposób uwiązył mu w gardle i nie mógł się ztamtąd wydobyć.

Niecierpliwy z natury, Beniamin nie mógł wytrzymać, wtrącił się do rozmowy:

— Za bilet, panie, sztajecz... żydki panie, łehawdił (nieprzymierzając) zapłacił... — rzekł w swoim własnym języku, dobitnie i jasno.

Ów pan popatrzył przez chwilę na nasyżych sławnych podróżników, potem skinął ręką i weszło kilku ludzi, którzy zaprowadzili ich do drugiego pokoju.

Żydzi dotrzymali słowa. Biedny Beniamin! biedny Senderił! jeszcze w życiu swoim nie widzieli takiej łaźni i nie przechodzili takich potów śmiertelnych! Posadzono ich na bębnie... zgrzytnęły nożyce, brzytwa ślizgała się po ich namydlonych fizonomiach...

Bródki i pejsy przepadły!...

Nie bez kozery, dziadek Senderiła, reb Senderił (niech odpoczywa w pokoju) uka-

zał się wnuczkwowi swemu we śnie i mówił: uciekaj, uciekaj, Senderuniu, gdyż niebezpieczeństwo ci grozi...

Groziło ono istotnie — i oto, niespodzianie, dwaj wielcy wędrowcy, przemienił się w wielkich rycerzy.

Wzięto ich do wojska.

.....

Należy tu wtrącić kilka słów objaśnienia.

Bohaterowie powiastki Abramowicza puścili się w wielką podróż w epoce, w której odbywała się wojna krymska. Ówczesny system brania rekrutów do wojska był zupełnie inny, niżeli dzisiejszy, a czas służby wojskowej dwudziestopięcioletni. Człowiek, którego brano jako rekruta, miał bardzo małą nadzieję powrotu do domu i do stron rodzinnych — to też wyraz „pobór” przerażał wszystkich. Dla żydów, nieodznaczających się, jak wiadomo, wojowniczym duchem, ewentualność noszenia karabina była jeszcze straszniejsza; wykręcali się też od niej, jak piskorze, nie szcędząc na to sprytu, stosunków i pieniędzy. Bywały jednak sytuacje, w których sposoby po-

móźdz nie mogły. Ludność żydowska danego miasta musiała złożyć „podatek krwi,” a obowiązek dostarczenia rekrutów spoczywał na gminach żydowskich, które miały swój odrębny samorząd.

Naturalnie, działały się przytem nie małe nadużycia. Wielcy „fajneberie” zarządzający sprawami żydowskiemi, członkowie kahałów, oszczędzali bogatszych; w „rekruty” zaś oddawali biedaków bez dachu i chleba, głupowatych, pozbawionych wszelkich środków egzystencji. Armia nie miała z tych rycerzy wielkiego pożytku, ale literze prawa stało się zadość, żądana ilość rekrutów była dostarczona. Oprócz tego, chwymano się jeszcze innego środka: ażeby ocalić bliższych, poświęcono dalszych, i w tym celu odbywały się formalne polowania na żydów obcych, włóczęgów, nie posiadających dowodów legitymacyjnych itp. Skoro udało się żydom pojmać takiego, nie posiadającego paszportu współwyznawcę, oddawali go zaraz do wojska, na rachunek swego miasteczka.

W podobnem położeniu znaleźli się też nasi znajomi, panowie Beniamin i Senderił.

Nieszczęście spotkało ich pod miastem

Głupskiem, w przeddzień puszczenia się w podróż, aż na ocean, po leniwie płynących falach rzeki Gniłki... Jadący na furze żydzi, zamieniwszy tylko kilka słów z naszymi podróżnikami, natychmiast powzięli względem nich plan, wykonany, jak czytelnikom wiadomo, z pewną przebiegłością dyplomatyczną.

Beniamin, uczoney Beniamin i jego wierny towarzysz Senderił, ani przypuszczali nawet, że pod płaszczykiem uprzejmości i gościnności niepraktykowanej, kryje się czarna zdrada.

Ufający i łatwowierni, wpadli w zasadzkę, — a skutkiem tego, w podróży ich przybył jeszcze jeden, nadprogramowy etap, który dostarczył im wiele wrażeń, ale bardzo mało rozkoszy...

Abramowicz nie kusi się nawet o opisanie wrażenia, jakie „łaźnia” w Dnieprowach na nich wywarła. Słuchacz, musi to sobie w duszy dośpiewać. Przeniesiono ich nagle w inny świat, w inne otoczenie, pozbawiono przyrodzonych ozdób twarzy, jakoto bród i pejsów; zdjęto z nich odświętne kapoty i jarmułki, a natomiast kazano im włożyć grube płaszcze żołnierskie i okrągłe czapki bez daszków, kazano im maszero-

wać w szeregu — im! ludziom mądrym, poważnym, powołanym do wyższych celów!

Ze strony dniewprowieckich żydów była to szpetna zdrada i oszukaństwo; Beniamin w swoich pamiętnikach szeroko się o tem rozpisuje, traktując ów fakt, jak na uczonego człowieka przystało, to jest: tak i przeciwnie i jeszcze raz przeciwnie, i tak — i znowuż naodwrot. Za pomocą bowiem takiej metody jedynie, kwestya daje się należyte wyjaśnić.

Bądź co bądź, fakt się stał, a Beniamin i Senderit, zupełnie nagle, niespodziewanie, wbrew swoim zamiarom i projektom, pasowani zostali na rycerzy.

.

Początki stanu rycerskiego nie były rozkoszne, gdy bowiem po kilku godzinach pobytu w fatalnej „łaźni,” wyprowadzono ich na ulicę, byli tak zbiedzeni i smutni, tak zawstydzeni i pogiębieni strasznie, że opisać tego nie sposób. Powierzchność ich również zmieniła się nie do poznania.

Ogoleni, bez bród i pejsów, patrzyli dookoła pełnym przerażenia wzrokiem, a gru-

be krople zimnego potu, wystąpiły im na czoła...

Szli smutni, zgnębieni, dreszcz wstrząsał ich ciałem... Otaczała ich gromadka żołnierzy, z bronią na ramieniu...

Na niebie zaczęły się gromadzić ciężkie, czarne chmury... błyskawice przebiegały po niem co chwila, pioruny z przerażającym rykiem przerywały powietrze i przejmowały wszystkich trwogą. Zerwał się wicher, jaki zwykle panuje przed burzą, zawył, zaskowyczał, zakręcił się w tańcu dyabelskim i podnosił słup kurzawy, którym wywijał i kręcił, jakby dla zabawki. To znowuż podniesiony słup pyłu opadał, a wicher w szalonym impecie zmiatał z ulic piasek, kawałki słomy, papieru i sypał niemi w oczy przechodniów. Wszystkie śmiecie uliczne wirowały, jak w szalonym tańcu czarownic, a grzmoty huczały strasznie, coraz straszniej... Z pól uciekało bydło w szalonym pędzie, jakby gnane przez stado zgłodniałych wilków.

Była straszliwa burza; błyskawice, grzmoty i pioruny szalały ponad ziemią, a ludzie drżeli, sądząc, że Najwyższy, za grzechy ludzkie, chce rozbić na szczerbą nędną ziemską skorupę.

Wreszcie rozległ się grom najstraszniejszy ze wszystkich, a jednocześnie ciężkich chmur lunął deszcz gruby, kroplisty, który zwiększał się ciągle i zamienił w ulewę.

Z deszczem tym mieszały się krople potu i łzy krwawe naszych biednych, nieszczęśliwych bohaterów („unzere bidne, unglukliche parszejnem“)...

Dokąd szli teraz? nie wiedzieli zupełnie, patrzyli z przerażeniem na błyskawice i na otaczające ich bagnety żołnierzy, mokli na ulewnym deszczu i z trudnością trzymali się na nogach, które się chwiały pod nimi...

— Och! Beniaminie uczony i mądry! O, dobroduszny Senderuniu! nie wiedzieliście jeszcze dotychczas, że nie tylko w pustyniach są straszliwe żmije, jaszczurki, „pipernotery“ i inne dzikie, drapieżne stworzenia; nie wiedzieliście, biedacy, że tu, w tej okolicy, gdzie was przyjmowano z takim honorem i gościnnością, groziło wam niebezpieczeństwo największe.

Czas, w którym podróżnicy nasi puścili się na wędrowkę, był to ciężki, ciemny, gorzki czas... żyd czaił się, aby złapać drugiego żyda:

„wi a lejbn in zajn nore gelejert hot ajch er,
„gelejert cuhapen dem „bezpaspornne“
aher!“

Ścigał i łapał współwyznawcę swego, aby go oddać na ofiarę za swoje dziecko, lub za dziecko swych bliźszych.

Beniamin i Senderił nie wiedzieli o tem, że znajdują się w pustyni, między potwornymi bestyami, zwierzętami dzikimi— i że „pięknii, nabożni, koszerni żydzi“ są bardziej żarłocznii, niżli sam „Pipernoter!“

X.

Po dość długiej wędrówce, Beniamin i Senderit przybyli na miejsce przeznaczenia i osiedlili się w koszarach.

Łatwo sobie można wyobrazić, że położenie nowokreowanych wojowników nie było godnem zazdrości.

Uśmiech nie zagościł na ich twarzach, byli posepni i smutni.

W pierwszych szczególniej chwilach pobytu swego w wojsku, chodzili oni jak błędni i nie wiedzieli co się z nimi stało? co się dzieje? Wszystko dla nich było nowem, obcem, nieznanem i niezrozumiałem, a zgoła niepodobnem do otoczenia, w którym wychowali się i wzrosli. Obcemi dla nich były koszary i żołnierze i język; ob-

cem i zupełnie niezrozumiałem to, co im robić kazano.

Nawet powierzchowność ich stanowiła rażący kontrast z całym otoczeniem. Szyneł wisiał na nich jak torba i wyglądał raczej jak „jupe“ (spódnica), aniżeli jak strój żołnierski, czapka zaś, na ich głowach, podobną była do nocnego czepka.

Wyglądali oni jak komedyanci, którzy przebrali się naumyślnie, ażeby wyśmiewać żołnierzy. Biada była także tej broni, która dostała się w ich ręce. Traciła ona zupełnie swój charakter i wyglądała jak kociuba, w ręku mężczyzny uwijającego się koło przypiecka...

Podczas musztry wyrabiali oni takie pocieszne sztuki rękami, nogami i bronią, że, patrząc na to, trzeba się było pokładać ze śmiechu. Rzecz naturalna, że w takich warunkach, obadwaj żydkowie nie mieli szans zrobienia wielkiej karyery w zawodzie militarnym — przeciwnie, spadały na nich częste, bardzo częste kary...

Gdy ptak, bujający na swobodzie, wpadnie w sidła i dostanie się do klatki, w pierwszych dniach rzuca się, nie je, nie pije i usiłuje wydobyć się na wolność. Później, zobaczywszy, że usiłowania jego są darem-

ne, zaczyna godzić się z losem, a jeszcze później, już oswojony z zamknięciem, śpiewa i trzepocze się tak, jak gdyby w klatce na świat przyszedł i po za nią nigdy nie widział i nie zaznał. Takie są zazwyczaj dzieje drobnych ptaszków, zapędzonych przez złe losy w sidła i osadzonych w klatce.

Podobne koleje przechodził także Senderil. Jako człowiek zadziwiająco zgodnego charakteru, po jakimś czasie oswoił się z myślą, że jest żołnierzem; przytem, zmysł praktyczny wskazywał mu, że jeżeli za złe mustrowanie się biją i wsadzają na odwach, to — chcąc uniknąć odwachu i bicia, trzeba się dobrze mustrować.

Odkrycie to, proste jak wszystkie wogóle wielkie odkrycia na świecie, utkwilo mu w głowie, niby gwóźdź w ścianie. Postanowił nauczyć się dokładnie sztuki maszerowania, trzymania się prosto i wyrabiania różnych manewrów ciężkim karabinem, który brał do ręki z niedowierzaniem pełnym i obawą.

Chcąc nabrać umiejętności wymienionych powyżej, Senderil cały swój wolny czas poświęcał odpowiednim ćwiczeniom. Od samego rana uprawiał się w maszero-

wanie i robienie bronią, ku wielkiej uciesze żołnierzy, którzy śmieli się do rozpuku, patrząc na jego ciężką pracę...

Istotnie, zabawnie było patrzeć, gdy wszystkie ruchy i obroty wykonywał na swój sposób.

Wyciągał się i wyprężał jak struna, zadzierał głowę, nadymał policzki jak bohater, podnosił nogi do góry i maszerował poważnie, nadęty jak indyk, komenderując sam sobie donośnym głosem:

— Prawo! lewo! lewo! prawo! marś... marś!

Przy tych eksperymentach zdarzały mu się wypadki: nogi wyciągane i wyprężane jak druty, zaplątały mu się nieraz w długich połach szynela — bohater o nadętych policzkach i zadartej głowie, padał jak długi na piasek, wypuszczając ciężki karabin z dłoni.

Niepowodzenie nie zrażało go wszakże, podnosił się znowuż — i znów padał i znowuż maszerował tak zawzięcie, jak gdyby mustra była jego najulubieńszem zajęciem.

— Prawo! lewo! marś! stój! — wykrzykiwał nieustannie, chodząc aż do zupełnego zmęczenia.

Beniamin miał na sprawy militarne

całkiem odmienne poglądy i na żaden sposób nie mógł się zaaklimatyzować w koszarach. Nic dziwnego, Senderił był sobie zwyczajny ptaszek i łatwo się z klatką oswajał; Beniamin zaś należał do gatunku wielkich ptaków wędrownych, które co pół roku zmieniają miejsce pobytu i dążą do odległych ciepłych krajów... Gdy taki ptak dostanie się do klatki, to żyć mu nie sposób, przestaje jeść i pić, macha rozpaczliwie skrzydłami i rzuca się na ścianę, szuka szpary, przejścia, przez które mógłby się na świat wydobyć.

Tak też i Beniamin szamotał się rozpaczliwie, myśl o dalszej podróży uczepiła się go jak pijawka i nie dawała mu ani chwili spokoju.— W drogę, w drogę! mówił ciągle do siebie—a we śnie widywał jakieś postacie i słyszał głos wołający:

— Dalej! dalej, Beniaminie, wstawaj i idź dalej!

Zima przeszła jeszcze jako tako, ale gdy wiosenne słońce zaświeciło, gdy dni były już jasne i ciepłe, wielki podróżnik o mało nie szalał z rozpaczny.

Pewnego razu, w piękny dzień wiosenny, jakoś po uroczystościach pamiątki wyjścia z Egiptu, kiedy Senderił, jak zazwy-

czaj, ćwiczył się w maszerowaniu i robieniu bronią, przyszedł do niego Beniamin i rzekł:

— Senderił! Senderił!

— Co? — zapytał zawzięty wojownik, maszerując ciągle.

— Stańże raz! chcę ci coś powiedzieć...

Senderił zakomenderował sobie „stój” i zatrzymał się przed swym towarzyszem, wyprężony jak struna.

— Pfe! pfe! Senderił — rzekł Beniamin z goryczą i wyrzutem — pfe! (żebyś tak zdrów był!) bawisz się i wyrabiasz takie figle, jak siedmioletni dzieciak! Pfe! pfe! I powiedz mi, proszę, do czego to prowadzi? jaki ma cel? Nie zapominaj, że przecież jesteś, dzięki Bogu, żonaty, poważny, dzieci masz, a przytem jest także z ciebie kawałek żyda — i ty! ty! zaprzątasz sobie głowę takimi pustymi rzeczami! Zastanów się tylko, nad czem ty pracujesz? i powiedz, czy to nie jest zupełnie wszystko jedno: czy zrobić „na prawo krugom!” czy na lewo „krugom!”? Czy tak, czy tak, to zawsze będzie „krugom”, a ty sobie nad tem głowę łamiesz!... Pfe, Senderił! pfe! dzieciak z ciebie! (żebyś tak zdrowie miał!).

— Alboż ja wiem? zresztą co mi tam do tego? każą na lewo, niech mają na lewo; każą „na prawo krugom“, niech będzie „prawo krugom“... niech ich dyabli wezmą!...

— A nasza podróż? Senderił, podróż nasza!? czy zapomniałeś już o niej? Gewalt! nasza podróż, tam, tam daleko... gdzie „Pimpernoter“i gdzie „lindeworim“! — wołał wzburzony Beniamin.

— Marś! marś! marś! — zakomenderował sobie Senderił i podniósł nogę do góry.

— Biada! biada tobie i marszowi twojemu, Senderił, pfe! powinieneś się wstydzic tych głupstw! (żebym tak zdrowie miał). Powiedz mi oto lepiej, ty łobuzie, co będzie z naszą podróżą? czy pójdziemy w dalszą drogę, czy nie?

Senderił nie dał długo czekać na odpowiedź.

— Co się mnie tyczy, to i owszem—ja mogę iść choćby i dzisiaj—zaraz nawet, nie wiem tylko, czy oni nas puszczą? ale zdaje mi się, że chyba nie...

— Słuchaj, Senderił, pomówmy o tem poważnie. Co oni mają z nas? na co my im się przydamy? czy my zdadni jesteśmy do takich interesów, jakimi oni się tru-

dnia? Powiedz sam, Senderił, na twoje żydowstwo, czy gdyby, na przykład, (czego Boże ucho waj) przyszedł nieprzyjaciel, czy moglibyśmy stanąć naprzeciwko niego?

— Mnie się zdaje, że nie...

— No, widzisz... a gdyby on przyszedł i tybyś powiedział do niego: — idź precz, uciekaj! bo jak nie, to zrobię do ciebie pif! paf!—to myślisz, że on tak ciebie zaraz, akuratnie posłucha?

— Po co on ma się mnie słuchać?

— Nie posłucha z pewnością; będzie to nawet wielkim szczęściem, jeśli cię żywego z rąk wypuści... Aj! aj! wierz mi, Senderił (żebym tak zdrowie miał) jak oni sami chcieliby się nas pozbyć. Mnie się zdaje, żeśmy się im sprzykrzyli; sam słyszałem jak „starsi“ (oficerowie) mówili między sobą na mustrze: kara Boża z tymi żydami! żeby już ich raz lichy ztąd wyniosł! Ja myślę, Senderił, że oni z wielką chęcią wypędziliby nas do wszystkich djabłów. Da-libóg, ja tak myślę, Senderił.

— Dlaczego nie? niech oni nas wypędzą! myślisz, Beniaminie, żebyśmy płakali?

— Nie, nie, Senderił! ja ci powiem jasno, że to z samego początku był nieczysty

interes, całkiem krzywa rzecz... Zrobiła się tu bardzo niestosowna partya -- ale rozpatrzywszy się dobrze, można się przekonać, że i myśmy temu nie winni i oni nie winni. Wszystkiego złego narobili dniprowieccy żydzi—oni i i nas oszukali i wojsko także oszukali...

— Aj, aj, i jak oszukali! — powtórzył Senderił.

— Ja teraz domyślam się, jak to było... Ci żydzi, którzy oddali nas w ręce żołnierzy, musieli nagadać oficerom, że my jesteśmy „dzicy bohaterowie“ (a wilde gibejrim) i bardzo oczytani w dziełach strategicznych, że znamy się na tem... Cóż my winni jesteśmy, że ich tamci żydzi brzydko oszukali? Nas oszukali oni jeszcze gorzej, jeszcze paskudniej! Mówię ci, Senderił, że najlepiej zrobimy, gdy porzucimy cały ten interes i pójdziemy sobie w dalszą drogę... A jak pójdziemy, to kto będzie winien? juści nie my i nie wojsko, bo my jesteśmy oszukani i wojsko jest oszukane... winni będą tylko tamci żydzi, łapserdaki, gałgany! niegodziwcy! Nas okłamali, że będzie łaźnia; oficerów okłamali, obiecawszy im, że się od nas strategii i sztuki wojowania nau-

czą. Ci żydzi! żydzi, Senderił, są winni! żydzi i jeszcze raz żydzi!

— No -- ale nareszcie, cóż ty myślisz zrobić, Beniaminie?

— Ja nie chcę nic zrobić, tylko pragnę puścić się w dalszą podróż... Myślę, że nie będą tutaj bardzo tęsknili za nami, a co się tyczy tego, że mogą nas nie puścić, to jest bardzo proste lekarstwo: nie opowiadać się że idziemy. Na co kto ma o tem wiedzieć? Żegnać się z nimi bardzo czule też nie widzę potrzeby, możemy pójść tak sobie, bez wielkiej ceremonii...

— I ja tak myślę, że nie potrzeba się żegnać, tem bardziej, że gdy przed rokiem wychodziliśmy z domu, nie żegnaliśmy się przecież z nikim; żonie, dzieciom rodzonym nie powiedzieliśmy nawet... „na tebe“.

Od owego czasu, bohaterowie nasi przemyślać zaczęli nad wynalezieniem najpraktyczniejszego sposobu opuszczenia koszar, bez pożegnania się i bez robienia komukolwiek przykrości uroczystego rozstania.

Beniamin szczególnie wszystkie siły swojej inteligencji wyteżał w tym kierunku. Myśl ucieczki zajmowała go wyłącznie; ciągle też był niespokojny, zadumany

i kręcił się jak kwoka, gdy sobie gniazda wyszukuje na wiosnę. Pograżony w myślach, wyłącznie jednym tylko zajęty przedmiotem, nic nie widział, nie słyszał, nie zwracał uwagi na to, co się koło niego dzieje.

Często, spotkawszy oficera, zapominał zdjąć czapki, czem się narażał na karę, a podczas mustry nie wiedział co do niego mówią, co mu każą robić i, naturalnie, znów się z karą spotykał. Te wszakże nieprzyjemności przyjmował bardzo obojętnie i wyłącznie tylko marzeniem o swej podróży zajęty, na nic więcej nie zważał.

Senderił, chociaż może i myślał o wędrówce, jednak trybu postępowania nie zmienił, zawsze miał jednakowy apetyt, codziennie wyrabiał rozmaite sztuki z karabinem, zadzierał głowę, prostował krzyż, i aż do znużenia uczył się chodzić i zwracać, powtarzając ciągle:

— Raz, dwa! raz, dwa! prawo, [lewo! marsz!

Dzięki tym ćwiczeniom, miał on wyborny apetyt i sen.

Pewnej nocy, gdy zmęczony, usnął doskonale, zbliżała się do niego jakaś postać.

W koszarach wszyscy już spali — było zupełnie ciemno i cicho...

Owa postać, zatrzymując dech w sobie, skradała się ostrożnie, jak kot...

Domyśleć się łatwo, że ową osobą, skradającą się potajemnie między pryzkami, na których spali żołnierze, był Beniamin.

Stąpił on z jaknajwiększą ostrożnością, ażeby nie zbudzić nikogo — i pocichu zbliżył się do postania, na którym wierny towarzysz jego złej i dobrej doli spał snem sprawiedliwego.

— Senderił! Senderił! — szepnęła Beniamin, dotykając ramienia rycerza.

— Co? kto to? co?

— Cicho, to ja, Beniamin...

— No?

— Czy gotów jesteś do drogi?

— Aj, aj, mogę być zaraz gotów — chcesz, żebyśmy poszli — to idziemy, cóż mi to przeszkadza? dlaczego nie mamy iść?

Bez szelestu podniósł się z postania i trzymając Beniamina za poję, wyprowadził go z koszar tak szczęśliwie, że nikt się nie przebudził i nie spostrzegł zbiegów.

Na dworze było cicho, ciepły wietrzyk dął, a wysoko na niebie unosiły się chmury

czarniawe i niebieskawe, ciągnęły. Jedne za drugimi powoli, jak tysiące czumaków, z naładowanym na wozy towarem... spieszącymi gdzieś na wielki jarmark, tam... na wysokościach. Księżyc, jak „prykaszczyk“ strzegący owego długiego nieskończenie korowodu wozów, wychylał co chwila głowę z pod przykrycia chmur, spozryzał, czy wszystko w porządku i znowu chował się pod czarną, jak smoła, oponczą.

Tak wlokła się po górnych szlakach, powoli, ta długa karawana chmur, popychana przez lekki wietrzyk, w dalekie, niezmiernie obszary.

Zbiegowie, oddech w sobie zatrzymując, skradali się ostrożnie obok ścian koszarowych — aż nareszcie doszli do parkanu oddzielającego koszarę od miasta.

Wdrapali się na stos złożonego pod parkanem drzewa i już mieli się przedostać na drugą stronę, gdy nagle Senderił przypomniał coś sobie i rozpaczliwym gestem uderzył się w czoło.

— Ach, Beniamin, wiesz co? zapomniałem torby! Nie wiem teraz co robić? chyba trzeba pójść napowrót do koszar po torbę?

— Broń Boże! broń Boże — zaprotesto-

wał Beniamin — wracać się, to paskudna rzecz! Jeżeli Bóg nam dopomoże, to da nam także i torbę. Zostawmy więc tamte w koszarach, może się komu przyda.

— Wiesz co, Beniaminie — rzekł Senderił — mój dziadek, rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju!) nie napróżno ukazał mi się wtenczas we śnie i rzekł: wstawaj, wstawaj, Senderił i leć, uciekaj, gdzie cię oczy poniosą! uciekaj, Senderił... Ach, Beniaminie, co to był za człowiek, nieboszczyk dziadek mój, rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju!), to był żyd co się zowie! pełną gębą żyd, bez żadnych kruczków, bez wykrętów. Nieboszczka moja babka (niech odpoczywa w pokoju) zawsze opowiadała mi...

Zanim Senderił zdążył opowiedzieć, co mianowicie babka mówiła o dziadku, dał się słyszeć donośny głos żołnierza, pytającego:

— Kto idzie!?

Żołnierz stał właśnie przy koszarach na warcie i, widocznie, zdawało mu się, że usłyszał głos jakiś.

Obadwaj zbiegowie przytulili się do parkanu, skurczyli się tak, że ich nie było wcale, nie śmieli oddychać ze strachu...

Leżeli tak cicho, nieruchomie, bez życia, niby dwa cienie od księżyca, który się z po za chmur chwilowo wychylał.

Ze strachu, drżeli obadwaj jak w febrze.

Na szczęście, żołnierz, nie słysząc więcej głosu i nie zauważywszy, żeby się kto ruszał — oddalił się w przeciwną stronę — a jednocześnie ciemna chmura zastoniła księżyc; zbiegowie ostrożnie zsunęli się z parkanu i, jak sądzili, znaleźli się po za obrębem wszelkiego niebezpieczeństwa. Pomimo tego jednak, opierając się na rękach i na nogach, pełzali po ziemi jak węże, z godną pochwałą przezornością.

W taki sposób oddalili się znacznie od koszar i, po godzinie utrudzającego pełzania, znaleźli się w jakiejś uliczce.

Tu podnieśli się, dali cokolwiek odpocząć bardzo zmęczonym kościom — i wesoło spojrzeli przed siebie, wiedząc, że rozpoczynają znowuż tak niespodziewanie przerwana wędrówkę.

Senderił, który lubił kończyć wszystko co zaczął, nawiązał nitkę przerwanej opowiadania i mówił dalej:

— Babcia moja, nieboszczka, (niech ona sobie odpoczywa w spokoju) opowiadała mi

zawsze, że jej mąż, a mój dziadek, nieboszczyk rebe Senderił (wieczny mu odpoczynek) przez całe życie swoje wybierał się do „Ziemi Izraela“ — żeby tam, obok grobu patryarchów głowę swoją położyć; przed śmiercią zaś, widząc, że zamiaru tego nie dokona, powiedział do babki te słowa: Widzę, że nie zasłużyłem sobie u Stwórcy tego szczęścia, żebym ziemię Izraela mógł widzieć własnymi oczami, ale jestem pewny, że jeden z moich potomków tam zawędruje. Serce mi powiada, że nieboszczyk dziadek, rebe Senderił (niech spoczywa w pokoju) mówiąc o tym potomku, który miał dojść do ziemi świętej, mnie miał na myśli i, daj Boże, ażeby moje słowa były usłyszane na niebie...

Niestety, słowa Senderiła zostały przedtem jeszcze usłyszane na ziemi... usłyszał je bowiem przechodzący oficer.

— Kto tam!? — zapytał głosem, od którego naszym wielkim wędrowcom krew ścieła się w żyłach.

Na nieszczęście, księżyc wychylił się z poza chmury i oświetlił jasno wystraszone twarze zbiegów, którzy stali ze spuszczo-nymi oczami, bladzi jak ściana i sami nie wiedzieli co mówić...

Wiadomo co żołnierza czeka za zbiegostwo... odwach, sąd wojenny—a potem kara okropna!

W kilka minut później, wędrowcy, którym zdawało się, że szczęśliwie i bez żadnej przeszkody puszcza się w dalszą podróż — znaleźli się na odwachu, za kratami, pod silną strażą żołnierzy uzbrojonych od stóp do głów...

Ciężki, marny los!

Nie ma podobno pióra, które potrafiłoby opisać srogie cierpienia uwięzionych. Wychudli oni, pomizernieli zbiednieli tak, że ledwie ich można było poznać. Wogóle przechodzili bardzo ciężkie koleje.

Senderił był od Beniamina o tyle szczęśliwszym, że mógł spać i przynajmniej przez ten czas nietylko że nie cierpiał, ale nawet miewał chwile przyjemne, gdyż śniły mu się rozmaite miłe rzeczy. Nieboszczyk dziadek, rebe Senderił (niech odpoczywa w pokoju) ukazywał mu się wielokrotnie, a zawsze w sposób nader przyjemny. Nigdy nie zjawiał się (choć w śnie) z próżnemi rękami — przynosił wnuczкови swemu łuk i strzały, albo też „Haman-kle-

peł“ (klekotka, którą dzieci biją Hamana podczas zapust żydowskich), szczypał go pieszczotliwie za policzki i mówił: masz, Senderuniu łobuzie, baw się tem, strzelaj! rób pif! paf! Senderił... Czasem znów przynosił z sobą „drejdeł“ *) i zasiadał na ziemi aby grać z ukochanym wnuczkiem. Senderił kręcił, kręcił, wypadło mu „Gimel“ i wygrał grosz, który mu dziadek rzetelnie, gotówką natychmiast zapłacił...

Miłym jest dla człowieka taki sen, bardzo miłym... a zresztą, czyż całe życie ludzkie nie jest snem tylko?

Beniamin jednak nie miał i tej pociechy — nie mógł spać, nie miał snów przyjemnych i wszystka krew burzyła się w nim i kipiała, jak w kotle...

Wyglądał przez okratowane okienko: słońce świeciło jasno, zielona trawka rosła, drzewa, młodemi liśćmi pokryte, szumiały, ludzie biegali tu i tam, ptaszki, śpiewając, wlatywały w górę — a on siedział

*) Drejdeł. Zabawka w rodzaju frygi, ma formę sześcienną, a na każdej ścianie jest wyrżnięta litera hebrajska.

zamknięty w czterech ścianach więzienia, za kratami — i nie mógł się na świat wydostać!

Bywało, że aż podskakiwał do góry z wielkich cierpień, jakie szarpały mu duszę; chwycił się za głowę, darł z niej włosy, biegał po odwachu i krzyczał wielkim głosem:

— Gwałt! gwałt! Co oni chcą ode mnie? co im złego zrobiłem?!

W kilka dni później, w kancelaryi pułkowej zebrali się członkowie sądu wojennego. W sali znajdowało się wielu oficerów, pomiędzy którymi byli również pułkownik i generał.

Beniamin i Senderił, oskarżeni, jako zbiegowie, weszli tam pod silną eskortą. Smutni, ze spuszczonei głowami, wyglądali oni jak myszy, które wpadły w dzieżkę kwaśnego mleka.

Oficerowie przypatrywali im się bardzo pilnie, robili jakieś uwagi, i rozmawiali coś ze sobą, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Słuchaj-no, Senderił — szeptał Beniamin do swego towarzysza niedoli, podczas gdy oficerowie zajęci byli rozmową, — żebym nawet wiedział, że mnie śmierć cze-

ka, to muszę im powiedzieć całą prawdę. Jestem naładowany, nabity jestem prawdą — i nie będę mówił nic, tylko prawdę...

— Z mojej strony — rzekł Senderił — nic nie mam przeciwko temu, chcesz mówić prawdę, mów prawdę — chcesz tak, mów sobie tak, co mnie to przeszkadza?

— Wy — odezwał się surowo generał — wykradliście się w nocy z koszar i chcieliście uciekać. Czy wiecie, że to jest ciężkie przewinienie, za które prawo ostrą wymierza karę...

— Aj waj! aj waj! — zaczął Beniamin swą obronę, trochę po rosyjsku, trochę po polsku, a głównie po żydowsku i mówił tak przekonywająco, z takim zapałem, że sam Chajkieł Zajke (jakała), największy orator z Tuniejadówki, mógł mu pozazdrości sukcesu...

Efekt był nadspodziewany, albowiem generał, słuchając tej oracyi, zaledwie mógł powstrzymać się od śmiechu i dał pułkownikowi znak ręką, ażeby dalej sprawę prowadził.

— Bardzoście zawinili — rzekł pułkownik — powiedźcie, co macie na swoją obronę?

— Wasze błagerodie! — krzyczał nie-ludzkiem głosem Beniamin, — to łapać ludzi na środku ulicy, w biały dzień, i sprzedawać ich jak kury na targu — można? a jak ci ludzie chcą uciec, żeby zająć się swojemi interesami—to nie można?! Teraz taki jest świat paskudny, taki rozpuszczony, taki zły, że, dalibóg, niewiadomo, co teraz można? a czego niemożna? Przeciwnie, naodwrot, trzeba zobaczyć tę rzecz z drugiej strony i przekonać się, kto tu winiem. Naprzykład jakby panów, nieprzymierzając, złapali na drodze i wsadzili w worek, czybyście panowie byli winni, chcąc się z worka wydobyć? Ja zawsze powiadam, że to od samego początku była paskudna rzecz, samo oszukaństwo od początku—ja to zawsze powiadam! Tu nikt w tym interesie nie winien, tylko tamci żydzi! dniewprowieccy żydzi (żebym tak szczęście miał). Oni i panów oszukali i nas oszukali! Gadaj, Senderi, gadaj, otwórz gębę! cóż stoisz jak bałwan gliniany!? Wychodź naprzód z prawdą, prawdę mów! Nie bój się, mów prosto w oczy! Przyświadc, że my tu na nic niezdadni jesteśmy, że nie czytaliśmy książek o strategii, że nie znamy sztuki wojowania i znać jej nie chcemy! Powiedz, że, Bogu

dzięki, jesteśmy obadwaj ludzie żonaci—i że mamy w głowie co innego, niż strategię, że poważniejsze sprawy nas zajmują—takie zaś drobiazgi, jak wojna i to, co do niej należy, nie wchodzą bynajmniej w zakres naszej specjalności. To nawet nie idzie nam do głowy! Czegóż stoisz, jak kołek, Senderi, gadaj! mów! krzycz! proś, żeby nas puścili! Czyż nie widzisz, że oni sami chcieliby pozbyć się nas jak najprędzej?

Długo bardzo przemawiał w ten sposób Beniamin i, trzeba przyznać, że słuchano go bardzo uważnie, chociaż należy wątpić, czy członkowie sądu mogli przynajmniej dziesiątą część tej obrony zrozumieć.

Beniamin nie mijał się z prawdą, twierdząc, że oficerowie pragnęli gorąco pozbyć się coprędzej takich dzielnych żołnierzy, jak on i jego towarzysz. Z takich albowiem wojowników niepodobna było spodziewać się jakiegokolwiek pociechy — a czas, na ich naukę poświęcony, był straconym na próżno...

Obrona, którą tak świetnie wypowiedział Beniamin, nietylko, że nie chybiła celu, ale sprowadziła skutek, przechodzący

wszelkie oczekiwania. Prezydujący w sądzie skinął na jednego z oficerów, znajdujących się w sali — i, wskazując drżących ze strachu zbiegów, zapytał:

— Co myślisz o tych ciekawych egzemplarzach, doktorze?

Doktór wdał się z Beniaminem i jego towarzyszem w gawędę; pytał ich o to i owo, rozmawiał z nimi dość długo, aż wreszcie spojrzał na generała i, uderzając się palcem w czoło, z gestem znaczącym, rzekł:

— Brakuje tu klepki (do fełt a klepke).

Skończyło się na tem, że sąd wojenny, po niedługiej naradzie, wydał wyrok, uwalniający obudwóch przestępców, nietylko od odpowiedzialności za zbiegostwo — ale zupełnie od wojska.

— Idźcie sobie swobodnie, — powiedziano im, — idźcie zdrowi, gdzie wam się tylko podoba.

Beniamin pożegnał całe zgromadzenie w sposób bardzo uprzejmy i odszedł zwykłym krokiem, jak człowiek prywatny. Senderił natomiast, przyzwyczajony już poniekąd do form militarnych, wykonał przy drzwiach wspaniały zwrot na lewo (przy-

czem o mało nie runął na ziemię) i poszedł w świat krokiem posuwistym, komenderu-sobie:

— Marś! marś!

XI.

Na tem kończy się odyseja wielkich podróżników z Tuniejadówki. Ucięta, jak nożem, pozostawia czytelnika w zupełnej nieświadomości co do dalszych losów żydowskiego Donkiszota i jego wiernego giermka. Co zrobili po szczęśliwym wystąpieniu z szeregów armii? Może syci przycięci i chwali, powrócili do rodzinnego miasta, aby tam, w „bajshamidraszu”, pod piecem, wobec „połne sobranie” opowiadać o dziwach świata nieznanym—a może też, z torbami na plecach i ufnością w sercach, powędrowali nad brzegi „Sambatyi”, śladami Aleksandra Macedońskiego, do „górciemności”, do „hindye”, szukać współwyznawców z zatraconych dziesięciu pokoleń

i obaczyć „czerwone dzieci Mojżesza” prozaka—tego ja nie wiem.

Powiastrka kończy się na tem miejscu, do którego miałem zaszczyt doprowadzić cierpliwych czytelników. Wprawdzie na tytułowej karcie oryginału napisano jest wyraźnie: „Księga pierwsza”, co każe się domyślać, że autor miał zamiar napisać drugą, a może i dalsze, lecz dotychczas zamiaru nie wykonał — i, skutkiem tego, historia wielkiego Beniamina nie ma końca. A może to naumyślnie zrobione — może autor chciał tym sposobem przedstawić figurycznie, że bieda i tułactwo zacofanych mas żydowskich końca nie ma? I tego nie wiem; — ale przyobiecuję czytelnikom, że jeżeli kiedy spotkam się z dalszym ciągiem powieści o nieustraszonem Beniaminie—nie będę robił z tego tajemnicy i opowiem, co było i jak było.

Obecnie, zanim zakończę zupełnie niniejszą pracę, upraszam jeszcze o odrobinę uwagi, gdyż pragnąłbym wypowiedzieć słów kilka od siebie.

W trakcie drukowania „Donkiszota Żydowskiego” robiono mi bardzo wiele uwag, tak piśmiennych, jak ustnych, i wyrażano zdania najbardziej sprzeczne. Jedni upa-

trywali w tej pracy cel głębszy i poważniejszy, — dradzy widzieli w niej błahostkę, niebardzo a nawet wcale nie zajmującą; jedni zachęcali do studyów nad piśmiennictwem żargonowem, inni natomiast twierdzili, że jest to głupstwo, na które szkoda czas i pracę poświęcać.

Otóż nie chciałbym tych uwag zbyć milczeniem. Przeciwnie, sądzę, że powinienem złożyć kilka słów objaśnienia. Będą one zarazem służyły za odpowiedź osobom, które z powodu „Donkiszota“ zaszczyliły mnie swoją korespondencją.

Jeżeli, patrząc, dajmy na to, na rzekę, pragniemy się dowiedzieć, z kąd się bierze taka masa wody, tedy idziemy w górę, do źródła i ciekawość nasza jest zaspokojona; podobnie, jeżeli chcemy badać, tak zwaną, „kwestyę żydowską“, idźmy do jej źródła, idźmy do gniazda żydowstwa, zamkniętego w ciasnem kole swych odrębności obyczajowych i religijnych, idźmy do naszych małych miasteczek.

Może to się komuś wyda dziwnem, lecz, według mego zdania, rozważkowywanie tego, co wypisuje taki, naprzykład, Rolling, antisemita zaciekły, jak również tego,

co wychodzi z pod pióra dra Jelinka, rabina i naturalnie filosemity z zasady, — z naszą krajową kwestyą żydowską nie ma bezpośredniego związku. Co nas obchodzą te wszystkie polemiczne i gazeciarskie „jeden hetze“, odbywające się po za granicami kraju. gdy tu... tu, na naszej ziemi, mamy taką masę ciemnych, zacofanych żydów! gdy mamy taką wiecznie jęczącą się ranę, na naszym własnym organizmie społecznym. Egoizm to może — ale doprawdy, bliższa koszula ciała, niżeli kaftan, jak powiada przysłowie — i zawsze, zamiast przyglądać się cudzym nieporządkom, lepiej i praktyczniej jest zrobić porządek u siebie, o tyle przynajmniej, o ile to jest w naszej mocy...

Otóż — zamiast bujać w dziedzinie teoretycznych mrzonek i iluzyj, zamiast pomstować na żydów, na ich spryt — przebiegłość, zdolność do wszelkiego szachrajstwa i, zamiast ubolewać nad własną niezaraźnością — czy nie lepiej zbliżyć się do nich i poznać ich dobrze?

Znajomość, dokładna znajomość nie przyjaciela, jego sił i środków, (choć, co prawda, nie chciałbym tak żydów nazywać) jest już połową zwycięstwa. A cośmy

dotąd w tym kierunku zrobili? Czy znamy żydów dobrze?

Uderzmy się w piersi. Z żydem (a mówię tu o masie żydowskiej zacofanej) łączy nas tylko interes. Idziemy do niego, gdy potrzebujemy coś sprzedać, albo pieniędzy pożyczyć — znamy go poprostu, jako interesanta, sprytnego, przebiegłego, wyzyskującego częstokroć, ale nie znamy go zupełnie, jako człowieka.

Mamy dla niego uśmiech politowania, albo uśmiech pogardy, lecz nie wglądamy bliżej w jego życie, nie pytamy, dlaczego on jest takim, jakim jest? i jakimi środkami możemy go uczynić takim, jakim być powinien?

Powiadamy, że żyd jest szachraj, wyzyskiwacz, lichwiarz, pijawka społeczna, pasorzyt — prawda to, w znacznej nawet części — ale dla czego, mówiąc tak, nie pomyślimy, że żyd jest to także... człowiek?

Człowiek, człowiek przedewszystkiem! taki sam, jak i my wszyscy, „syn ziemi“, z temiż zdolnościami, z temi skłonnościami, jakie my posiadamy, tylko z historią inną, z wychowaniem odrębnem. Na niego, gdy zaledwie od ziemi odrósł i przy fartuchu matki się czołgał — działały inne wpływy,

niż na nas, ztąd też on do nas niepodobny, on nam obcy.

On jest obskurant i fanatyk — zasklepiony w swej skorupie, jak ślimak, niezdolny do produkcyjnej pracy, bo nie przysposobiono go do niej; nie rozumiejący najbliższych swych sąsiadów, gdyż go odgranicza od nich „mur chiński“, o którym na początku niniejszej pracy mówiłem, — on więc jest wyzyskiwaczem, szynkarzem, lichwiarzem albo faktorem, gdyż inaczej zarabiać na chleb nie umie, a żyć potrzebuje.

Tak, nasze miasta i miasteczka, to są źródła i źródelka kwestyi... żydowskiej, są to siedliska owych „pasorzytów“ a prawdziwie mówiąc, siedliska nędzarzy ostatniego gatunku, gnieźdzących się w brudnych norach, po trzy familie w jednej izbie — żyjących kartoflami i cebulą, nędzarzy, którzy zaledwie raz na tydzień widują kawałek mięsa. A jednak oni są także ludźmi, i na równi ze wszystkimi, mają prawo do życia.

Nie wiem czy jest kwestya, o której u nas tyle się mówi i pisze, ile o kwestyi żydowskiej — ale niestety i to, co się mówi i to, co się pisze, bardzo mało przynosi pożytku. A przecież kwestya to ważna. Setki

tysięcy żyją wśród nas, na jednej ziemi, żyją w odosobnieniu; w znacznej części nieprodukcyjnie, szkodliwie dla ogółu.

Cóż z nimi zrobić? Przecież nie można ich ani wytopić co do nogi—ani naładować na jakąś olbrzymią furę i wysypać na grunt sąsiada—gdyż nie w taki sposób rozwiązują się kwestye społeczne w XIX wieku. Trzeba ich więc ucywilizować, oświecić, zachęcić i poniekąd zmusić do produkcyjnej pracy.

— Ale jak?

Otóż w tem jest sęk najtwardszy. Społeczeństwo chrześcijańskie na masę żydowską nie wywiera najmniejszego wpływu.— bo wywierać go nie może. Jesteśmy rozdzieleni murem, który przez wieki budowano, a takie mury są, jak wiadomo, osobliwie trwałe. Pokolenia znoszą na nie cegły, historia zlepia je cementem, a pod wpływem wieków, ten mur stwardnieje, tak się zeszklą, że nie masz podobno oskarda, któryby go rozwalił... chyba tylko rozum, o tyle, o ile go namiętność nie zaślepia.

Chrześcijańskie społeczeństwo nie ma wpływu na żydów — może więc żydowska inteligencya coś na tej szali zaważyć po trafi.

Gdzież tam! Tu znowuż spotykamy objaw innej kategorii. Nasza krajowa inteligencya żydowska, a specyalnie warszawska, ma taki wpływ na zacofaną masę swych współwyznawców, jak, dajmy na to, fabrykacya musztardy na zmiany księżycy... Jednostka żydowska, jeżeli oderwie się od swego otoczenia, jeżeli, dzięki wykształceniu umysłowemu, oddali się od ojców swych i braci zacofanych, to już zrywa z nimi zupełnie. Zrzuciwszy z siebie chałat i przywdziawszy ubiór cywilizowanego człowieka, żyd postępowy wchodzi w zupełnie inną sferę i oddala się całkiem od swoich. Pomiedzy nimi a nim, nie ma już nic wspólnego; on jest dla nich „apikores“, bezbożnik i heretyk — oni dla niego gromadą obskurnych zacofańców, których jak morowego powietrza unika. Nie sekret to, że większa część żydów, którzy zrzucili z siebie chałaty i weszli w świat chrześcijański, pomiedzy ludzi cywilizowanych, wstydzą się swoich zacofanych braci, a nawet niechętnie do żydowskiego pochodzenia się przyznaje. O tem zaś, żeby który z tych panów starał się wyrzucić dodatni wpływ na masę, żeby chciał ją ucywilizować, umoralnić — mowy nawet nie masz.

Zkądże więc ma przyjść światło do takich ludzi, jak Beniamin, Senderił, reb Ajzyk Dowid, Chajkiel Zaike i tych wszystkich członków „połne sobranie”, obradujących w bóżnicze nad polityką Aleksandra Macedońskiego i interesami Rotszylda? Ze strony chrześcian nie, ze strony cywilizowanych żydów także nie; jakąż więc drogą ma się dostać do nich promień światła? Czy zawsze mają tonąć w zabobonach i przesadach i sposobić swe dzieci nie do praktycznego życia, nie do produkcyjnej pracy, lecz do wegetacji nędznej i ciężkiej. Dodać należy, że i wegetacya ta z każdym rokiem trudniejszą będzie; raz dlatego, że proletaryat żydowski powiększa się ciągle, a powtóre, że w tych czasach ciężkich, i chrześcijańska ludność więcej liczy się z groszem i nietylko, że wobec faktorów i kramarzy trzyma się odpornie—lecz sama zwraca się na pole handlu, dotychczas wyłączenie znajdującego się w rękach żydów. W miasteczkach, pomiędzy ludnością żydowską, szerzy się nędza, nędza coraz dotkliwsza, która zmusza ją do rozpaczliwego chwytania się środków nie zawsze godziwych, byle tylko egzystencję swą podtrzymać.

Śmiem twierdzić, że gdyby żydzi nie umieli jadać „homeopatycznie”, toby już ich trzecia część z głodu wymarła.

Nie jest to wcale paradoks, ale najszczerza prawda; kto się chce o niej przekonać, niech zajrzy do naszych brudnych, zabłoconych miasteczek, niech własnymi oczami zobaczy ten ogrom nędzy. Garnek kartofli z solą, kawałek chleba, cebula i rzodkiew, to całodzienne pożywienie rodziny złożonej z kilkorga osób. Jedzą oni wogóle bardzo mało, a żyją w takiej nędzy, że kto jej oczami własnymi nie widział, ten o niej pojęcia mieć nie może.

Dodajmy do tego, że tu, w Królestwie, pomiędzy żydami, znajduje się znaczna liczba „hassydów”, którzy z pogardą traktują wszystko co jest ziemskie i nie zajmują się niczem, cały dzień przepędzając w bóżnicy. Dla nich hańbą jest wszelka praca, a kłopot utrzymania rodziny zdają oni wyłącznie na barki swych żon, które z drobnego handlu, z marnego przekupnictwa zdobywają jakiś grosz.

W tych brudnych i zabłoconych naszych miasteczkach kryje się rdzeń tak zwanej, kwestyi żydowskiej, kwestyi, która z każdym rokiem coraz bardziej i bardziej palącą się staje, gdyż ta głodna, straszliwie

biedna — a do pracy nie uzdolniona masa powiększa się z dniem każdym i prostru, aby głód zaspokoić, aby egzystencję podtrzymać, ucieka się do sposobów, szkodliwych dla reszty ludności.

Wszelkie więc czyny, dążące do oświecenia tych nędzarzy, rozproszenia ciemności, jakie ich otaczają, zachęcenia do pracy, do rzemiosł, — uważać należy za fakta pozytywne, dodatnie, które do kategorii obywatelskich zasług trzeba kwalifikować.

Jak powiedziałem wyżej, tutejsza inteligencja żydowska nie chce się do tego obowiązku poczuwać, lecz są z pomiędzy cywilizowanych żydów litewskich jednostki, które, wszedłszy w świat oświecański, nie zapomniały jednak o tem z kąd wyszły, że pozostawiły za sobą masę ciemną, politowania godną — i nie mającą znikąd pomocy.

Otóż ci żydzi oświeceni, dla cywilizowania swych zacofanych braci, stworzyli literaturę ludową, literaturę żargonu, za pomocą której usiłują przeprowadzać idee dobre, zwalczać zabobony, zachęcać do uczciwej pracy. Naturalnie, że oprócz ludzi idei, wzięli się także do pisania książek żargonowych ludzie geszeftu — i dla speku-

lacy zaczęli wydawć prace, nie mające żadnej moralnej wartości, — lecz proszę mi wskazać chociaż jedno jakiegokolwiek piśmiennictwo, które nie posiadałoby swych pereł i swych śmieci. Książek żargonowych, godnych żeby niemi w piecach palono, nie braknie, ale nie braknie też i takich, które, jako dzieła ludowe, zasługują na uznanie.

Te właśnie książki, jak dzisiaj, są jedynym środkiem cywilizacyjnym, wywierającym do pewnego stopnia wpływ na ciemne masy żydowstwa. Powiadamy: do pewnego stopnia, gdyż i one nawet nie upowszechniają się bardzo łatwo.

„Izraelita“ warszawski, w artykule wstępnym, poświęconym kwestyi żydowskiego żargonu, powiada: że piśmiennictwo żargonowe nie ma racji bytu, że należy zmusić żydów do tego, aby mówili pomiędzy sobą językiem krajowym i aby w tem języku pisane książki czytali. Jest to myśl bardzo piękna, na którą każdy z nas zgodziłby się chętnie — ale myśl, o ile piękna w teorii, o tyle niemożliwa do wykonania w praktyce. Zacofany żyd nie wyrzeknie się żargonu, który za swój język uważa, a książek polskich z pewnością czytać nie będzie. O ile więc w teorii należy zdaniu

„Izraelity“ przyznać słusność, o tyle znów względy czysto praktyczne nie każą lekceważyć literatury żargonu.

Skoro ta literatura może mieć jakiś wpływ na masy, skoro potrafi chociaż w części przyczynić się do oświecenia i pchnięcia jej na drogę cywilizacji, to już ma rację bytu. Czy żyd, stosownie do uzdolnienia swego, czytać będzie książki hebrajskie, czy żargonowe, byle tylko znajdował w nich pożytek i oświatę — to wszystko jedno; niech czyta, niech się uczy, cywilizuje, niech pozbywa się przesądów i niech nabierze przekonania, że nie wolno jest żyć bezczynnie, bez pożytku dla siebie i dla drugich.

Obawa, że książki żargonowe mogą się przyczynić do utrwalenia żydowskiego idiomu, jest całkiem płonną; żargon, albowiem używany jest tylko przez zacofaną masę, a gdy który żyd wyrwie się z tej sfery, otrzyma jakie takie wykształcenie i wejdzie pomiędzy ludzi cywilizowanych, to zarzuca szwargot i mówi językiem krajowym. Kwestya istnienia lub upadku żargonu wyłącznie zależy od stopnia cywilizacji, jaką żydzi posiadają, i, jak niepodobną wyobrazić sobie, aby żydzi zacofani w stosunkach

między sobą i w życiu rodzinnem nie używali żargonu, tak też z drugiej znów strony, nie sposób uwierzyć, aby rodzina cywilizowanego żyda posługiwała się tym idyomem. Jest to jasne jak słońce i dowodzenia nie potrzebuje — a gdyby (przypuśćmy taką hipotezę) dziś ucywilizowała się cała masa zacofanych żydów — to dzień dzisiejszy byłby dniem upadku żargonu.

Nie ma więc powodu rozdzierania szat i lamentowania nad faktem, że piśmiennictwo żargonowe rozwija się — gdyż ten rozwój jest pożytecznym i on właśnie przyczynia się do tępienia żargonu. Nie jest to wcale paradoksem, lecz prawdą, którą, przypatrzwszy się bliżej kwestyi, znaleźć bardzo łatwo.

Z tych zasad wychodząc, trzeba przyznać, że piśmiennictwo żargonowe ma rację bytu i że (jak na teraz przynajmniej) jest ono jednym, a nawet jedynym, środkiem walki z zacofaniem i ciemnotą. Wszelkie inne środki, jak np. reforma szkółek żydowskie etc., mogą być wprowadzone tylko przez rząd — wydawanie zaś pouczających książek zależnem jest jedynie od dobrej woli jednostek, pragnących dla dobra uboższych duchem braci pracować.

Pisarze żargonowi zachęcają żydów do pracy. W kilku książkach, wyszłych z pod ich pióra, zdarzyło mi się czytać cytate z Talmudu, że ojciec, jeżeli nie daje synowi (oprócz religijnego wykształcenia) naki rzemiosła, krzywdzi syna. Na tle tej cytaty rozwinięte są całe rozdziały, a nawet całe powiastki. W książkach żargonowych znaleźć można uderzająco prawdziwe obrazy nędzy, w jakiej żyje rodzina żyda, przepędzającego całe życie w bóżnicy — i ostrą satyrę przeciw takim ojcom; naukę, że religia nakazuje rodzicom, aby się losem swych dzieci zajmowali.

Nie ma zabobonu i przesądu żydowskiego, przeciw któremu nie walczyliby ci autorowie, nio zbijali go, nie dowodzili jego śmieszności.

Przeciwko systemowi kształcenia dzieci żydowskich, praktykowanemu obecnie wśród zacofanej ludności, walczą oni systematycznie i wytrwale. Nieuctwo „melamedów“ (nauczycieli), okropny stan „chederów“ (szkółek) — fatalny, pod względem pedagogicznym, wykład przedmiotu, nieludzkie obchodzenie się z dziećmi — zabijanie w nich wszelkich sił fizycznych i duchowych — przedstawiane są w książkach żar-

gonowych tak jaskrawo, tak realnie, że niepodobna uwierzyć, iżby, przeczytawszy taki opis, żyd nie przeraził się i nie odczuł niedoli swych dzieci.

Ci pisarze bynajmniej nie ukrywają wad swego plemienia, mówią oni z całą swobodą o każdej podłości i złym czynie, przedstawiają w jaskrawem oświeceniu denuncyantów, szachrai, lichwiarzy i wszelkich wyzyskiwaczy nędzy ludzkiej — rzucają im w twarz ciężkie oskarżenia, a zestawiając ich drobiazgowo wykonywane praktyki religijne z postępami złemi — powiadają im bez ceremonii: — wy jesteście nabożni rozbójnicy, „koszerni“ zdziercy i złodzieje!!

Niech kto chce sądzi tę sprawę — a przyzna niezawodnie, że takich głosów lekceważyć nie można; przeciwnie, należy je popierać, przyczyniać się do ich rozpowszechnienia. Jedna dobra, z uczciwą tendencją napisana książeczka w żargonie, więcej dobrego zdziałać, więcej wpływu wyrzec może, aniżeli setki najpiękniejszych artykułów o „kwesji żydowskiej“, artykułów, które mogą być bardzo znaczne, rozumne, — ale, których żaden żyd, potrzebujący reformy, nie czyta.

Teorya „Izraelity” co do żargonu, bardzo jest ładna, ale kwestya żydowska, a raczej kwestya ucywilizowania i umoralnienia żydów, nie da się teorią rozwiązać — tu potrzeba czynu. Na papierze to nawet bardzo pięknie wygląda, jak nasz np. „Izraelita“, oderwany od masy zacofanej, płacze nad jej ciemnością; jak opisuje cnoty wielkiego filantropa z Ramsgate, splendory, jakie spadły na angielskiego Rotszylda, jak w szeregu długich rozpraw usiłuje wykazać zalety mozaizmu, lub zbijać wersye o szkodliwych tendencyach Talmudu — to wszystko, powiadamy, jest bardzo piękne, lecz na papierze tylko. Ani jeden żyd z tych, którym właśnie trzeba oczy otwierać, których należy cywilizować, „Izraelity” nie czyta; — i ostatecznie praca chybia celu, bo nie dochodzi tam, gdzie dojść powinna... a tymczasem książeczka żargonowa dostaje się do rąk żyda.

W ogóle, w wystąpieniu „Izraelity“ przeciwko literaturze żargonowej, uderza wcale nie żydowska niepraktyczność — bujanie w sferze mrzonek — i jakiś osobliwszego rodzaju optymizm. „Izraelicie“ zdaje się, że po napisaniu przez niego kilku artykułów o piękności mowy polskiej, o oby-

watelskim obowiązku używania języka kraju, w którym się na świat przyszło — Mosiek z Kozienic, lub Wigdor z Łysobyk, uczuje dziwne rozrzewnienie i surowo nakaze swym dzieciom, ażeby nie ważyły się mówić żargonem.

Słodkie złudzenie, doprawdy!

Dla nas, chrześcian, literatura żargonu, jakem to już wykazał na wstępie, ma także swoją wartość, albowiem daje ona możność poznania wielu stron życia żydowskiego, nieznanych nam zupełnie; za jej pomocą będziemy mogli uprzedzenie niejedno obalić, niejedno, co ciemne, wyjaśnić i wogóle mieć o żydzie, jako o człowieku, dokładniejsze aniżeli dotąd, pojęcie.

Powiedziałem wyżej, że nie masz chyba przedmiotu, o którym pisano tyle, co o kwestyi żydowskiej. Z owych dzieł, dziełek, broszur możnaby uformować olbrzymią bibliotekę, złożoną z najrozmaitszych językach martwych i żyjących, starożytnych i współczesnych. Obszerna ta literatura da się podzielić na wiele gałęzi specjalnych. I tak: o historii żydów napisano tysiące tomów, — o ich religii, etyce, prawodawstwie istnieje również dzieł mnóstwo, a te

go, co o talmudzie napisano, co powiedziano o nim i pro i contra, spamiętać trudno.

Z rozwojem prasy peryodycznej, gdy książki musiały ustąpić wiele miejsca gazetom, kwestya żydowska dostała się do szpalt czasopism i wytworzyła wiele organów specjalnych. Niepodobna wyliczyć wszystkich wydawnictw peryodycznych, tym przedmiotem zajętych. Powstają pisma, których głównym zadaniem jest walczyć przeciw dziennikarstwu znajdującemu się w rękach żydów; widzimy często artykuły przeciwko etyce żydowskiej, nieskończone wycieczki przeciw talmudowi, przeciw ekonomicznej szkodliwości żydów; widzimy gwałtowną walkę przeciw kapitalizmowi, który utożsamiono z kwestyą żydowską w ogóle. Nawet w dziedzinę sztuki ta kwestya wkracza, nawet teatr wolnym od niej nie jest. Jednym słowem, na wszelkie sposoby obrabiają ludzkie ów przedmiot.

Tak dzieje się nietylko w innych krajach, ale i u nas. Artykuły dziennikarskie, komedya, powieść — wszystko to dotyka żydów, ich wad, albo zalet, stosownie do tego, z pod czyjej ręki praca wychodzi.

My mamy także dzieła o historii żydów wogóle, mamy prace traktujące spe-

cialnie historję polskich żydów, mamy artykuły i studia o ich działalności ekonomicznej, o żydowskich artystach i poetach. Na wołowej skórze nie spisać tego, co kreślono o bankierach i ich figlach przeróżnych.

Mamy w naszym dziennikarstwie obszernie studia o szkodliwości Laskerów, Bleichrederów, Bambergerów a tutti quanti, wiemy doskonale co mówi a nawet, co myśli nadworny kaznodzieja Stöcker — jesteśmy poinformowani najdokładniej o wszelkich procesach w rodzaju Tisza-Eslarskiego, wiemy doskonale o każdym kroku Istoczy'ego i Onody'ego — słowem, jesteśmy z kwestyą żydowską obznajmieni prześlicznie. Wiemy jak ona wyglądała za faraonów, podczas niewoli babilońskiej, przed i po zburzeniu Jerozolimy, w wiekach średnich i dziś.

Kwestya żydowska tak jest u nas zpopularyzowaną, że nawet tak zwany przeciętny czytelnik, czyli człowiek średnio wykształcony, mógłby powiedzieć coś o sprach uczniów Rabi Szamai z uczniami Hillela; przyznałby, że nie są mu obce imiona Rabi Jochana, Gamaliela, Akiby etc., że słyszał coś o Majmonidesie i Mendelsohnie, wreszcie, że zna trochę historję

Franka i frankistów. Zdarza się w salonie słyszeć młodą panienkę, rozprawiającą o Spinozie—a o Heine'm i Boern'em wie już każda uczennica z trzeciej klasy...

Jednym słowem, kwestya żydowska znaną i obrabianą jest przez nas na wszystkie boki. Od pierwszych patryarchów izraelskich, aż do dziennikarstwa liberalno żydowskiego w Niemczech, do społecznych gründerów berlińskich, wiemy i czytamy o wszystkim, oprócz... o setkach tysięcy żydów, zaludniających nasze miasteczka i osady.

Zapomnieliśmy o tej małej bagatelce—o naszych Mośkach, Abramkach i Ajzykach, którzy, o ile sędzę, powinni nas daleko więcej obchodzić, aniżeli od wieków spoczywający w grobie Rabi Szamai, lub też semiccy reprezentanci liberalizmu niemieckiego.

Dziwnie pojmujemy tę kwestyę, mówimy i piszemy o niej aż do zbytku, aż do przesady, ale cóż z tego, kiedy ci żydzi, których życie domaga się reformy, nic a nic tego nie słyszą!

Nie dalej, jak wczoraj, z jednym moim dobrym znajomym rozmawiałem na cichej, mało uczęszczanej uliczce. Po drugiej stro-

nie ulicy właśnie przechodził żyd, odziany w chałat brudny, zaszargany, biegł szybko, widocznie za geszeftem.

Czy wiesz, doktorze—rzekłem do mego znajomego,—założę się, że ten żyd, to musi być wielki oszust, szachraj i geszefeiarz. Jakież nieprodukcyjne jego życie, jakie szkodliwe dla całego ogółu! a jednak, przecież to człowiek tak, jak i wszyscy, mógłby być najzaczniejszym obywatelem kraju...

— A któż go tego nauczy? — zapytał mój znajomy i trafił w sam sęk kwestyi żydowskiej.

Otóż pisarze żargonowi chcą właśnie żyda uczyć — a ja, korzystając z ich prac, pragnę znowu nasz ogół chrześcijański z żydowskim życiem zapoznać. Taki sobie obrałem cel i, o ile siły pozwolą, dążyć do niego będę, w tem przekonaniu, że ta praca jest pożyteczną i uczciwą. Niech idealisci bujają w sferze mrzonek i utopij, niech studują różne teorye, ja pragnę zając stanowisko, niezajęte dotąd, chcę poświęcić czas i pracę specjalnie badaniu naszych polskich, chałatowych Mośków i Dawidków—gdyż, mniemam, że przez to i chrześcijańskiemu społeczeństwu i Mośkom owym maleńki chociaż pożytek przyniosę.

Niechże więc „Izraelita“ warszawski pozostanie przy idealnych teorych, niech informuje czytelników o Rotszyldach i innych luminarzach kosmopolitycznego żydostwa, a mnie niech pozwole pozostać przy naszych pacanowskich Rotszyldach i przy pachciarzach z Psiej Wólki, o których nikt myśleć nie chce...

K O N I E C.

